

I

Przed samotnym podróżnym wyrosła zbita ściana lasu, a droga, do tej pory dobra i szeroka, tutaj, w mroku wiekowych sosen i świerków, zaczęła wydawać się wąską ścieżką, która lada chwila zagubi się w leśnej trawie i kłujących krzakach pokrytych dojrzałymi czerwonymi jagodami. Jednakże jeździec, wolno zagłębiający się w las, najwidoczniej dobrze znał tę okolicę. Jechał wypuściwszy z ręki wodze, z przyjemnością się rozglądał i pełną piersią wdychał ożywcze leśne powietrze.

Jaskrawe promienie niezbyt gorącego słońca, którym udało się przebić przez gęstą zasłone gałęzi, tworzyły złociste plamy na porośniętych trawą koleinach. Potężny ogier bezgłośnie stapał po miękkiej ziemi, a jeździec co jakiś czas zrywał kilka aromatycznych jagód ze zwisających nad drogą krzaków. Ta puszcza, przez którą prowadziła droga, była tak podobna do gęstych lasów jego rodzinnej Cymmerii, że chwilami zapominał, gdzie się znajduje i dokąd zmierza.

Surową twarz jeźdźca rozpromieniał łagodny uśmiech, gdy brał do ust kolejną garść jagód. Ich znajomy z dzieciństwa smak budził wspomnienia rodzinnego kraju. Jasne niebieskie oczy pod gęstymi brwiami, które w chwilach gniewu błyszczwały oslepiająco i przerażały wrogów bijącą z nich nienawiścią, teraz spoglądały spokojnie i łagodnie. Niesfornie czarne włosy rozsypały się na ramionach, skrywając potężną szyję.

Na oko jeździec miał ze trzydzieści lat, lecz blizn i szram na rękach i twarzy starczyłoby dla trzech posiwiiałych wojów, by mogli

wieczorami, przy kielichu dobrego wina, z dumą opowiadać o swoich wyczynach. Szramy nie psuły widoku, wręcz podkreślały piękno jego dumnej, męskiej twarzy: twarde, władcze usta i energiczny podbródek świadczyły o wewnętrznej sile i niezłomnej woli. Był to wędrowny rycerz, poszukiwacz przygód, który nigdzie nie zatrzymywał się na dłużej, traktujący cały świat jak dom rodzinny.

Solidna i wygodna odzież podróżna, chroniąca od upału i chłodu jego potężne, sprawne ciało, para skórzanych sakw na bagaż, przytroczonych do siodła ogromnego karego ogiera, szeroki miecz widoczny spod płaszcza i para sztyletów przy pasie – wskazywało, że podróżny jest człowiekiem, który z niejednego pieca jadł chleb.

Conan – tak miał na imię jeździec, samotnie przedzierający się przez gęsty las – potrząsnął głową, otarł ręce o skraj tuniki i dał ostrogę wolno idącemu koniowi. Nie, to jeszcze nie Cymmeria, ostateczny cel jego podróży, ale stąd jest już niedaleko... Zresztą i w tych stronach miał do załatwienia parę spraw.

Kilka dni temu opuścił Belverus, stolicę Nemedii, i zmierzał prosto do północnego księstwa Bergheim. Lato miało się ku końcowi i zbliżało się święto Obfitości Mitry. Conan miał powód, by właśnie w wigilię tego święta znaleźć się w Menorze, głównym mieście księstwa. Gdy wspominał teraz o tym, uśmiechnął się wesoło, błyskając białymi zębami, i jeszcze bardziej ponaglił konia.

Pochłonięty myślami podróżny nie zwracał uwagi na refleksy słońca, na krzaki z dojrzałymi jagodami ani na śpiew ptaków w koronach drzew, gdy nagle jego uwagę zwrócił odgłos, całkowicie obcy w tym lesie. Znowu rozległ się ten dziwny dźwięk, nieco przypominający głos ludzki, i jeszcze raz, już bliżej... Conan ściągnął wodze, ostrożnie zbliżając się do tego kogoś, kto szedł lub jechał przed nim ścieżką i od czasu do czasu coś chrypliwie wykrzykiwał.

Wkrótce przed Conanem zamajaczył zad gniadego konia, wolno stającego leśną drogą. Jeździec, niedbale siedzący w siodle, bezlitośnie szarpał struny erty. Jej brzęczący dźwięk najwyraźniej całkowicie go satysfakcjonował. Co jakiś czas milknął, żeby nabrać w płuca powietrza, i znów wydzierał się na cały las:

*...Gdy księżyc wzejdzie –
Pobiegnę do ciebie,
Tylko muszę się najpierw napić!
Kiedy przyjdzie czas,
Ożenię się z tobą,*

*Tylko muszę się najpierw napić!
Żeby dzieci wykarmić,
Zacznę pracować,
Tylko muszę się najpierw napić!
A jak czas swój przeżyję,
Do grobu mnie złożą,
Tylko muszę się najpierw napić!*

Wykrzyknąwszy ostatnie słowa, nieznajomy najwidoczniej stwierdził, że chociaż śmierć jeszcze nie przyszła, jednak wypić i tak można, i zaczął po omacku szukać za plecami bukłaka z winem. Koń, znający zwyczaje swego pana, zatrzymał się i Conan, niemal zrównawszy się z nimi, z ciekawością przyglądał się śpiewakowi.

Był to rudawy, pyzaty mieszczanin, nie ubogi, sądząc po niegdyś eleganckim zielonym płaszczu i miękkich trzewikach z wierzchem z wytłaczanej skóry. Koszulę z cienkiego płótna i brązową skórzaną kamizelę pokrywały niezliczone tłuste plamy i zacieki z czerwonego wina. Solidne spodnie z drogiej tkaniny również nosiły ślady hulaszczego życia właściciela. Conan doskonale znał ten typ ludzi: jeśli dziś w sakiewce pobrzękują pieniądze, można wyrzucić całą starą garderobę i ubrać się nie gorzej od tych, którzy zadzierają nosa na głównej ulicy. A potem, napiwszy się wina, budzi się taki elegant w rynsztoku i idzie do szynku, żeby przepuścić ostatnie grosze...

Poprzednią noc spędził zapewne w stogu siana – z potarganych włosów bowiem sterczały żdźbła trawy, a zmięta twarz aż nadto wymownie świadczyła o tym, że w pachnącym łożu towarzyszył mu skórzany bukłak.

Poczuwszy wreszcie na sobie spojrzenie Conana, nieznajomy gwałtownie się odwrócił, ściskając pod pachą starą ertę i nieumiejętnie próbując wyciągnąć miecz, który ugrzązał w pochwie. Poważnymi jasnoszarymi oczyma spojrzął w śmiejące się niebieskie oczy Conana.

– Czego się gapisz? Jedź dalej! Droga szeroka! – Nie chciał się widać popisywać przed przypadkowo napotkanym człowiekiem, ale Conan nie zamierzał go wyprzedzać.

– Może specjalnie cię dogoniłem, żeby posłuchać, jak śpiewasz? A gdy jeszcze grasz na tym instrumencie, prawdziwie rajską muzyką rozlega się po całym lesie!

Nieznajomy potrząsnął kudłatą głową, zostawił w spokoju miecz i z dumą wyciągnął ertę spod pachy.

– Tak, ta moja maleńka przyjaciółka pomaga mi skracać czas w podróży. A pieśni znam tyle, że mógłbym śpiewając bez przerwy objechać całą Nemedię.

– Żeby tylko bukłak przy pasie zawsze był pełen, prawda? – Conan mrugnął porozumiewawczo.

Konie spokojnie szły drogą, a podróżni, którzy poczuli do siebie nagłą sympatię, co zdarza się u ludzi zdążających w tę samą stronę, roześmieli się z ulgą. Rudowłosy, uznawszy, że można nie krępować się przy tym człowieku, sięgnął po bukłak, czule poklepał dłonią dwa inne, zawieszony z drugiej strony siodła, i chciwie przyłożył go do ust. Po zaspokojeniu pragnienia otarł usta i wyciągnął bukłak w stronę Conana.

– Orzeźwij się, jeśli masz ochotę! I uwierz, że Rudy Biorri częstuje tylko najlepszym winem. Najbardziej kocham w życiu dwie rzeczy – dobre wino i dobre konie!

Conan zaśmiał się i poklepał go po ramieniu, a potem wskazał na ertę, którą wesolek zawiesił teraz na plecach niczym łuk.

– Nie, Rudy Biorri ma nie dwie, lecz trzy słabostki – wino, konie i dobre pieśni. Nieprawdaż?

– Tak, jak mogłem zapomnieć o mojej maleńkiej przyjaciółce, o mojej ertce ze srebrzystym głosem porannego ptaszka! Posłuchaj, zaraz ci zagram! – I zaczął szamotać się z obszernym płaszczem, chcąc wydobyć z jego fałd zawieszoną na plecach ertę.

Conan, który zdołał się już przekonać, jak bezlitośnie szarpie on struny, postanowił odwrócić uwagę swego towarzysza podróży i łyknął wina.

– Oho! – zawołał. – Ale wino! Chyba z królewskich piwnic! W szynkach takiego się nie dostanie.

Rudy Biorri natychmiast zapomniał o ertce i gwałtownie zwrócił się w stronę Conana.

– Słuchaj, mój towarzyszu podróży, powiedz, jak się nazywasz, i daj mi bukłak, żebym mógł się napić za twoje zdrowie. Słusznie mówisz! Trafieś w samo sedno. Oczywiście, że to wino z królewskich piwnic. No, dawaj bukłak. Jak się nazywasz?

– Jestem Conan, przyjacielu, Conan-Cymmerianin.

– Od razu wiedziałem, że jesteś Cymmerianinem. No cóż, Conanie, twoje zdrowie, i niech ci Mitra zawsze pozwoli dojrzeć to, co da się zobaczyć, a nawet jeszcze więcej. – I wino znowu wesoło zabulgotało.

Wreszcie, po kilkakrotnym przejściu z rąk do rąk, znacznie już lżejszy bukłak został przytroczony do siodła i jeźdźcy w doskona-

łych humorach ruszyli w dalszą drogę. Rudy Biorri nie mógł usiedzieć spokojnie w siodle. Wypuścił z rąk wodze, pozwalając, by koń sam wybierał drogę, wymachiwał rękami, wiercił się, pokładał się koniowi na szyi – jakby siedział na ławie w szynku, a w spodniach uwierał go cierń. Koń flegmatycznie szedł naprzód, starannie przedstawiając długie nogi, obchodząc doły i kretowiska, wcale nie przejmując się wesołym jeźdźcem, który co pewien czas kurczowo chwycił się jedwabistej grzywy.

– Biorri, ale masz konika! Patrzę i podziwiam, jak znosi twoje fanaberie. Według mnie już dawno powinien cię zrzucić.

– Też gadanie! Zrzucić! Wprost nie do pomyslenia, żeby moja ukochana Zolda poważyła się na coś takiego. Możesz, przyjacielu, długo na to czekać, ale i tak się nie doczekasz. Zrzucić! Wolne żarty! – Mówiąc to, czule poklepał kobyłę po szyi.

Zolda w podzięcie zarżała cichutko i potrząsnęła łbem, podzwaniając wędzidłem. Szła, miarowo przedstawiając cienkie nogi, a Rudy Biorri siedział teraz dumnie wyprostowany w siodle.

– Wiesz, jak trafiła do mnie ta moja gwiazdeczka? Nikomu o tym nie mówiłem i wszyscy sądzą, że kupiłem ją, kiedy miałem pieniądze. Nie, nigdy nie byłem na tyle bogaty, żeby kupić dobrego konia. Miewało się pieniądze, ale nie aż takie. Ej, Zoldo, zatrzymaj się, musimy za ciebie wypić! – I znowu sięgnął po bukłak.

Koń posłusznie zatrzymał się, co jakiś czas potrząsając złocistą grzywą.

– No, Zoldo, żebyśmy się nigdy nie rozstali! – Chciwie łyknął wina. – Przyjacielu, napij się i ty za moją Zoldę, za swego karego, za wszystkie wspaniałe koniki! – W jego jasnych oczach błysnęła łza, stoczyła się na czerwony, spotniały nos i kapnęła na spodnie.

Konie znów szły obok siebie, a Biorri odkaslnął, pociągnął nosem i zaczął opowiadać:

– Tak, przyjacielu, taka to była historia... Różne rzeczy robiłem w życiu, czasem śpiewałem, kiedy indziej świsnąłem komuś mie szek, ale koni kraść nie zdarzyło mi się. Nigdy nie czułem się do tego zdolny. Wiedziałem, że jak tylko spróbuję, natychmiast wpadnę. Każdy powinien robić swoje, moja rzecz to śpiewać pieśni i opowiadać bajki... No to jakże było z moją Zoldą? Przecież ukradłem ją, mimo wszystko ukradłem! A może sama dała się ukraść? Ciągłe się nad tym zastanawiam. Pewnego razu siedziałem sobie w oberży, piłem wino i czekałem, aż zapadnie wieczór i zbierze się więcej ludzi, bym mógł zagrać na ercie, zaśpiewać kilka starych pieśni i opowie-

dziec o sławnym rozbójniku Karrasie, kiedy nagle na ulicy zastukały kopyta, zarżał koń, rozległy się głośnie okrzyki. Gospodarz na złamanie karku rzucił się do drzwi.

Tak jak się spodziewałem, bez przerwy kłaniając się wprowadził do sali czterech bogato odzianych podróżnych. Służba od razu zaczęła szykować im stół przed kominkiem, a my musieliśmy się usunąć na bok. Jednym słowem – wielkie paniska...

Od razu zrozumiałem, że dziś nie będę tu śpiewał. Nowo przybyli siedzieli zasepieni, wynieśli i jedli w milczeniu. Gospodarz miał się jak oparzony, przygotowywał im najlepsze komnaty, a ja po mału dopiłem swoje wino, ściągnąłem z sąsiedniego stołu pieczoną kaczkę i wymknąłem się na dwór. Och, Mitro, co ja tam zobaczyłem! Wiesz, lyknijmy sobie jeszcze. – I bukłak z resztkami wina znów zaczął krążyć między nimi, odświeżając zaschnięte usta.

Conan jechał obok Rudego Biorri, z przyjemnością słuchając tej paplaniny nieoczekiwanego współtowarzysza podróży. Ciekawie opowiada, ma dobre wino, żeby tylko nie śpiewał.

– Tak, o czym to ja mówiłem? Aha, już sobie przypomniałem – na dworze stały uwiązane cztery konie. Słudzy kręcili się koło kuchni, a ja stałem, z otwartą gębą, podziwiając te rumaki. A właściwie patrzyłem na nią... Słuchaj, Cymmerianinie, czy zdarzyło ci się kiedyś zakochać w jakiejś kobiecie od pierwszego wejrzenia, na całe życie?

– Od pierwszego wejrzenia tak, ale żeby na całe życie...

– Nie szkodzi, grunt, że znasz to uczucie i potrafisz mnie zrozumieć. To właśnie była ona, ta moja figlarka. – Z czułością podrapał kobyłę między uszami. – Patrzyła na mnie wyczekująco, a ja podchodziłem do niej coraz bliżej, i bliżej... W głowie mi huczało, już sam nie wiedziałem, co czynię. Krótko mówiąc, odwiązałem ją od koniowiązu w samym środku białego dnia, na oczach ludzi. No i co robić dalej? Wziąć za uzdę i prowadzić? Szczerze mówiąc, chciałem to uczynić, ale się zląkłem. Ci nowo przybyli goście, uzbrojeni po zęby, dogonią mnie i posiekają na kawałki. W tej samej chwili na ganek wyszedł gospodarz i zawołał: „Ej, Klime, Żedir, wy lenie, natychmiast macie mi złowić na łące parę gęsi i zaprowadźcie konie do stajni! Bo jak nie, to najpierw ja, a potem ci panowie obedrzą was ze skóry! A ty czego tu stoisz, gamoniu? – To do mnie zwrócił się tak ten tłusty wieprz! – Wynoś się stąd! Dziś nie pora na twoje pieśni! Panowie są zmęczeni i chcą mieć ciszę!”. Powiedziawszy to, zniknął w drzwiach gospody.

A ja, wściekły na niego, zupełnie zapomniałem o koniu i przeklinając gospodarza ostatnimi słowami, powlokłem się ulicą w poszukiwaniu innego zajazdu. Odszedłem już dość daleko, gdy nagle słyszę: za moimi plecami postukują kopyta, jakby ktoś stępa jechał na koniu. Zszedłem na bok – odwróciłem się i – o bogowie, to była ona, moja ślicznotka! Podeszła i stanęła, zagląda mi w oczy, niczym wierna żona! Wskoczyłem na jej grzbiet i uciekłem z tej miejsciny. Od tej pory nie rozstajemy się ze sobą. Jest dla mnie niczym niańka. Jeśli przebiorę miarkę i spadnę z siodła, sama mnie dowiezie do gospody lub zwali pod jakiś krzak. Tak to jest, bracie... – I znowu pociągnął nosem.

Słońce chyliło się ku zachodowi, ostatnie promienie ozłacały czubki drzew, a w dole, przy korzeniach, gęstniały wieczorne cienie. Conan, bacznie przypatrując się zaroślom po obu stronach drogi, zapytał przycichłego Biorriego:

– Nie pierwszy raz jedziesz tą drogą, prawda? Jak tu u was, spokojnie? Czy też rozbójnicy grasują w tych odległych od stolicy lasach?

– Dawniej, za czasów księcia Darsino, niekiedy napadali. Do stolicy jeździło się wówczas wielkimi taborami, w pełnym uzbrojeniu. Nawet król nie mógł nic poradzić – lasy jak były, tak i pozostały niebezpieczne. Kiedy stary książę umarł, jego syn, młody książę Orgeld, natychmiast zaprowadził podrządek – ustawił wieże strażnicze, zaczął wysyłać konne patrole, a w razie potrzeby nawet wielkie oddziały wojska. I teraz jest już bezpiecznie. Który to raz jadę z Belverusu na święto Obfitości Mitry i ani razu nie spotkałem żadnych rozbójników.

– Ile czasu zajmie nam droga do Menory? Już zapada zmrok, a nie widać końca lasu. Czas już chyba zatrzymać się na odpoczynek.

– Poczekaj chwilkę, zaraz będzie tu taka mała ścieżka... O, właśnie tu, omal jej nie minęliśmy! Jedź za mną, doprowadzi nas do polanki, na której zawsze się zatrzymuję.

Mówiąc to, Biorri zagłębił się w gęste krzaki i paprocie.

Rzeczywiście natrafili na ścieżkę, która doprowadziła ich do niewielkiej polany ze śladami starego ogniska, obłożonego wokół kamieniami. Obok trzech rosnących sosen widać było coś w rodzaju szałasów, też od dawna nie używanego.

– No i co, nie mówiłem, przyjacielu Conanie? Wszystko jest tak, jak zostawiłem ostatnim razem. Tutaj uwiążemy konie, a sami

zanocujemy w zielonym pałacu, tylko trzeba go najpierw trochę odnowić. Ty zrywaj paprocie, a ja przyniosę gałęzi. – Lekko zeskoczył z konia, jakby nie zaglądał cały dzień do swego bezdenne bukłaka.

Zanim zapadły ciemności, zdążyli doprowadzić do porządku szałas, podrzucić koniom trawy i wkrótce zasiedli przy ognisku. Conan dumiał o swoich sprawach, a Rudy Biorri rzępolił na ercie.

II

Conan nieźle znał Nemedię, ale tu, na północy, w otoczonym gęstymi lasami niewielkim księstwie Bergheim znalazł się po raz pierwszy. Nowe miejsca, obce miasta, zawsze wzbudzały jego ciekawość i wszystkie wrażenia odnotowywał w chłonnej pamięci. Teraz mimo woli to, co ujrzał w drodze, porównywał z okolicami Belverusu, stolicy Nemedii. Widać było, że obecny książę wprowadził wszędzie takie porządki, jak w stolicy i nic nie przypominało tu dawnej głuchej prowincji. Drogi prowadzące do miasta były na niektórych odcinkach utwardzone, co nawet podczas wiosennych i jesiennych roztopów pozwalało na uniknięcie odciążenia Menory od serca kraju – Belverusu i od innych miast.

Oddziały uzbrojonych strażników kilkakrotnie przemknęły obok podróżnych, co potwierdzało słowa Biorriego o bezpieczeństwie tujejszych dróg. Gospody i zajazdy były zadziwiająco porządne i tanie – rudy pijaczyna opowiadał, że dawniej gospodarze zdzierali skórę z podróżnych i ubożsi musieli nocować w krzakach, ku uciesze złodziei i rozbójników.

Szeroka bita droga przecięła rzeczkę, na której stał solidny drewniany most, ochraniający przez dwóch konnych strażników, i na drugim brzegu zmieniła się nie do poznania. Podkowy zadzwoniły na gładkich kamieniach, ułożonych starannie jeden obok drugiego. Od razu zrobiło się weselej i jeźdźcy zaczęli popędzać konie, czując że do Menory jest już całkiem niedaleko.

– Oto Droga Królewska! Kilka lat temu sam król zaszczyił swoją obecnością młodego księcia, przybywając na święto Obfitości Mitry. Nawet w Belverusie świątynne święta nie kończą się tak, jak tutaj, w Menorze, turniejami rycerskimi. Chcesz, żebym odgadł, w jakim celu jedziesz do miasta? – Biorri z uśmiechem spojrzał na swego potężnie zbudowanego kompana.

– Ech, ty bałamucie, już dawno wszystko odgadłeś! Bo i po co może jechać do Menory rycerz w przededniu takiego święta? Ale dlaczego ty każdego roku zmuszasz swoją drogocenną Zoldę do podróży przez ciemne lasy?

– Tego też nietrudno się domyślić. Przecież już ci mówiłem, że znam całą masę pieśni i legend. Rycerze przed walką, a jeszcze chętniej po niej, lubią posiedzieć przy mocnym winie i posłuchać opowieści o sławnych zwycięstwach. Corocznie wyjeżdżam stąd z dwoma pełnymi mieszkaniami i chwala Mitrze, że drogi są teraz bezpieczne. No, ale już jesteśmy na miejscu – szykuj pieniądze, bo z tutejszymi strażnikami nie ma żartów.

Śluchając paplaniny Biorriego, Conan już od dawna spoglądał na coraz wyraźniej widoczne w dali potężne mury. Z wysokich wież strażniczych na cześć zbliżającego się święta zwieszały się długie kolorowe proporce z herbami książęcymi. Od czasu do czasu połykiwały halabarda i hełm strażnika przechadzającego się po szczycie muru twierdzy. Miasto opasywała szeroka fosa z mętną zielonką w wodą. Most zwodzony był opuszczony i z turkotem przejeżdżały po nim wozy chłopskie pełne warzyw, owoców i dziczyzny, jadące do miasta na targ, i puste, wracające na wieś po nowy towar. Widać było, że handel tu kwitnie.

Conan od razu pojął, iż Menora jest potężnym i bogatym miastem. A więc nie na darmo tu przyjechał. Jeśli nawet sam król uczestniczył w święcie Mitry, będzie na co popatrzeć. I, być może, co nieco pokazać... Conan potrząsnął głową i wesoło się uśmiechnął.

Z zamyślenia wyrwał go znajomy głos, bez trudu przebijający się przez zgiełk tłumu przy bramie i skrzyp wozów:

– Jedź za mną, zaraz cię zaprowadzę w takie miejsce, że będziesz błogosławił los, który pozwolił ci spotkać Rudego Biorriego!

Conan, lawirując między dwoma wozami, pospieszył za gniadą kobyłą i potarganą jaskraworudą czupryną, widoczną na tle tłumu. Wkrótce skręcili w cichą uliczkę z niewielkimi domkami i jechali obok siebie.

– Dużo tutaj zajazdów, ale nie każdy jest dla nas odpowiedni. Po pierwsze – powinno być tam dobre wino, po drugie – żeby gospodarz nie był szalbierzem, i po trzecie – żeby mieli tam ładne dziewczęta.

– No, z takimi wymaganiami wątpliwe, czy znajdziesz jakąś przystań w Belverusie. Też sobie wymarzyłeś – żeby właściciel zajazdu nie był szalbierzem! Czegoś takiego nie ma na świecie, albo w ogóle

nie znam się na życiu. I jeszcze wino, dziewczęta... Nawiasem mówiąc, nie powiedziałeś mi jeszcze, skąd było to wspaniałe wino, które piliśmy wczoraj. Wspomniałeś coś o królewskich piwnicach.

– O, to długa historia... Kiedyś o tym opowiem. A tymczasem mamy to, czego nam potrzeba! Zajazd „Stary Lis”! Serdecznie witamy!

Conan roześmiał się głośno.

– A toś trafił! „Stary Lis”! Właściciel to uczciwy człowiek, żaden szalbierz! Stary uczciwy lis! No, Biorri, żartowniś z siebie!

Gdy już się naśmiał, spojrzął na Biorriego, który z lekkim uśmiechem wskazał ręką na poślaczony szyld. Nad rudym lisim pyskiem, namalowanym na niebieskim tle, widniał fantazyjny napis: „Stary Lis”, a jeszcze wyżej połyskiwała niewielka korona księżęca.

– Korona? Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Żeby jakiś zajazd, szynk na samym skraju miasta, znajdował się pod patronatem księcia! Nie, Biorri, musieliśmy wczoraj zbyt dużo wypić i widocznie jeszcze się całkiem nie obudziłem.

Conan wciąż ze zdumieniem wytrzeszczał oczy na szyld, a jego kary, czując, że już czas na odpoczynek, niecierpliwie postukiwał kopytami i ponaglał swego pana. Rudy Biorri zapukał do bramy, którą natychmiast gościnnie otworzono. Wjechali na podwórze, gdzieś niedaleko porośnięte trawą, i zsiadli z koni, rzuciwszy wodze podbiegającej służbie. Na ganek wyszedł dostojnym krokiem gospodarz, niegdyś zapewne tak samo rudy jak Biorri, a obecnie z błyszczącą na słońcu spointną łysiną z resztkami rudych kosmyków za uszami.

Kiedy tylko ujrzał Biorriego, całe jego dostojeństwo natychmiast się ulotniło.

– Wreszcie jesteś! Nawet nie wyobrażasz sobie, jak rad jestem cię widzieć! Ej, chłopcy, zaprowadźcie Zoldę do najdalszego żłobu i dajcie jej dużo owsa!

– Słuchaj, Lisie, tym razem jestem z przyjacielem. I jego ugość tak jak mnie, a w najgorszym przypadku tak jak księcia.

– Ech, ty rozbójniku, zawsze trzymają się ciebie żarty! No dobrze, dobrze! Prowadźcie karego w koniec stajni i też nie pożałujcie mu owsa! Ale piękny! – powiedział głosem znawcy i poklepał ogiera po szyi.

Conan z uśmiechem przysłuchiwał się ich rozmowie, z ciekawością przyglądając się gospodarzowi, uczciwemu szalbierzowi. Nie wiadomo czemu spodobał mu się od pierwszego spojrzenia. Podobnie jak Biorri. Obaj byli do siebie podobni: rudzi, pyzaci i z pewnością nie w ciemną bici. Do samego gospodarza doskonale pasowała wypisana na szyldzie nazwa zajazdu – „Stary Lis”. Gruby, łysy, ze

szczelinkami czarnych, chytrych oczek, nie wyglądał na starego, ale gdy przypatrzyło mu się uważniej, widać było, że czas pobruździł jego twarz zmarszczkami.

Wyglądał na strojnisia, choć ubrany był w zwykłe spodnie z solidnego zielonego materiału i świeżą koszulę z cienkiego płótna, rozpiętą na piersi. Miał za to bardzo ładne buciki z beżowej miękkiej skóry, jedwabny pas z frędzlami, ściśle opinający gruby brzuch, i masywny złoty łańcuch, połyskujący na mocnej szyi.

– Zachodźcie, zachodźcie! Biorri, dla ciebie jak zawsze na początku miejsce w kąciku, prawda?

– Widzę, że dobrze znasz moje zwyczaje. Za to właśnie tak cię kocham.

– Widzisz, przyjacielu, ja znam zwyczaje wszystkich moich stałych gości, bo w innym razie nie miałbym co tu robić. Na przykład ty śpiewasz pieśni i zapewne żadnej nie zapomniałeś przez rok. No a ja pamiętam twoje zwyczaje. Ty, czy wielki wielmoża – dla mnie to bez różnicy – wszyscy jesteście moimi gośćmi. Beczka z najlepszym winem zawsze jest ta sama, a i jagnięta jednakowe.

Rozmawiając, podróżni nawet nie zauważyli, kiedy zręczne dziewczęta zdążyły zastawić stół zakąskami i dzbanami. Wkrótce pojawiło się też pieczone, nadzwyczaj smakowite i umiejętnie przygotowane.

Gospodarz odszedł, by zająć się innymi gośćmi, a Biorri natychmiast nalał wina w wielkie srebrne kubki. Zaspokoiwszy pierwsze pragnienie, przymrużył oczy, z rozkoszą pokręcił głową i nalał sobie następną porcję.

– No i czyż nie mówiłem? Gdzie ci dadzą książęcego wina i jeszcze postawią na stole srebrne kubki? Tylko tutaj i tylko dla nas. Może jeszcze takie wyróżnienie spotka księcia, jeśli zechce przypomnieć sobie młode lata. A teraz daj mi tego barana – marzyłem o nim cały rok i chyba sam jeden opróżnię cały półmisek. Tak więc nie trać czasu, Cymmerianinie!

Conan bardzo był ciekaw, dlaczego Biorri i gospodarz ciągle wspominają księcia, ale zaraźliwy przykład przyjaciela, który błyskawicznie pałaszował pieczonego barana, zmusił go do porzucenia tych myśli. Ostatecznie książę nigdzie nie ucieknie, a wino i baran mogą zaraz zniknąć. Puste półmiski na ich stole zamieniono na pełne, pojawiły się nowe dzbany z winem, a oni ciągle siedzieli, ciesząc uszy podzwanianiem kubków, głośnym śmiechem wesołej kompanii przy długim stole pośrodku sali, wdychając zapach palących się smolistych polan, smażonej cebuli i ciężki aromat wspaniałego

wina. Wreszcie, najedzeni, odsunęli się od stołu, rozparli na ławach, spoglądając życzliwym okiem na biesiadujących ludzi.

Conan przywykł oglądać w tawernach zakopcone sufity i poczerniałe belki stropów. Jednak tutaj nie znalazł nad swoją głową ani śladu kopcia czy brudu. Sufit między ciemnymi belkami ze szlachetnego dębu był świeżo pobielony, co powodowało, że całe pomieszczenie wydawało się wyższe i obszerniejsze. Na ścianach widniały sceny z polowań i turniejów rycerskich, namalowane przez jakiegoś pijanego artystę bez gustu, aczkolwiek w sposób bardzo wyrazisty. Jaskrawe kolory gorzały w promieniach słońca, przedostających się do wnętrza przez wąskie okienka z maleńkimi szybami w artystycznie kutych miedzianych oprawach.

– Dokąd mnie przyprowadziłeś, Biorri? Przecież zostawię tu polowę sakiewki! Takie zajazdy są nie dla nas, lecz dla wielkich rycerzy!

– Dla wielkich rycerzy! Siedzą właśnie przy tym długim stole. Czy wyglądają na bogatszych od nas?

Conan przyjrzał się im uważniej: rzeczywiście, niczym nie różnili się od innych ludzi – potargane włosy, wyświechtane spodnie, koszule z grubego szarego płótna, miecze w wytartych skórzanych pochwach... Za to ich radości starczyłoby na całą królewską ucztę. Dolatywały stamtąd głosy:

– Hej, Lisie, przysiadz się do nas! Wypijemy za twoje zdrowie!

– Lisie, przyjacielu, każ podać jeszcze dzbanek wina! I barana! Mamy dziś dobry dzień – wszystko sprzedaliśmy, do samego końca!

– Dziewczęta, dziewczęta, nie uciekajcie, posiedźcie z nami, bo bez was wino nie jest słodkie!

Zbliżał się wieczór i przybywało coraz więcej gości. Byli tu kupcy, którzy przyjechali z daleka i zatrzymali się w „Starym Lisie”, i okoliczni mieszkańcy, których co wieczór wabiły pełne dzbany, dymiące półmiski, a przede wszystkim ładniutki, pulchne służki, ze śmiechem wywijające się od poklepywań i pocałunków.

Kilku strażników postawiło w rogu halabardy, żeby wygodniej zasiąść przy stole, zanim wyruszą na nocny obchód ulic miasta.

Wkrótce zajazd pełen był ludzi, a usługujące dziewczęta wraz z kilkoma kuchcikami bez ustanku biegały między stołami, roznosząc dzbany i zakąski. Stary Lis, gdy już się rozejrzał po swoim gospodarstwie i stwierdził, że wszystko jest w porządku, skierował się do najdalszego stolika w kącie sali.

– Popatrz tylko, przyjacielu – sam Lis do nas zmierza! Ech, stęskniłem się przez rok za nim i za jego szynkiem! Gdyby nie to, że

nosi mnie po świecie, osiadłbym tutaj, popijając jego wino i porastając tłuszczem od tego, co tu pitraszą. Rzecz w tym, że mam bez liku takich przyjaciół i wszędzie muszę pobyc. No, on zaraz z nami wypije, a ty zapytaj o księcia, bo przecież widzę, że ciekawość aż cię rozpiera. Pytaj, o czym jak o czym, ale o księciu Lis lubi pogadać.

Biorri zdążył złapać za spódnicę ładniutką dziewczynę, klepnął ją po pupie i zażądał, żeby przyniosła kubek dla gospodarza. Błyszczący oczkami, uśmiechnęła się i żwawo jak ptaszek dokądś poleciała. Kiedy Lis wreszcie do nich dotarł, trzeci kubek stał już na stole. Dziewczyna okazała się przewidująca i przy okazji przyniosła też nowy dzban wina.

Uśmiechnięty Lis usiadł na ławie obok Biorriego, naprzeciw Conana, i wymownie spojrzął na puste kubki:

– Biorri, mój chłopcze, jeszcze słońce nie zaszło, a ty już jesteś zmęczony? Nie poznaję cię, nie poznaję! A i twój przyjaciel, na oko taki chwata, siedzi z pustym kubkiem i wpatruje się w sufit – przecież to zniewaga dla „Starego Lisa”! Jak cię zwa, synku? – zapytał Conana, przysuwając do siebie kubek.

– Na imię mam Conan. I wybacz, że patrzyłem nie na to, co trzeba. Widać zbyt słabo smakowała nam ta baranina, a przejedzony człowiek chętniej gapi się potem w sufit niż na ładne dziewczęta. Pozwól, że napełnię kubki.

– Nie, chłopcze, teraz moja kolej nalewać wino. Masz rację, jedząc barana nie należy zapominać o kubku. Widzę, że znasz się na rzeczy. Biorri, gdzieś znalazł takiego dzielnego młodzieńca? Przyjemnie z nim i wypić, i pogadać.

– A czyż ja, stary szalbierzu, sprowadziłem tu kiedy nieodpowiednich gości? Przypomnij sobie, z kim tu przyjechałem w zeszłym roku. Wprawdzie zapomniałem już, jak się nazywał, ale też był to chłop na schwał. Na trzeci dzień omal nie połamał mojej erty, kiedy sam spróbował śpiewać, ale przecież nie każdy ma talent... Za to pił, jak nikt inny...

– Jestem pierwszy raz w Menorze i bardzo się cieszę, że trafiłem do twojego szynku, do twego zajazdu. Wypijmy, gospodarzu, za to, żeby rozkwitał on i żeby różni książęta – przy okazji może opowiesz o tej koronie nad bramą? – żeby książęta wychodzili ze swoich pałaców i jak najczęściej zaglądali tutaj.

– No, Biorri, co za zuch z tego Conana! Jak to powiedział – „żeby jak najczęściej zaglądali tutaj!”. Trafił w samo sedno, o niczym jeszcze nie wiedząc! Bo ty mu nie powiedziałaś?

– Nie, Lisie, tylko ty możesz opowiedzieć tę historię jak należy, a popatrz, czeka na to, aż mu się oczy świecą! Nie, widzę, że potrzebny będzie nam jeszcze jeden dzban. Ej, ślicznotko, daj wina, najlepiej od razu dwa dzbany! Bo inaczej tu uschniemy!

– Tak, no więc książę... Najpierw jednak wypijmy za jego zdrowie! – I gospodarz opróżnił kubek.

Conan i Biorri natychmiast poszli za jego przykładem.

– Zdarzyło się to dawno, jakieś piętnaście lat temu, kiedy rządził tu mój ojciec, który odbudował ten zajazd. Ja byłem wówczas jeszcze dość młody, nie miałem piętnastu lat, i znano mnie w Menorze jako zawadiakę i hulakę. Ojciec obawiał się nawet, że w jakiejś bójce roztrzaskają mi głowę i zostanie bez następcy. Ciągłe groził kijem i nakazywał, żebym więcej dbał o siebie. Oczywiście, z latami nieco się uspokoiłem, ale nie o tym teraz chcę mówić...

Pewnego razu, kiedy nie udało mi się wymknąć z domu i musiałem pomagać służbie roznosić wino, zaszedł do nas i stanął u progu ubogo odziany młodzieniec. Nikt prócz mnie nie zwrócił na niego uwagi – a ja nagle stanąłem jak wryty z dzbankiem w rękę. Ocknąłem się dopiero wówczas, kiedy ojciec pchnął mnie kolaniem poniżej pleców, i zaniósłem dzbanek na miejsce. A młodzieniec ciągle stał przy drzwiach i rozglądał się, niezdecydowany, czy wejść dalej.

Sam nie wiem, dlaczego poczułem doń nagłą sympatię. Pozornie nic w nim nie było szczególnego – jasne włosy do ramion, szare zdziwione oczy, rumiane policzki, stara czapka bez pióra, znoszony płaszcz, dziurawe buty... I od razu widać, że w szynkach nigdy nie bywał. Gdy nasze oczy się spotkały, młodzieniec uśmiechnął się i powiedział: „Chciałbym się napić wina... I zjeść coś... od rana nie miałem nic ustach...”.

Inny po prostu przepchnąłby się przez tłum, usiadłby na ławie i krzyknął: „Ej, jest tam kto?! Dawaj coś do jedzenia i wypicia!”. A ten... Od razu poczułem, że coś tu nie tak.

Posadziłem go przy tym właśnie stole, przyniosłem wina i pieczoną gęś z kapustą – pamiętam to jak dziś! Chłopiec zaczął jeść... I wtedy nagle zrozumiałem: z pewnością uciekł od bogatych rodziców i poszedł w świat szukać przygód. W ten sposób po raz pierwszy w życiu znalazł się w szynku. Wszystko to tak mu właśnie powiedziałem. A on jak się nie zacznie śmiać! Cała jego nieśmiałość natychmiast zniknęła. Popatrzył na boki, przyjrzał się, jak prości ludzie jedzą i piją, klepnął mnie po ramieniu i powiedział: „No, widać sam Mitra przywiódł mnie do tego szynku! Właśnie potrzebowałem

takiego filuta jak ty! Zaraz napijemy się jeszcze waszego cienkusza, zjemy do końca tę chudą gęś i pójdiesz ze mną na łączkę na tyłach waszego zajazdu. Chcę z tobą porozmawiać”. Coś podobnego – on chce ze mną porozmawiać! Omal nie zakrztusiłem się winem ze śmiechu, ale mimo wszystko poszedłem na łączkę: było w nim coś takiego, co zmusiło mnie do podporządkowania się jego woli...

Usiedliśmy na trawie za krzakiem, żeby ojciec mnie nie zobaczył, i młodzieniec zaczął mówić. A ja słuchałem go z otwartą gębą. Tak, nigdy nie wiadomo, kiedy bogowie okażą się łaskawi, a kiedy ześlą nieszczęście. Okazało się, że to nie żaden szalapat, któremu pomieszało się w głowie od bogactwa, lecz syn samego księcia! Jedyny syn, nasz obecny władca... Biorri, słyszałeś tę historię już wiele razy, tak więc nie ma powodu, żebyś zapominał o kubkach! Widzisz przecie, że mnie, staremu, zaschło w gardle, a siedzisz beczynnienie i gapisz się na Sintę. Nigdzie się ona nie podzieje i macie jeszcze całą noc przed sobą.

Tak, na czym to ja skończyłem? Siedzimy więc na trawce, a młodzieniec mówi mi, że jego ojciec, stary książę, jest bardzo chory i zapewne nie pożyje długo. I już wkrótce on, Orgeld, będzie musiał rządzić księstwem. Tymczasem ze wszystkich ksiąg i legend wynika, że dobry władca nie tylko powinien umieć siedzieć na tronie, lecz musi wiedzieć, co dzieje się dokoła, jak żyją i co myślą prości ludzie... Mówił bardzo mądrze, ale go zrozumiałem. „Tak – rzekłem – masz rację, synu księcia! Do siedzenia na tronie sam tyłek wystarczy, ale żeby władać ludźmi, potrzebna jest głowa!”. W ten sposób się zaprzyjaźniliśmy. Powiedział, że przyjdzie jutro, i odszedł, pozostawiwszy złotą monetę. Za tę naszą gęś! Kiedy wróciłem do szynku, ojciec powitał mnie z polanem w ręku. Powiedziałem mu, że nie jestem już smarkaczem. Że mam bogatego przyjaciela i odtąd będę z nim spędzał wiele czasu. Ojciec znów zamachnął się na mnie polanem, a wówczas ja pokazałem mu złotą monetę. Dał mi spokój, a kiedy powiedziałem potem w sekrecie, co to za przyjaciel, całkiem się rozkrochmalił. „Teraz – powiedział – mogę być o ciebie spokojny! Jesteś prawdziwym Lisem i niech Mitra ma cię w opiece!”.

A ten młody następca tronu, Orgeld, okazał się wprost nienasycony. Wszystkiego chciał się dowiedzieć – i o drogach, i o rozbójnikach, i kto czym się zajmuje... Przez rok obeszlśmy z nim całe księstwo, tylko we dwóch, bez żadnej straży. Potem zniknął mi z oczu. I nagle wiadomość: umarł stary książę. No, myślę sobie, żegnaj, przyjacielu, już więcej się nie zobaczymy! – Stary zanurzył usta w kubku, żeby przepłukać wyschnięte gardło.

Biorri mrugnął do Conana, uśmiechnął się i trącił go pod stołem nogą. Conan z szacunkiem spoglądał na łysogo właściciela szynku, który niegdyś uczył rozumu młodego księcia.

– Tak, kiedy z Biorrim jechaliśmy tutaj, ciągle się dziwiłem, jaki panuje porządek na drogach. Niemniejszy niż w stolicy. Potrzebna do tego żelazna ręka i dobra głowa. Jak słusznie zauważyłeś, sam tyłek nie wystarczy do rządzenia. No, teraz już wiem, że prawdziwym dobrodziejem tego kraju jest mądry Stary Lis. Należy za to wypić!

– Tak, wiele czasu spędziłem z tym młodzieńcem, a on wszystkim chytał w lot. Oto co znaczy urodzony władca! Wypijemy, pójdę do kuchni sprawdzić, czy wszystko w porządku, a potem tu wrócę. Biorri, pilnuj, żeby kubki nie stały próżne, bo gotów jestem pomyśleć, że się starzejesz.

Gospodarz wstał i podchodząc to do jednego, to do drugiego stołu witał się z gośćmi, poklepywał ich po ramionach i po plecach ogromnym łapskiem porośniętym rudymi włoskami, aż wreszcie zniknęła za niewielkimi drzwiami po drugiej stronie izby.

– No, teraz nieprędko wyjdzie z kuchni. Dobrze, resztę sam dopowiem – stary się nie obrazi.

Nie, nie zapomniał go młody książę, nie zapomniał. Ogłosił, że bierze jego zajazd pod osobistą opiekę, pozwolił Lisowi umieścić na szyldzie koronę książęcą, od tej pory piwnice są tu pełne książęcego wina i dziczyzny, a przyrządza ją najzdolniejszy uczeń książęcego kucharza. No i sam książę po dawnej znajomości przychodzi tu czasem w starej czapce, tylko że teraz za bramą czeka na niego oddział straży. No cóż, inaczej już być nie może...

Jeszcze raz osuszyli kubki i czarnooka Sinta zaproponowała, że pokaże im pokoje. Conan poszedł za nią na górę, marząc o tym, by leć na miękkim łożu, podczas gdy niez mordowanego Biorriego ktoś już ciągnął do wesołej kompanii, by zagrał im na ercie.

Sinta zaprowadziła Conana do przestronnej czystej komnaty z szerokim łożem, wielkim stołem i dwoma rzeźbionymi krzesłami. Na podłodze leżała dobrze wyprawiona skóra niedźwiedzia.

– Przynieś tu jeszcze wina, ślicznotko, i powiedz, żeby tam na ciebie nie czekano. Posiedzimy razem, porozmawiamy o tym i owym...

Dziewczyna zaśmiała się, skinęła głową i pobiegła po wino. Conan niespiesznie zdjął płaszcz, pas z mieczem i sztyletami, buty. Gęsta niedźwiedzia sierść przyjemnie łaskotała w stopy.

A z dołu, z sali, słychać było brzdąkanie erty i niespodziewanie silny, niski głos Rudego Biorriego:

*Dobrym nie będę,
Styl to nie mój,
Zbójem był ojciec –
I ja jestem zbój.
Dobrym nie będę,
Bo na cóż mi to,
Gdy ponura ma twarz
I ponury mój wzrok.
A gdy dobra robota się nada
I jest zajęcie dla rąk,
W życiu takich jak ja
Dobroć to tylko zawada.*

III

Tego roku, jak zresztą zawsze w lecie w przededniu święta Obfitości Mitry, było pogodnie i upalnie. Chłopi cieszyli się z wyjątkowo bogatych plonów, a mieszczenie i rzemieślnicy korzystali ze słońca.

Dla Orgelda, młodego władcy Bergheimu, był to najprzyjemniejszy okres – zbliżało się długo oczekiwane święto. Tego dnia uroczysto odziani mieszkańcy Menory wylegali tłumnie na ulice, zbiegali się na placu koło świątyni. Po uroczystych obrzędach sam książę składał na ołtarzu Mitry bogate dary. I wówczas w mieście rozpoczynano tańce i hulanki, trwające do białego rana. Następnego dnia zaczynał się Wielki Turniej, ulubione widowisko księcia Orgelda. Na to święto zjeżdżali się do miasta goście z całego księstwa, nawet z samego Belverusu przybywali znamienici rycerze, mający ochotę wziąć udział w sławnym turnieju. Nagrodę dla zwycięzcy stanowił miecz z dewizą księcia, dający prawo do tytułów i zaszczytów, a prócz tego wspaniały koń ze stajni księcia i pełna zbroja z pozlacanej stali, niezwykle misternej roboty.

Po zakończeniu turnieju zaczynały się niezliczone bale, polowania, uczty i inne rozrywki, trwające niekiedy nawet dwa tygodnie.

Księżna Lavinia lubiła te turnieje nie mniej niż jej mąż. Widok ścierających się rycerzy napełniał radością jej gorące serce. Często

żałowała, że nie jest mężczyzną – tak wielką miała ochotę wsiąść na konia i wziąć udział w tej krwawej zabawie. I nieraz zdarzało się, że zwycięzca prócz nagrody księcia otrzymywał też cenną premię od pięknej Lawinii.

Młoda księżna była w łożu równie odważna i niezmordowana, jak jej wybraniec na polu walki. I rycerze nagrodzeni w ten sposób w następnym roku znowu rwali się do walki, żeby zasłużyć na jej łaskę.

Ciekawe, kto tym razem zostanie zwycięzcą? Księżna cichutko się zaśmiała, wspomniawszy młodego Braina, tak nieposkromionego w walce i tak niewprawnego w miłości. Na kilka dni zaszyli się wówczas razem w głębi lasu, w jednym z licznych myśliwskich domków, podczas gdy książe i jego goście uganiaли się po kniei za jeleniami.

Stojąc w otwartym oknie i spoglądając w dal, na zielone wzgórza i ciemne zagajniki, młoda księżna z radością myślała o oczekującym ją święcie i turnieju. Lekki wiaterek igrał z pasemkiem jej ciemnych włosów, pieścił wysmukłą szyję, rumiane policzki, wzywał tam, w przestworza. Chciałaby się czuć beztroska jak ptak, ale jakaś trwożna myśl sprawiała, że chmurzyła brwi, a na uśmiechniętych ustach pojawiał się gorzki grymas.

Odeszła od okna, natychmiast zapominając o młodym Brainie i o turnieju. Damy stojące w oddali zauważyły zmianę nastroju księżnej i na znak jej ręki spieszenie opuściły pokoje Lawinii.

Ostatnimi czasy księżna często je odsyłała, pozostając sama ze swymi niewesołymi myślami. Od wczesnego dzieciństwa wszystko układało się wyjątkowo pomyślnie w jej życiu, a niewątpliwie najbardziej powinna się cieszyć ze swego małżeństwa. Książe i księżna, młodzi i piękni, stanowili dla ludu ucieleśnienie ideału panującej pary: zachwycono się księciem Orgoldem, poważano go za to, że rządził zdecydowanie i mądrze, a ją, księżnę Lawinię, ubóstwiali za urodę i wesołe usposobienie.

Do tej pory doskonale rozumieli się z księciem, przysmykając oczy na swoje grzeszki, nieuniknione w życiu dworskim, wspierając się nawzajem w trudnych chwilach. A teraz – teraz wszystko stało się jakies chwiejne, nieokreślone, mąż chyba przestał jej ufać... I gdyby chodziło o jakąś kobietę – to jeszcze mogłaby zrozumieć! Jednak to, co się działo, było tak niepojęte, rzucało cień na jej własne życie i źle wróżyło księciu...

Lawinia, zagryzając wargi i miętosząc koronkową chusteczkę, krążyła po pokoju, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Nie pozostało

ani śladu po niedawnych przyjemnych myślach. Wreszcie usiadła w fotelu, machinalnym gestem prostując falbanki pięknej sukni, niebieskiej jak jej oczy. Księżna usiłowała uspokoić się, odegnać niespokojne myśli, ale leżały jej na sercu kamieniem, a nienawiść napływała niczym purpurowa fala, mącąc myśli.

Lawinia gwałtownie zerwała się z fotela i wyszła przez otwarte drzwi na szeroki, zadziwiająco zielony taras. Lekki wiaterek, który nie wiadomo skąd wziął się w ten upalny dzień, chłodził jej rozpaloną twarz. Lawinia przeszła się po tarasie, niewidzącym wzrokiem spoglądając na kamienne misy z rosnącymi w nich wspaniałymi różami, i zbliżyła się do balustrady.

Roztaczał się stąd szeroki widok na okolice Menory, którymi dawniej nigdy nie mogła się nacieszyć. Szeroka dolina, obramowana od strony horyzontu niebieskozielonym pasmem gęstego lasu, z niewielkimi łagodnymi wzgórzami i rzadkimi zagajnikami, ogromne bezdenne niebo, na które patrząc zawsze zazdrościła ptakom, wąska wstęga rzeki, napełniającej swą wodą fosę miejską – wszystko to dziś zniknęło, przyćmione niepokojem i bólem. Ech, Orgeld, Orgeld! Jak się on zmienił ostatnio, jak nie jest podobny do dawnego rozsądnego, spokojnego księcia! Odkąd go znała, zawsze chętnie przebywał z ludźmi doświadczonymi i mądrymi, którzy w trudnych sytuacjach mogli mu służyć dobrą radą. Niewątpliwie najlepszy z nich był baron Diss z Redbornu. Jaka szkoda, że umarł rok temu! Jak zagadkowa była jego śmierć, a później zniknięcie jego żony i siedmiu dorosłych synów! Cały dwór huczał jak pszczoły w ulu, wstrząśnięty tymi wydarzeniami, a księcia w owym czasie interesowało coś całkiem innego. Księżna już wówczas poczuła, że to nieczysta sprawa, ale książe jak gdyby oślepił, ogłuchł, nie chciał nic słyszeć ani widzieć.

Trudno uwierzyć, ale to właśnie dało początek jej kłótniom z mężem. I pomyśleć tylko, że winę za to ponosi tylko jeden człowiek. Tylko jeden, ale ile zła spowodował! Niech będzie przeklęty na wieki wieków!

Tak, coraz mniej wokół księcia ludzi, na których można polegać. Albo porzucają Menorę, wyjeżdżając do swoich posiadłości, albo znikają w tajemniczy sposób. Na ich miejsce pojawiają się nowi ludzie, co grozi buntem, albo... Księżna przyłożyła do rozpalonego czoła lodowate dłonie i padła na kolana.

Mitra, Mitra, Ojczye wszystkiego, co żyje! Dopomóż córce swojej! Dopomóż Orgeldowi i jego maleńkiemu synkowi!

Położyła się na dywanie, a jej ramionami wstrząsał bezgłośnie szloch. Jednakże stopniowo burza w jej duszy ucichła, księżna z trudem dźwignęła się, usiadła i w jej ciemnych, zupełnie suchych oczach pojawiły się złe błyski. Jeżeli tylko ona jedna na dworze przeczuwa nadciągającą tragedię, musi działać!

Trzeba tylko poczekać na odpowiednią chwilę, a z pewnością znajdzie jakieś wyjście z sytuacji. Nieraz już tak bywało, trzeba tylko umieć patrzeć i słuchać. A teraz musi się czymś zająć. Ból jak obręczą ścisnął jak głowę, zaćmiewał wzrok... Lawinia wolno wstała z podłogi i zaczęła wyciągać z włosów drogocenne grzebienie i szpilki. Błyszczące włosy ciężkimi kasztanowymi falami spłynęły na jej ramiona, sięgając aż do pasa.

Podeszła do lustra, chmurnym wzrokiem spoglądając na swe odbicie. Ale oto znów beztronski uśmiech pojawił się na jej twarzy i tylko w głębi oczu jarzyły się niebezpieczne iskry. Uderzyła złotym młoteczkim w maleńki gong wiszący tuż obok i do pokoju natychmiast weszły służące. Księżna usiadła w fotelu naprzeciwko lustra i zażądała:

– Uczeszcie mnie! Do tej sukni muszę mieć całkiem inną fryzurę! Z tyłu upnijcie włosy wysoko, a po bokach zróbcie maleńkie warkoczki i powplatajcie w nie perły. Przynieście też to lekkie białe wino, które tak lubię, i słodycze. Jest mi dziś smutno i macie mnie zabawiać rozmową!

Już po chwili nalano wina do wytwornego kubka, a na niskim rzeźbionym stoliku po prawej ręce księżnej postawiono paterę z różnymi łakociami. Lawinia potrząsnęła włosami i spojrzała figlarnie na jedną ze swych służebnic:

– Jondo, spryciulo, powiedz, jak oczarowałaś pięknego Lograsa, przecież jeszcze całkiem niedawno nawet nie chciał spojrzeć w twoją stronę, mimo że ciągle nawijałaś mu się przed oczy. Będę rada, jeśli skończy się to ślubem, i nawet dam ci posag. Jesteś dobrą dziewczyną i masz zręczne ręce. No i dlaczego upuściłaś grzebień? Rozczesuj mi włosy i nie milcz tak, chcę wiedzieć, jak ci się to udało. Owszem, jesteś bardzo ładna, ale wydaje mi się, że on wołał Brigindę.

Dziewczyna stanęła w pąsach, podniosła kościany grzebień i ostrożnie rozczesując włosy Lawinii zaczęła nieśmiało opowiadać:

– Tak, moja pani, tak bardzo się w nim zakochałam, że zapomniałam o bożym świecie. A on patrzył na tę zarozumiałą Brigindę jak na jakąś boginię. Och, ileż łez wylałam z powodu mojego Logra-

sa! Stroiłam się, ale nic nie pomagało, w ogóle mnie nie zauważał, aż nagle...

Księżna odstawiała kubek z nie dopitym winem, wzięła garść suszonych orzechów i uśmiechnęła się, dodając odwagi zażenowanej dziewczynie. Jonda zaczęła mówić dalej:

– A przecież ta Briginda wcale nie jest lepsza ode mnie! Też coś – pierwsza uczennica głównej hafciarki! Tylko że nosa zadziera, jakby była wielką damą, może to mu się w niej spodobało? Ale przecież i ja tak potrafię, jeśli tylko zechcę!

Lawinia nie wytrzymała i zaśmiała się:

– No to odłóż grzebień i pokaż nam, jak się nosi ta zarozumiała Briginda, i jak ty się zachowujesz przy nim, moja mała figlarko!

Jonda, ośmielona jej słowami, odłożyła grzebień na stolik, wyszła na środek pokoju, koniuzkami palców uniosła spódnicę i z wysoko zadartą głową zrobiła kilka wolnych kroczków w stronę księżnej. Wyszło to tak zabawnie i realistycznie, że Lawinia znów się roześmiała, rozsypując orzechy po podłodze. Dziewczęta rzuciły się, by je pozbierać, a Jonda, zatoczywszy krąg po pokoju, zatrzymała się przed księżną i skłoniła z powagą.

– Jesteś wspaniała i cieszę się, że ten chłopiec dostanie się tobie, a nie Brigindzie. A teraz powiedz wreszcie, na czym polega cały sekret – bo przecież coś w tym jest, prawda, Jondo?

– Tak, pani, ale to było straszne... Zdecydowałam się... Słyszałam, że... – Dziewczyna zmieszana się, nie wiedząc, jak to powiedzieć.

– No, co z tobą? Ciekawa jestem twojej historii i rozkazuje, żebyś mówiła dalej! – Księżna, udając, że się gniewa, nachmurzyła się i tupnęła nogą.

– Zaraz... zaraz wszystko opowiem – wyszeptła Jonda, podchodząc bliżej. Lawinia dała znak jednej ze służek, by postawiła u jej nóg zydeł obity srebrzystą materią. Jonda usiadła na nim posłusznie, ściskając rękoma kolana, i zaczęła opowiadać. Służki, zapominając o grzebieniach i włosach swojej pani, zamarły bez ruchu, a i sama Lawinia odwróciła się od lustra i wpiła wzrokiem w przestraszone i zarazem szczęśliwe oczy Jondy.

– Ja... ja poszłam do czarownicy... do starej Wegdy... – szepnęła dziewczyna, zakrywając twarz dłońmi. Za plecami księżnej jej służki poruszyły się przerażone. Lawinia uciszyła je gestem ręki i zapytała zdziwiona:

– Do czarownicy? Do Wegdy? Nigdy o takiej nie słyszałam. I co, potrafi pomóc zakochanym? – Serce jej mocno zabiło i bezdźwięcz-

ny głos szepnął w duszy: „Tego ci właśnie potrzeba! Nie przegap okazji!”.

– O, pani, ona pojawiła się w Menorze całkiem niedawno, najwyżej rok temu, ale wielu już ją zna! Pomaga wszystkim – zakochanym, nieśmiałym i tym, którzy pragną pozbyć się wrogów lub chcą poznać własną przyszłość. Najpierw wyrzuciła, że Logras do mnie będzie należał, nie do Brigindy, i dopiero wtedy zgodziła się uczynić mnie szczęśliwą. Ona nie walczy z losem, tylko mu pomaga – tak właśnie powiedziała...

Poszłam do niej nocą, sama jedna, nawet bez pochodni. Jak udało mi się znaleźć w ciemności jej domek, wie o tym tylko księżyc, który wyjrzał akurat zza chmur, kiedy omal nie przeszłam mimo... Och, jak strasznie jest w mieście, kiedy się idzie do czarownicy! Miałam wrażenie, że ktoś się za mną skrada, a w krzakach koło drogi ciągle coś potrzaskiwało i popiskiwało. Tysiąc razy gotowa byłam zawrócić, ale jak tylko przypomiinałam sobie zwycięski uśmiech Brigindy i Lograsa obok niej, natychmiast przybywało mi odwagi i szłam dalej.

– I co było potem? Doszłaś więc do jej domu...

– Doszłam do jej domu, a zza chmur właśnie wyjrzał księżyc. Stałam na ganku i zapukałam do drzwi. W domku było ciemno, nie świeciło się żadne okno, ale drzwi natychmiast się otworzyły i usłyszałam skrzypiący głos: „Wejdz, wejdz, dziewczyno, dziś jest twoja noc i czekam na ciebie!”. Och, jak się przestraszyłam, ale już się nie mogłam wycofać. Drzwi zamknęły się za mną i znalazłam się w całkowitych ciemnościach. Serce nieomal wyskoczyło mi z piersi, myślałam, że zaraz umrę ze strachu. Nagle, sama nie wiem jak, zapaliła się jedna lampa, druga, trzecia...

Stałam pośrodku ogromnej izby, tak wielkiej, że w żaden sposób nie mogłaby się pomieścić w tym domku na kurzej nóżce, do którego przed chwilą weszłam. A obok mnie stała chuda, wysoka starucha w czarnej sukni z czerwonymi frędzlami. Bez słowa zaprowadziła mnie w drugi koniec izby, posadziła na krześle, sama usiadła obok i zaczęła wpatrywać się w moją dłoń. Trudno opisać, jak się wówczas bałam!

– Co tam było takiego straszego? – z ciekawością zapytała księżna.

Dziewczęta za jej plecami zamarły, bojąc się poruszyć.

– Siedzisz, starucha ogląda twoją dłoń, co w tym takiego dziwnego?

– W tej ogromnej izbie cały czas latały jakieś ptaki czy nietoperze, muskając mnie swymi skrzydłami. Wzdrygałam się, a starucha gniewnie spoglądała na mnie czerwonymi oczami. Klnę się na Mitrę, że miała czerwone oczy!

Chłód przeszedł Lawinii po plecach, ale w dalszym ciągu spokojnie wypytywała wzburzoną dziewczynę:

– Czemu zamilkłaś? Ciekawa jestem, co było dalej. Mów i nie bój się, przecież masz to już za sobą!

– Och, pani, jak tylko sobie to przypominę, zimno mi się robi ze strachu! Potem, kiedy powiedziała, że Logras jest mi pisany przez los, natychmiast zniknęły gdzieś ptaki i nietoperze, a oczy czarownicy stały się całkiem zwyczajne, czarne, wcale nie takie złe. Poglądała mnie po głowie i powiedziała: „Jesteś odważną dziewczyną, skoro tu przyszłaś! Słusznie zrobiłaś, o szczęście trzeba walczyć! Jeśli jest ci przeznaczone, nikomu go nie oddawaj!”. Długo jeszcze coś mruzczała i łagodnie głaskała mnie po głowie. Tak osłabłam, że prawie zasnąłam. A kiedy z trudem otworzyłam oczy, na dłoni staruchy leżał medalion, o ten. – Jonda pokazała prosty medalion wiszący na jej szyi: metalowy, owalny, z małym kwiatuśkiem z niebieskich kamyków. Czarny jedwabny sznurek jaskrawo kontrastował z delikatną skórą i przez to szyja dziewczyny wydawała się jeszcze bielsza.

– A następnego dnia, o pani, mój Logras całkiem się odmienił. Kiedy przechodziłam obok niego, nagle się zatrzymał i spojrzał na mnie takim wzrokiem, że pomyślałam: może wziął mnie za moją panią, piękną księżnę?

Lawinia, śmiejąc się, poklepała dziewczynę po policzku:

– Widzę, że już żartujesz, a więc minęły twoje lęki. Mówisz, że teraz patrzy tylko na ciebie? A co z tą zarozumiałą Brigindą?

– Spogląda na mnie jak rozwścieczona kotka, ale po tym, co przeżyłam w domku czarownicy, niczego już się nie boję, żebym tylko miała Lograsa. A będąc go miała i niczego mi więcej nie trzeba.

– Jak mówiłaś, gdzie mieszka ta starucha? Wyobrażam sobie, jak straszno było iść samej w ciemnościach. Przez którą furtkę wyszłaś?

– Od tyłu, potem przeszłam przez całą aleję, znalazłam się na ulicy Szkarłatnej Baszty i skręciłam w trzeci zaułek. Tam, w samym jego końcu, przeszłam przez jar i skręciłam na prawo. Odnalazłam niemal po omacku piąty dom i wtedy właśnie zaświecił księżyc. Najpierw wybrałam się tam w dzień, żeby nocą nie zabłądzić, i zapa-

miętałam ten dom po wysokim uschniętym drzewie na podwórzu. Nigdzie więcej nie ma tam takich, tylko niskie krzaki. Och, jak było strasznie w nocy! – Znowu wzdrygnęła się, wspominając swoją przysgodę.

Lawinia potrząsnęła nie uczesanyymi ciągle włosami i powiedziała:

– Jondo, tak mnie zabawiałaś, że zapomniałam o swojej fryzurze. Masz tu na szczęście mój ulubiony pierścień, a przed ślubem jeszcze coś ci podaruję. Teraz zaś szybko rozczeszcie mi włosy i załóżcie na nie siatkę z małymi perełkami, ponieważ zrezygnowałam z wysokiej fryzury.

Szczęśliwa Jonda i inne służki zajęły się włosami swej pani, a ona, w zadumie gryząc słodkie orzechy i dopijając wino, niewesoło uśmiechała się do swoich myśli.

IV

Do święta Obfitości Mitry pozostały zaledwie trzy dni i była to ostatnia noc, kiedy księżna mogła zrealizować swe zamysły. Wszyscy doskonale wiedzieli, że wróżbici, magowie i prorocy trzy dni przed świętem tracą swą moc, a jeśli mimo to usiłują coś uczynić, przepowiedzieć, Przejśniejszy nie ma dla nich litości: zaledwie kupka popiołu pozostaje z takiego nieposłusznego człowieka. Tylko kapłani Świętyni Mitry w owe dni urządzali uroczyste procesje na pola i pastwiska, prosząc boga o dobre urodzaje na przyszły rok.

Lawinia, gdy dziewczęta ułożyły jej włosy, odesłała je i zadumała się. Do wieczora jeszcze daleko, ale nie może przecież niczym jakaś służka wyjść z dworu, żeby w biały dzień zbadać drogę. A więc trzeba będzie iść nocą, przemykać się nie znanymi ciemnymi uliczkami, przedostać się przez jar – w dodatku bez pochodni! Chociaż może to i lepiej: nikt nie zobaczy samotnego światła wędrującego w ciemności, nikt nie będzie jej śledził. Musi to zrobić sama. Sama...

Tylko ona pozostała dziś w pałacu... Nie, jest jeszcze maleńki książe, przyszedł władca Bergheimu, jej radość i nadzieja. Jest on tak bezbronny, a łatwo przekupić niańkę czy służącą...

Księżna gwałtownie zerwała się i ogarnięta najgorszymi przeczuciami skierowała się do pokoi maleńkiego księcia. Biegnąc wąskim korytarzem przestraszyła służące, które niosły patere z owocami i żywego zajączka. Otworzyła drzwi i wpadła do sypialni. Na

miękkim dywanie pośrodku komnaty siedział trzyletni złotowłosy chłopczyk i śmiał się wesoło, patrząc wielkimi oczami na udomowioną sówkę, która przycupnęła na oparciu krzesła. Wierciła się tam, potrząsała ogonkiem i niewyraźnie powtarzała słowa, których nauczyły ją służki:

– Książę, książę, jedz, jedz!

Przeskoczyła na poduszkę leżącą u nóg chłopca i kręciła głową, spoglądając na niego chytrymi błyszczącymi oczkami. Na widok księżnej sówka kilka razy podskoczyła na poduszce, przeleciała na kotarę wysokiego łóżka i stamtąd odezwała się jeszcze głośniej:

– Książę, książę, jedz, jedz!

Ten widok uspokoił księżnę. Usiadła na poduszkach obok chłopca. A on, ciągle się śmiejąc, wtulił twarz w falbany jej spódnicy. Lawinia wzięła z rąk służki maleńkiego zajączka, posadziła go na dywanie i powiedziała do syna:

– Popatrz, Eryku, co ci przyniesiono z lasu!

– Oj, mam, on skacze! Zaraz stąd ucieknie!

Służące obstały ich ze wszystkich stron i rozłożyły szerokie spódnice, nie pozwalając zajączkowi uciec do kąta, a maleńki Eryk, tupiąc mocnymi nóżkami, zaczął się uganiać za tą żywą zabawką po całej sypialni.

Lawinia pozostała z synem do samego wieczora i dopiero gdy usnął, udała się do siebie. Służące pomogły jej się rozebrać i odeszły. Tego wieczora nie było księcia we dworze – wytropiono niedźwiedzie i z samego rana książę wraz z dziesiątkiem baronów i drużyną strzelców udał się do północnego lasu. Ta noc należała do niej.

Ubrała się w ciemną suknię, mocne myśliwskie buty i szeroki ciemny płaszcz z kapturem. Zamknawszy od wewnątrz drzwi, bezszelestnie podeszła do rzeźbionej boazerii w kącie sypialni. Lekko nacisnęła okrągłą rozetkę, niemal niewidoczną wśród liści ornamentu, i uśmiechnęła się, widząc, jak wolno otwierają się przed nią tajemne drzwi, prowadzące do ogrodu. W samym jego końcu, w pięknej grocie, gdzie tak przyjemnie odpoczywało się w upalne dni, było wyjście z pałacu, o którym wiedzieli tylko ona i książę.

Cichcem wyszła z obrośniętej bluszczem pieczary i szybkim krokiem udała się w stronę furtki. Dwa razy przekreśliła klucz w zamku i furtka otworzyła się bez skrzyphu. Jedna chwila – i księżna niczym nocna ćma rozplynęła się w ciemności.

Lawinia biegła ciemną aleją, niemal nie dotykając nogami ziemi, nie czując ani odrobiny strachu. Płomień nienawiści, trawiący jej

serce, oświetlał drogę lepiej niż jakakolwiek pochodnia. Żaden kamień nie zazrzytał, żadna gałązka nie zatrzeszczała pod jej lekkimi krokami.

Wokół było całkiem cicho. Jonda mówiła z przerażeniem, że słyszała za plecami i w krzakach jakieś kroki, dziwne dźwięki. Księżna, choć bardzo się przysłuchiwała, nie słyszała nic. Z ulicy Szkarłatnej Baszty skręciła w trzeci zaułek i wkrótce zobaczyła, a raczej poczuła, że droga gwałtownie opada. A więc wreszcie doszła do jaru! Trzeba teraz przejść na drugą stronę i skręcić w prawo, a potem odnaleźć piąty dom...

Lawinia ostrożnie, przytrzymując się gałązek rzadkich krzaków i łodyg wysokich, ostrych traw, zaczęła schodzić po bielejącej w ciemnościach ścieżce.

Spod jej nóg z głośnym furkotem wzbil się w powietrze jakiś wielki ptak. Księżna zatrzymała się na chwilę, żeby uspokoić wściekle łomoczące serce, a potem ruszyła dalej.

Z trudem wdrapała się na strome zbocze jaru. Stała na górze i rozejrzała się. Gdzieś za chmurami ledwie dostrzegalnie świecił księżyc, nie pomagając nocnym podróżnym, jedynie ich drażniąc. Wstęga ścieżki znikwała w gęstych krzakach. Lawinia po chwili wahania poszła nią, rozsuwając gałęzie, i wkrótce znalazła się na cichej uliczce. W jej głowie głośno huczało: „Na prawo... Piąty dom... Uschnięte drzewo...”. Skręciła na prawo, wpatrując się w niewyraźne zarysy dachów.

Im dalej szła wąską, jakby wymarłą uliczką, tym jaśniej robiło się wokół. Chmury, szczelną kurtyną skrywające księżyc, nagle zaczęły rozpadać się na strzępy, a wysoki wiatr zmiótł je na bok, odsłaniając kawałek czystego nieba i oślepiający perłowy dysk. Całą ulicę zalało srebrzyste światło, widać było nawet maleńkie kamienie pod nogami. Przed jej oczami, niczym wiecha oznaczająca drogę, pojawiło się wysokie uschnięte drzewo z nagimi gałęziami, wzniesionymi do góry niczym kościste ręce.

Księżna wolno podeszła do walącego się płotu, stanęła, rozejrzała się i dostrzegła niemal całkowicie ukryty w gęstych krzakach maleńki domek. W świetle księżyca wydawał się bardzo mały, miał krzywy dach i dwa okienka, mętnie połyskujące po obu stronach ganku. Stopnie ledwie dosłyszalnie skrzypnęły pod jej ostrożnymi krokami. Księżna, czując, że cała drży, nieśmiało dotknęła ręką umocowanego do drzwi żelaznego kółka. Nagle poczuła przyływ dumy i determinacji i zdecydowanie zastukała do drzwi. Po tamtej stronie

nikt się nie odezwał. Wówczas Lawinia, zagryzając wargi, zła na cały świat, ze wszystkich sił zabębniła pięścią po zmruszonych deskach.

Z głębi domku dało się słyszeć szuranie, skrzypnęła podłoga, rozległo się jakieś niewyraźne mruczenie i ktoś zaczął się mocować z licznymi zasuwami. Wreszcie drzwi otworzyły się bezgłośnie i księżna zdecydowanie weszła do ciemnego domu.

– Idź prosto przed siebie, nie bój się i nie oglądaj! – usłyszała nagle za sobą dźwięczny kobiecy głos. Lawinia, kurczowo zaciskając w rękach tasiemki płaszcza, poszła naprzód, usiłując cokolwiek wypatrzyć w całkowitych ciemnościach.

Całkiem niespodziewanie po prawej stronie pojawił się jasny punkcik, potem po lewej, kilka ogników rozbłysło przed nią. Zobaczyła, że stoi na środku ogromnej sali, takiej jak sala galowa pałacu książęcego. Rozglądając się zdziwiona, przypomniała sobie, co opowiadała Jonda. Tak, w tej sali zmieściłoby się co najmniej z dziesięć takich lichych chatynek, do jakiej przed chwilą weszła! I jak bogato jest urządzona! Któż mógłby przypuszczać, że walący się domek skrywa za poczerniałymi drzwiami takie wspaniałości! Jakby w odpowiedzi na jej myśli rozległ się głos:

– To nie dla wszystkich, moja księżno, tylko dla szczególnych gości! Wyłącznie ich przyjmuję w salach mego pałacu!

Lawinia gwałtownie odwróciła się i mimo woli cofnęła o krok – stała przed nią niemłoda dostojna kobieta z czarnymi, nieco siwiejącymi włosami, swobodnie opadającymi na ramiona. Co za głupstwa mówiła Jonda! Starucha?! Zapewne przestraszona dziewczyna oczu nie podniosła na czarownicę.

Księżna nie mogła oderwać wzroku od jej spokojnej, władczej twarzy, od wyniosłej postaci, odzianej w luźną suknię z czarnego, lejącego się jedwabiu, z bogatym czerwonym haftem, jaskrawym jak języki płomieni. Uśmiechając się, gospodyni uprzejmym gestem wskazała Lawinii jeden z połączonych foteli, stojących przy ogromnym kominku, zbudowanym z wielkich czarnych kamieni. W jego bezdennych czeluściach natychmiast pojawił się ogień i księżna poczuła ożywcze ciepło. Z ulgą usiadła, zsunęła z głowy kaptur i zachwycona zaczęła rozglądać się dokoła.

Lampy, które w cudowny sposób rozbłysły w ciemności, oświetlały wspaniałą salę, godną samej królowej. Wysoki sufit podtrzymywały kolumny, obłożone drogocennym jaspisem, ściany ozdobione były boazerią z rzeźbionego, połączanego drzewa dębowego. Wy-

sokie okna wychodziły na niezwykle ogród, z którego napływał aromat nocnych kwiatów i skąd słychać było granie zakochanych świerszczy.

Czarownica siedziała naprzeciw księżnej i nie mrugając wpatrywała się w nią czarnymi, zamyślonymi oczami. Lawinia nawet nie zauważyła, kiedy między nimi pojawił się stół z dwoma kubkami.

– Napij się mojego wina, księżno, za to, żeby spełniły się twoje życzenia. A i ja chętnie wypiję z tobą za śmierć przekłętego Ferdina! – Oczy czarownicy rozbłysły czerwonym ogniem; podniosła swój kubek.

Księżna drgnęła: czarownica odczytała jej myśli, powiedziawszy głośno, w jakim tu przysła celu. Na Mitrę, nie jest przecież żadną krwi zbrodniarką! Ale nie ma innej drogi. Z westchnieniem wzięła w ręce ciężki kubek i patrząc w oczy Wegdzie powtórzyła z całą mocą:

– Za śmierć przekłętego Ferdina!

Młoda księżna i tajemnicza kobieta, siedząca naprzeciw niej, piły w milczeniu cierpkie wino, jak gdyby dopełniając jakiegoś obrzędu. Głośno potrzaskiwały grube polana w ogromnym kominku, a snopy iskier oświetlały złocistymi refleksami dwie twarze zwrócone w stronę ognia.

Surowa twarz Wegdy, ze ściągniętymi czarnymi brwiami, wyraźnie mówiła, że ma ona własne porachunki z Ferdinem. Kryła się w tym jakaś tajemnica, co nieco zaniepokoiło Lawinię. Dopiewszy wino, odstawiła kubek na stół, spojrzała prosto w oczy czarownicy i powiedziała:

– Widzę, że ludzie nie bez podstaw sławią twoją moc! Ledwie zapukałam, a już wiedziałas, co mnie sprowadza!

– Wiedziałam o tym od dawna! – schrypniętym głosem zaśmiała się czarownica. – Podły nikczemnik! To on jest sprawcą twoich nieszczęść. I nieszczęść całego księstwa. Jednakże Ferdin zginie nie z twojej, ani nie z mojej ręki, chociaż z wielką chęcią wbiłabym w niego sztylet lub podała truciznę... Jest mu sądzony inny los i nie mogę tego odmienić. Co ma być – będzie! Ja mogę tylko przyspieszyć nieco to, co zaplanowali bogowie. – Zamilkła, znów zwracając się w stronę ognia, jakby chcąc odczytać z niego wołę niebios. – Usiądź bliżej kominka, popatrzę na twoją dłoń i powiem, co, będąc tak odważną kobietą, możesz uczynić, żeby przyspieszyć jego kres.

Lawinia już się nie dziwiła, że stół, na którym jeszcze przed chwilą stały kubki, zniknął, a jej fotel znalazł się tuż obok fotela

czarownicy. Podała Weddze szczupłą, silną dłoń i również zaczęła się w nią wpatrywać, starając się coś odczytać z jej linii.

Wedga ujęła rękę księżnej w swe gorące dłonie, pochyliła głowę tak, że włosy niemal zasłoniły jej twarz, i wolno zaczęła wodzić palcem po dłoni Lawinii:

– Spokojne dzieciństwo... Szczęśliwa młodość... Udane małżeństwo... A oto fatalne spotkanie! Spotkanie niosące śmierć! I drugie spotkanie – niosące długie szczęśliwe życie! Masz dwie drogi... I tylko ty sama, księżno, możesz dopomóc swemu losowi! Nienawiść nawija się jak nitka na kłębek, nawija, a ogień wszystko trawi, wszystko zabiera! Tylko wówczas dusze zaznają spokoju, a księciu powróci rozum...

Lawinia słuchała zdrętwiała, starając się nie uronić ani słowa. Równocześnie zdawało jej się, że nie rozumie ani słowa i że wszystko jest takie jasne. Linie dłoni migają jej przed oczami, tworząc obraz skrzyżowanych mieczy, zarys nieznanym twarzy, a potem nagle zobaczyła psie pyski z wyszczerzonymi zębami...

Znurzona zamknęła oczy i odchyliła się na oparcie fotela. Czarownica położyła coś na dłoni księżnej i zacisnęła jej palce. Lawinia drgnęła, uniosła ciężkie powieki i zobaczyła tuż przed sobą zmęczoną twarz z gorejącymi oczami. Włosy, zwieszane na zapadłe policzki, kołysały się, poruszane lekkim wietrzykiem, który wpadł nagle do sali. Języki płomieni w lampach trwoźnie migotały, ogień w kominku huczał wściekle.

– Weź to, księżno, i strzeż tak jak własne dziecko! W tym pudełeczku jest smarowidło sporządzone według starodawnej recepty czarowników. Jeśli głowę martwego człowieka przyłożyć do ciała i posmarować tą maścią – przyrośnie, a zabity ożyje. Ranny, z którego uchodzi życie, nie umrze i szybko wyzdrowieje. Weź, musisz to zrobić! Już wkrótce wszystko się dokona! Sama to zrozumiesz! A teraz idź szybko do domu, odprowadzę cię! – Czarownica wstała i poszła pierwsza.

Za plecami księżnej zniknął kominek, jedna za drugą zaczęły gasnąć lampy, i wkrótce znów ogarnęły ją całkowite ciemności. Ze skrzypem otworzyły się drzwi. Zobaczyła podwórze zalane księżycowym światłem i uschnięte drzewo, które wydawało się teraz całe ze srebra.

Szła, nie czując nóg, a księżyc jasno oświetlał jej drogę. Kłęby szarych chmur mknęły po niebie, omijając dysk księżycy. Jar nie był teraz tak głęboki, a może to wiatr unosił ją nad ziemią, nie dając jej

się potknąć. Wkrótce przekreślony dwa razy klucz zamknął furtkę w pałacowym ogrodzeniu. Lawinia jak cień wśliznęła się do grotu i odnalazła tajemne drzwi. W tym właśnie momencie wściekły poryw wiatru szarpnął chmury na niebie i księżyc skrył się za ich gęstą zasłoną.

Dopiero w sypialni, kiedy księżna zdjęła płaszcz i buty, przypomniała sobie, że ani ona, ani czarownica nie wspomniały o zapłacie. Jakże to tak, przecież specjalnie wzięła ciężki mieszek ze złotymi monetami! Nawet teraz wisi u jej pasa. O, bogowie, co za niedbalstwo! Zmartwiona księżna podeszła do lustra i zdjęła z głowy perłową siatkę. Włosy spłynęły jej na ramiona. „Jak u czarownicy!” – uśmiechnęła się niewesoło i zerknęła w ciemny owal ramy lustra. W sypialni nie paliła się ani jedna lampa, ale nagle zobaczyła w lustrze wielką, słabo oświetloną komnatę i kobietę w czarnej sukni z rozpuszczonymi włosami.

– Wegda! – cicho wykrzyknęła księżna.

– Tak, to ja! Mnie także nie są obce ludzkie ułomności, podobie jak ty zapomniałam o złocie, a bez zapłaty czary nie mają mocy. Wystarczy tego, co masz przy pasie. Daj sakiewkę i nie zapomnij – wszystko teraz zależy od ciebie! Tylko ty zdołasz właściwie pokierować losem! Strzeż tego pudełeczka!

Lawinia, drżąc z chłodu, który przeniknął nagle całe jej ciało, odwiązała od pasa mieszek i położyła go na dłoni, którą wyciągnęła w stronę lustra. Lamy za plecami czarownicy natychmiast zgasły i na księżną spoglądało teraz jej własne odbicie, ledwie widoczne w ciemnościach sypialni.

V

– Hej, Rudy, wstawaj! Mówię ci, obudź się! No, poczekaj, zaraz się zerwiesz na równe nogi!

Conan kolejny raz próbował obudzić Biorriego, ale w odpowiedzi słychać było tylko potężne chrapanie i mamrotanie przez sen. Śpiewak leżał plackiem na niskim łożu, z twarzą wciśniętą w zmiętą poduszkę, i w żaden sposób nie udawało się go doprowadzić do przytomności. A przecież wczoraj wieczorem ustalili, że Biorri zaprowadzi Conana do najlepszego płatnerza Menory, z którym, według jego słów, niełatwo było załatwiać sprawy. I oto teraz, przesiedziaw-

szy całą noc ze starymi przyjaciółmi, którzy żądali od niego coraz to nowych pieśni, niezmordowany śpiewak leżał jak kawał drewna, nieczuły na mocne kuksańce Cymmerianina.

– No, zaraz mi się obudzisz! Słońce wysoko, a ty wciąż wylegujesz się jak książkę. Chociaż chyba i on już dawno wstał.

Mówiąc to, Conan wziął wielki dzban z wodą stojący w kącie, ściągnął Rudego Biorriego z łóżka na podłogę i zaczął obficie polewać mu głowę. Chrapanie natychmiast ustało, mętne oczy otworzyły się na chwilę, ręka drgnęła, jakby przebiegając struny niewidocznej erty, i w komnacie rozległ się donośny głos:

– Było nas ośmiu za stołem... Tra-la-la, tra-la-la! Do rana zostałem sam... Tra-la-la, tra-la-la... chr-r-r...

Conan jeszcze raz chlusnął wodą i usłyszał dalszy ciąg:

– Reszta leży już pod stołem... Tra-la-la, tra-la-la! Ej, draniu, co mi lejesz do kubka?! Wodę piłem tylko w dzieciństwie, no i w zeszłym roku, kiedy bukłak przedziurawił się... nie, odwiązał się... nie, wino zbyt szybko się skończyło, a ja jechałem, jechałem, jechałem... chr-r-r...

Nie mogąc się powstrzymać od śmiechu, Conan wylał mu na głowę dobrą połowę dzbana i nagle usłyszał:

– Już się obudziłem. Wszystko pamiętam. Czas wstawać. Trzeba iść do płatnerza, bo zaraz zapadnie wieczór. A żeby iść, trzeba najpierw wstać. Conanie, dlaczego nie domyśliłeś się, żeby posłać dziewczkę po wino? Niech tu przyniesie coś do picia, a ja jeszcze się zdrzemnę...

Wesoła służąca szybko przyniosła pełny dzban i ledwie Biorri usłyszał gulgot nalewanego wina, od razu zaczął się gramolić.

– Tutaj, tutaj, ptaszyno, bliżej do mnie... Dawaj, gdzie masz kubek?

Z zamkniętymi oczami chwycił dłonią powietrze, a służąca, śmiejąc się, wodziła kubkiem przed jego nosem. Wreszcie Biorri otworzył sklejone powieki i zaczął kręcić głową w ślad za jej ruchami.

– Dlaczego od razu dwa? Daj najpierw jeden, potem drugi... Muszę powiedzieć Lisowi, że ma nierozgarnięte służące, które na niczym się nie znają!

Conan wcisnął kubek w jego błędzącą rękę i podniósł do spragnionych ust. Chwila – i kubek był pusty. Dziewczyna go napełniła i Biorri znów błyskawicznie go osuszył.

– Dobrze. Teraz można wstawać. Wygląda na to, że już się umyłem, a więc daj mi, ptaszyno, ręcznik. I przynieś cokolwiek do jedze-

nia. – Spojrzał na Conana całkiem już przytomnym wzrokiem i uśmiechnął się: – Zapomniałem cię uprzedzić, że mam bardzo mocny sen. Matka, zanim mnie zdołała obudzić, pięści sobie poobijała, za polano chwyciła... Dobrą miałem matkę... No co, zjemy i pójdziemy?

– Patrzę na ciebie, Rudy, i myślę: jak też przyjmie nas ten twój płatnerz, przecież mówiłeś, że robił zbroje i dla księcia, i dla przyjezdnych rycerzy. A z ciebie jeszcze woda cieknie na podłogę... No a te spodnie... Wstyd! Biorri, czyś sobie wczoraj nie przełożył barana z półmiska na kolana? Ale plama! W takich spodniach nikt cię nie wpuści do porządnego domu.

– Spodnie! Wielka mi rzecz! – Biorri najwyraźniej był dotknięty taką ironią, ale nie odebrało mu to apetytu. Jadł z wielkim smakiem, oblizując tłuste palce i wycierając je o kamizelę. – Nie podobają mu się moje spodnie! Kończ jeść i idziemy. Pokażę ci, co znaczą Rudy Biorri!

Długo jeszcze nie mógł się uspokoić i mruczał gniewnie, dopóki nie wyszli z szynku. Na dworze zatrzymał się na chwilę, jakby coś sobie przypominał, potem uśmiechnął się i zdecydowanym krokiem ruszył naprzód. Conan, idąc obok, z podziwem zerkał na tego pijaka z potarganymi włosami i bezdennym żołądkiem, lubianego we wszystkich szynkach, który wszędzie czuł się jak u siebie w domu.

Nieźle pobłądziwszy znaleźli się w jakimś ślepych zaułku, gdzie spoza gęstych zarośli wystawały tylko dachy porządných domów.

– Przyjacielu, gdzieś ty mnie zaprowadził? Od kiedy to płatnerze mieszkają w takich ustronnych miejscach? Gdzie tu kuźnie, warsztaty?

– Poczekaj, na wszystko przyjdzie pora! Mówiłeś coś na temat moich spodni, prawda? Moja koszula i przepiękna kamizela również ci się nie podobają? Może i takie buty nie są godne stąpać po wspaniałych ulicach Menory? – Mówił to z wielką powagą, przytupując nogą i wymachując rękami, a jego szare oczy skrzyły się taką wesołością, że Conan, nic już nie rozumiejąc, rozłożył tylko ramiona:

– Czyżbyś przyprowadził mnie tu po to, by pomówić o swoim ubiorze? Widzę, że dzban zimnej wody to za mało, żebyś się obudził. Trzeba cię było jeszcze poczęstować polanem, to byś przypominał sobie, gdzie masz mnie zaprowadzić! Ech, czemu związałem się z tobą, ty beczko bez dna!

Conan już chciał zawrócić i odejść, gdy Biorri roześmiał się nagle, klepnął go po ramieniu i powiedział:

– Poczekaj tu chwilę, zaraz pójdziemy do płatnerza. Stąd jest już całkiem niedaleko. – I zniknął w furtce.

Conan zaczął się przechadzać po zarośniętej łąpuchami uliczką, podziwiając jabłonie, których gałęzie ugięły się pod ciężarem rumianych owoców, przepłoszył dwa gotowe walczyć ze sobą koty i słysząc cichą rozmowę wrócił do furtki, za którą zniknął Rudy Biorri. Zajrzał ponad niewysokim płotem do ogrodu, gwizdnął zdumiony i schował się za pnem rosnącego w pobliżu drzewa.

Od strony domu dumnym krokiem szedł rudy strojniś ze starannie uczesanymi włosami, w maleńkiej niebieskiej aksamitnej czapce, zawadiacko zsuniętej na ucho. Śnieżnobiała koszula, solidne niebieskie spodnie wsunięte w nowiutkie buty i haftowana złotą nicią kamizela dodawały mu nieprzepatrego uroku.

Obok, nie spuszczać z Biorriego zakochanych oczu, szła piękna kobieta, już nie najmłodsza, ale mimo to apetyczna. Widać było, że niczego tak nie pragnie na świecie, jak rzucić się na szyję temu frantowi.

– Przyjdę, oczywiście że przyjdę do ciebie wieczorem. Przecież ledwie zsiadłem z konia, od razu tu przybiegłem. Tylko o tobie myślałem cały rok, szczęście ty moje! Nie, nie zatrzymuj mnie, mam do załatwienia ważne sprawy w mieście. Przyjdę, jak się ściemni. – Mówiąc to, mocno pocałował ślicznotkę w rumiane usta.

– Biorri, wiesz przecie, jak cię kocham! Będę czekała, na święto mam zawsze przygotowane twoje ulubione wino.

– Aż nie chce mi się nigdzie stąd ruszać. Jesteś sama, masz wino, a i pewnie upieczesz gęś, prawda?

– Oczywiście, że upiekę! – Zaśmiała się i zawisła na jego szyi.

Conan, stojąc za drzewem, z rozbawieniem obserwował, jak Biorri energicznie wyrywa się z jej namiętych objęć. Wreszcie uwolnił się i pobiegł do furtki, machając na pożegnanie:

– Najważniejsze, żebyś nie zapomniała o gęsi!

Wyskoczył na ulicę i widząc Conana, pociągnął go za sobą. Gdy odeszli spory kawałek od domu, zaczęli się głośno śmiać.

– Kto tu był niezadowolony z mojego wyglądu? Kogo mierzyły moje piękne spodnie? Nie, przyjacielu, chociaż jesteś silny i być może dość sprytny, w porównaniu z Rudym Biorrim zasługujesz na miano zwykłego smarkacza. Pójdziemy teraz do płatnerza, ale wszelkie pertraktacje ja będę prowadził, jasne?

Conan szedł cichymi uliczkami przedmieścia, ciągle nie mogąc nadziwić się przemianie, jaka dokonała się w jego towarzyszcu. Nie zostało ani śladu po jego leniwym, kotyszącym się kroku – rudy elegant szedł energicznie, pewny siebie, i jego głos, kiedy opowiadał o swojej pięknej wdówce, u której przechowywał odświętny strój,

dźwięczał niskim basem. Conan wspomniał, że to właśnie zaskoczyło go pierwszego wieczora, kiedy przyjechali do Menory.

– Posłuchaj, przyjacielu, jeśli chodzi o spodnie, wszystko jest teraz dla mnie jasne – jestem pewien, że w każdym mieście, do którego zaglądasz, żeby pośpiewać i wypić, czeka na ciebie taka ślicznotka z dzbanem wina, gęsią i kufrem pełnym twoich rzeczy. Ale wytłumacz mi, jak to się dzieje, że kiedy śpiewasz sam dla siebie, trudno to w ogóle nazwać śpiewem – mówiąc między nami, ryczysz gorzej niż osły, które spotykałem na południu. A kiedy wokół ciebie zbierze się kompania, twój głos rozbrzmiewa jak dzwon, a ręka sama sięga po miecz... lub po kubek, zależnie od tego, o czym jest pieśń. Co na to powiesz?

– Nieraz mnie już o to pytano. Chociaż sam nie wiem dlaczego tak się dzieje, ale jako człowiek wielkiej mądrości wyjaśnię w sposób następujący: mam takie ubranie, by w nim pić, jeść i leżeć w rynsztoku. I mam inne ubranie, w którym bez wstydu mogę się pokazać choćby na dworze. Tak też jest z moimi głosami: jeden na dzień powszedni, kiedy nikt go nie słyszy, a drugi dla dobrej kompanii, która i ugości winem, i napelni mój mieszek. Teraz już rozumiesz, przyjacielu Conanie?

– Szczerze ci powiem, Biorri: wielu widziałem frantów w swoim życiu, ale takiego zabawnego jak ty, widzę po raz pierwszy. A do tego twójgo płatnerza dojdziemy dzisiaj, czy nie? Uważaj, bo wrzucę cię w twoim pięknym stroju do kanału i będziesz potem siedział goły u wdówki, czekając, aż ci wszystko upierze!

– Stań na chwilę i posłuchaj! Co słyszysz na tej ulicy? Właśnie! Stukot młotów i brzęk pancerzy! A jeśli chodzi o kanał – czyżbyś sądził, że mam w Menorze tylko jedną przyjaciółkę i jeden kufer? No, jesteś na miejscu. Teraz tam, w tamtą bramę!

Z zacisza sennych ogrodów wyszli na dość ruchliwą ulicę. Tam i siam biegali po niej zmyślni czeladnicy, uginając się pod ciężarem siodeł, czapraków, tarcz i pochw. Ze wszystkich stron dolatywał stukot młotów i burzący krew w żyłach brzęk broni: rycerze, dla których wykonano pancerze i miecze, wypróbowywali je na miejscu, na podwórzach warsztatów.

I na tym podwórzu, gdzie zaszli, jakiś rycerz krzeszał z miecza iskry, walcząc ze zwałistym czeladnikiem, a potem stanął, obejrzał klingę i powiedział:

– Doskonała robota! Nie bez powodu mistrz Klars liczy sobie tak drogo! A teraz pójdziemy obejrzeć kolczugi! – I odszedł, rozmawiając z żywieniem ze swoimi towarzyszami.

Conan chciał już wejść do warsztatu, z którego co chwila wybiegali chłopcy z hełmami, sztyletami, nagolennikami i innymi częściami zbroi, ale Biorri przytrzymał go za rękaw i odciągnął w cień koniowiązu.

Z domu, rozmawiając głośno, wyszło dwóch ludzi: przystojny panicz z zaczerwienionym z gniewu obliczem, trzymający w rękę mocno wypchany trzos, i potężnie zbudowany majster w wytartych skórzanych spodniach i wypuszczonej na nie prostej koszuli. Spod opadających na czoło kędzierzawych, czarnych, nieco siwiejących włosów ironicznie błyszcząły mądre, piwne oczy, a gęsta broda podrygiwała od powstrzymanego śmiechu.

– Nie, panie, broń i pancerze robię tylko na zamówienie. Goto-we dostaniecie w sąsiednich warsztatach, tam wam wszystko dorobią, dopasują i każdy dowolny herb umieszczą na tarczy, a ja robię pancerze na miarę rycerza, a broń tak, żeby pasowała mu do ręki.

– I dla mnie tak zrób! Ile razy mam mówić: zrób, a ten trzos będzie należał do ciebie! Przecież pozostały jeszcze całe trzy dni do turnieju!

– Nie, panie, ja już swoje powiedziałem. Jeśli ktoś zechce, niech wam zrobi w ciągu trzech dni, ale nie majster Klars! I nie jest mi potrzebny wasz trzos, panie, sam wam chętnie zapłacę, żebyście tylko już stąd poszli i nie przeszkadzali mi w pracy!

– Ach ty, zuchwalcze! Nie wiesz, z kim mówisz! Nie ujdzie ci to płazem, nie będę zważała na to, że jesteś pupilkiem księcia! Już ci to wkrótce nie pomoże! – Przeżuwając przekleństwa, wskoczył na konia, którego przyprowadził mu koniuch, i galopem wypadł za wrota.

– Dobry sobie, co? – Biorri z uśmiechem spoglądał spod okapu koniowiązu na majstra, stojącego spokojnie na ganku i z ironicznym uśmieszkiem obserwującego odjeżdżającego niedosłego klienta. – Jeśli ktoś mu się nie spodoba, za nic nie sprzeda mu broni ani nie przyjmie zamówienia. Powiedział, że nie może zrobić zbroi w ciągu trzech dni. Jeśli tylko zechce, wszystko wykona w jedną noc! No a teraz chodźmy, czas, żebyśmy z nim porozmawiali.

Z tymi słowami wyszedł na środek podwórza, wziął się pod boki i zawołał:

– Na Przejaśniejszego Mitrę! Przecież to sam mistrz Klars wyszedł na ganek, żeby powitać szanownego Biorriego! Ale dlaczego jesteś sam? Gdzie Altus, Mink, Ergon i inni mistrzowie? Przybywam z daleka i oczekuję powitania ze wszystkimi honorami!

– No, co za gość! Biorri, właśnie cię wczoraj wspominaliśmy – gdzie się podziewa ten hultaj, zaraz święto, a jego nie ma! Witaj, przyjacielu, cieszę się, że cię widzę!

Mistrz Klars zszedł z ganku. Objęli się, głośno poklepując jeden drugiego po plecach. Kilku czeladników zatrzymało się, zaskoczonych tym niebywałym widowiskiem, ale majster tak na nich spojrział, że natychmiast zniknęli.

– Dobrze, że nie zapominasz starych przyjaciół. Chodźmy, posiedzimy, pogadamy, przecież nie widzieliśmy się cały rok!

– Posiedzimy i spokojnie pogadamy, ale najpierw chcę cię o coś poprosić...

– Dla ciebie, Rudy, wszystko, co sobie zażyczysz! Nawet naszynnik dla twojej ślicznotki mogę zrobić, chociaż jestem płatnerzem! Gadaj śmiało, o co chodzi.

Biorri zwrócił się w stronę koniowiążu i skinął przyzywająco ręką. Conan wyszedł z ukrycia i zbliżył się do mistrza Klarsa.

– O, a któż to taki? Czyżby twój przyjaciel? No to witaj! Nie wiem, z kim mam do czynienia, ale ja jestem mistrz Klars.

– A ja – Conan-Cymmerianin. Jestem rad, że mogę cię poznać, a tym bardziej się cieszę, że przyprowadził mnie tutaj ten śpiewający frant.

– No więc który z was ma do mnie sprawę? Czuję, że chodzi tu nie o naszynnik, lecz o dobry miecz... Zgadłem?

– Klars, widzieliśmy przed chwilą, jak pozbyłeś się tego nachalnego klienta, który potrząsał ci pod nosem sakiewką. Niech ci tylko nie przyjdzie do głowy potraktować tak mego przyjaciela! Nie po to przybył na turniej, żeby stać na uboczu! Widzisz, jaki to dzielny młodzian, wykwipuj go więc jak najlepiej. A mieczek ma równie ciężki jak ten człowiek, który tak ci wygrażał.

Mistrz przestał się uśmiechać i bacznie zmierzył wzrokiem Conana. Potem twarz znów mu się rozjaśniła i wyciągnął do Cymmerianina szeroką dłoń:

– Zgoda! Cała przyjemność pracować dla takiego woja! To nie jakiś tam fagas przekłętęgo Ferdina! I niech Mitra pozwoli mi zobaczyć, jak pokonasz na turnieju tego przekłętęgo wyrodka! Tfu, muszę jak najszybciej przepłukać gardło po wymówieniu jego obrzydliwego imienia! Chodźmy do mnie i tam wszystko ustalimy.

Przeszli obok stajni, kuźni, minęli warsztat, gdzie robiono kolczugi, i zbliżyli się do niewielkiego domu, stojącego w sadzie. Gospodarz otworzył drzwi i zaprosił do środka.

– Widzisz, co to znaczy Rudy Biorri! – szepnęła do ucha Conanowi jego towarzysz. – Majster zaprosił nas do swego domu! Nawet ja nigdy tutaj nie byłem. Najwidoczniej przypadłeś mu do gustu!

Niemłoda, lecz wciąż bardzo przystojna kobieta w brązowej, obcisłej u góry sukni, przypominającej stroje wielkich dam, w milczeniu skłoniła się gościom i wyszła posłuszna władczemu spojrzeniu męża. Po chwili wróciła z dzbanem wina, a młodziutka służąca, kilka razy biegnąc do kuchni, zastawiła stół najprzeróżniejszymi jadłami. Nakrywszy do stołu, kobiety odeszły, a majster zasiadł na krześle z wysokim oparciem i zaczął nalewać wino.

– Wypijemy, zakąsimy i weźmiemy miarę. Jutro wieczorem wszystko będzie gotowe. Rano przyprowadź swego konia, na pewno ma zbite podkowy. Skąd przyjechałeś?

– Z Belverusu, ale konia podkuwałem jeszcze dawniej. Dobrze trafiłeś z tymi podkowami. Słuchaj, wspomniałeś o jakimś Ferdinie, co to za ptaszek?

Do rozmowy wmixszał się Rudy Biorri:

– Ech, Conanie, co się tu dzieje! Lis wczoraj wszystko mi opowiedział. Wypijmy najpierw za nasze spotkanie, a potem porozmawiamy o tym plemieniu szakali!

– Tak, Biorri, masz rację! Nie warto psuć smaku dobrego wina rozmowami o tym... tfu, niech go!

Z rozkoszą osuszyli kubki i zabrali się do jedzenia. Mimo że niedawno zjedli obfite śniadanie u Lisa, aromatyczne wonie potraw stojących na stole kazały im zapomnieć o całym świecie. Przed Conanem w głębokiej misie parowało pieczone z jarzynami, polane ostrym sosem, który szczypał w język i wywoływał łzy. Ten ogień można było ugasić tylko winem, tak więc dzban krążył w koło, aż wreszcie go opróżnili.

Gospodarz nie popędzał swych gości, ale co chwila z lubością taksował wzrokiem szeroką pierś i potężne ramiona Cymmerianina. Z trudem wytrzymał, aż wszystko zostało zjedzone i wypite, i niecierpliwie zerwał się z krzesła.

– Biorri, o Ferdinie opowiesz mi lepiej ode mnie, masz bardziej giętki język. Ale pamiętaj, masz to tak powiedzieć, żeby w nim krew zawrzała, żeby choć trochę poczuł, jaką żywimy nienawiść do tego psiego syna! A tymczasem ja zrobię tu taką zbroję, jakiej nie ma nawet książę Orgeld! Chodźmy, Cymmerianinie, chodźmy jak najszybciej, nie można tracić czasu!

U Klarsa zabawili do wieczora. Conan zawsze lubił pracownie płatnerskie, ale to, co tutaj zobaczył, wprawiło go w zachwyt. Było to prawdziwe małe królestwo, którym władał groźny majster Klars. Kochali go i zarazem bali się wszyscy, poczynając od siwobrodych majstrów, najbliższych współpracowników Klarsa, a kończąc na sprytnych chłopakach, którzy dopiero niedawno przyszli do niego na naukę i z wielkim zapałem zamiatali podwórze. Jeden z nich co sił w nogach pobiegł z jakimś poleceniem, wypowiedzianym przez mistrza cichym głosem, i wkrótce ze wszystkich warsztatów wylegli poważni płatnerze w poprzepalanych fartuchach, z rękami poczerniałymi od pracy w metalu.

Niczym królewska świta przeszli za mistrzem Klarsem do wielkiej izby z prostymi ławkami wzdłuż ścian, na których były rozłożone przeróżne kolczugi, hełmy, misiurki, a na ścianach wisiały miecze i sztylety. W jednym rogu zwracały uwagę umocowane w specjalnym stojaku błyszczące topory bojowe. Przyciągały wzrok łuki i strzały różnych rodzajów, gotowe do bitwy, by zaśpiewać swą odwieczną pieśń śmierci.

Można tutaj było także zamówić bojowy rząd dla koni – siodła, przystosowane dla jeźdźców w zbrojach, masywne strzemiona, pikowane derki i wiele, wiele innych rzeczy, których przeznaczenie znał tylko prawdziwy woj.

Długo wybierali, przymierzali, przykładali, a potem poszli do kuźni, gdzie sam mistrz Klars wybrał klingę spośród całej sterty żelastwa przygotowanego do ostatniego hartowania. Od dźwięku młotów, śmiechu kowali, syku powietrza w miechach, tryskających na wszystkie strony iskier i zapachu gorącego metalu Conana zaswedziały ręce i schwycił młot stojący pod ścianą.

– Ano pokaż, na co cię stać! Widzę, że potrafisz trzymać młot w rękach! Czyżbyś był kowalem?

– Zdarzało się! Hej, chłopcy, więcej ognia!

Klinga wyciągnięta ze stągwi ze słoną wodą do czerwoności rozżarzyła się w palenisku i Conan zaczął ją pracowicie kuć ogromnym młotem, a majster Klars poprawiał go swoim młotkiem.

Biorri, pokręciwszy się nieco koło paleniska, wkrótce zniknął, nie mogąc wytrzymać panującego tu gorąca i hałasu.

Nie było go do wieczora, gdy spoceni i zmęczeni mistrz i jego potężny pomocnik wyszli na dwór. A w kuźni za ich plecami w dalszym ciągu płonął ogień i bez przerwy podzwaniały młoty – duże i małe.

– A więc ustaliliśmy. Rano przyrowadzisz konia, zmienimy mu podkowy i wybierzemy uprzęż. A teraz trzeba troszeczkę odsapnąć. Hej, Biorri, stary hulako, gdzie cię poniosły demony?

Jego głos zahuczał na całą ulicę i okoliczne psy odpowiedziały mu wściekłym ujadaniem.

Drzwi stajni skrzyknęły i na progu ukazał się Biorri. Nasz elefant nieźle się tam wyspał i teraz z sianem na spodniach, kamizeli i czapce, którą ścisnął pod pachą, nie wyglądał już tak wspaniale. Conan nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Teraz pouczujesz u „Starego Lisa” i możesz się wybierać do następnej wdówki z kufrem.

– Dobrze, żeś mi przypomniał! Przecież jej obiecałem! Chodźmy, odprowadzę cię do zajazdu, po drodze opowiem o tym Ferndinie, a potem wyruszę do niej. Pieczona gęś to nie byle co! A i ona sama... palce lizać! – Biorri z rozkoszy zmrużył oczy i cmoknął.

Mistrz Klars również się roześmiał i tknął go w brzuch wielką pięścią:

– No dobrze, jeśli obiecałeś, to idź! Ale jutro przyjdiesz do nas i nie wypuścimy cię, dopóki nie zaśpiewasz wszystkiego, co znasz. Szczególnie o królu Gregorze! Dobrze, idźcie, bo już prawie całkiem ciemno. Hej, Arnolf, weź pochodnie i odprowadź tych panów! Ruszaj żywo!

Chłopak z zapaloną pochodnią, Conan i Biorri wyszli za bramę, a mistrz Klars długo jeszcze spoglądał za nimi, to chmurząc się od niewesołych myśli, to znów nagle z jakiegoś powodu uśmiechając się. Potem wrócił do kuźni i do stuku młotów dołączył jego władczy, gromki głos.

VI

Święto Obfitości Mitry od najdawniejszych czasów było dla mieszkanców Menory i całego księstwa Bergheim najradośniejszym wydarzeniem roku. Rolnicy zbierali plony, hodowcy bydła podliczali swoje stada, i wszyscy wznosili modły do Mitry o łaski na przyszły rok.

Małżeństwa zawarte w okolicach święta uchodziły za najbardziej trwale i szczęśliwe. Dlatego jeszcze wiele dni po zakończeniu obrzędów i ceremonii ku czci Przejaśniejszego Mitry w mieście i w całej

provincji odbywały się niezliczone wesela. Jednakże w tym roku, pomimo ożywienia, które jak zwykle zapanowało w Menorze w przededniu święta, wyczuwało się jakieś napięcie, zaniepokojenie, oczekiwanie nieszczęścia. Miasto żyło jak dawniej, toczył się handel, ulice pełne były ludzi, ale nie słyszano tu głośnych rozmów, śmiechu. Siedzący w szynkach mieszczanie o czymś szeptali, ze smutkiem kręcąc głowami i wyrażając nadzieję, że Mitra nie dopuści do tak strasznych rzeczy.

Ferndin – było to imię, które niepokoiło całe miasto, którego jak dżumy bali się wszyscy mieszkańcy. Książę, ich mądry, młody książę Orgeld, który w tak krótkim czasie przeobraził cały kraj, nagle stał się posłuszną marionetką w rękach owego przybłądy! Gdzie podziało się jego opanowanie i rozsądek w sprawach państwowych, gdzie jego mądre wyroki? Niekończące się uczty, polowania, szalone hulanki. Wszystkie ważne sprawy zaniedbano, a jeśli już trzeba było o czymś zdecydować, książę najpierw zasięgał rady u swego niezastąpionego Ferndina i potem powtarzał jego słowa.

I oto teraz Ferndin zamierza wziąć udział w Wielkim Turnieju! Kiedy wieść ta obiegła miasto, zahuczało w nim jak w ulu. Przecież zwycięstwo w turnieju poświęconym Wszechmogącemu Mitrze stanowiło dla nisko urodzonego człowieka jedyną szansę na uzyskanie tytułu, który w każdym innym przypadku przechodził z ojca na syna! W turnieju mogli brać udział wojowie z różnych warstw społecznych – książęta, baronowie, a także ludzie prostego urodzenia. Zwycięzcę uważano za wybrańca Mitry. Jeśli w żyłach tego człowieka płynęła błękitna krew, książęca nagroda dodawała wagi jego tytułowi i przysparzała bogactw. Jeśli zaś Mitra dał zwycięstwo prostemu człowiekowi, od razu stawał się szlachetnym rycerzem, a tytuł i majątek, który przy okazji otrzymywał, czyniły z niego wielką osobę.

To właśnie zamierzał osiągnąć Ferndin. Bez tytułu i majątku był jak lekka szczapa miotana falami. Wystarczyłby jakiś kaprys księcia lub intrygi dworzan, by natychmiast wyrzucono go z pałacu. Gdyby jednak miał tytuł... O, wtedy mógłby się zmierzyć z każdym wrogiem! Umocniłby to, co już osiągnął, i zostałby głównym doradcą księcia w sprawach państwowych, zajmując miejsce należące niegdyś do barona Disa z Redbornu. A potem...

Potem zostałby prawdziwym władcą Bergheimu, kręcąc księciem tak, jak potrafi to czynić piękna kochanka ze starym lubieżnikiem...

Widzieli to i przeczuwali wszyscy – zarówno z otoczenia księcia, jak i prosty naród. Święto Mitry zbliżało się jak wielka burzowa

chmura, nie wiadomo było, czy burza przejdzie bokiem, czy spali całe miasto piorunami.

Taki smutny obraz przedstawił Conanowi wymowny Biorri, kiedy wieczorem wracali do szynku starego Lisa. I Conan, który nigdy nie widział ani młodego księcia, ani podstępnego Ferdina, mógł już doskonale wyobrazić sobie swego przyszłego przeciwnika. Opowiedziawszy to wszystko, Biorri przystanął na chwilę i zapytał:

– Teraz rozumiesz, dlaczego Klars tak ci się przypatrywał? Dałbym sobie rękę uciąć, że podobnych do ciebie wojów nie będzie na turnieju. Możesz uwierzyć włóczędze Biorriemu, przecież od lat oglądam te zmagania! Panowie doskonale władają bronią, ale żaden z nich nie ma tak szerokich ramion i potężnych rąk. A prości ludzie nie palą się do takich turniejów – obowiązują tutaj surowe zasady: wolno zabić przeciwnika. W ostatnich latach wielu uczestników turnieju wolało uznać swą przegraną niż stracić życie, ale mimo to... Kto z prostych wojów zechce zaryzykować własną głowę, walcząc z doświadczonym rycerzem, od dzieciństwa przywykłego do siedzenia w siodle, codziennie ćwiczącego się w sztukach walki? Ale ty... Takich zuchów Menora jeszcze nie widziała. Może to sam Mitra przywiódł cię tutaj?

Zamyślił się i szedł w milczeniu. Przy bramie powiedział:

– Nie pójdę teraz do Lisa, bo nie mógłbym odwiedzić swej ślicznotki. Oczekuj mnie jutro rano, wybierzemy się razem, żeby podkuć twego ogiera. No, mały, poświęć mi teraz, żebym się nie potknął na drodze! – Dał kuksańca chłopcu z pochodnią i obaj zniknęli za rogiem.

Po umyciu się na podwórzu z tyłu domu i po zjedzeniu kolacji w towarzystwie chłopów, którzy przyjechali na targ z okazji święta, Conan poprosił gospodarza, by obudzono go rano, i poszedł na górę.

Obudziły go mocne szturchańce. Kiedy niechętnie otworzył oczy, ku swemu zdziwieniu ujrzał Biorriego. Miał jaśniejący czystością strój, a jego rude włosy były świeżo umyte i gorzały w promieniach słońca jak płomień ogniska.

– Obudź się, obudź! Specjalnie przyszedłem wcześniej, żeby ci się zrewanżować za wczorajsze! Ty, przyjacielu, też masz twarde sen. Jeszcze chwila, a musiałbym ci wylać na głowę dzban wody!

Conan złapał go w garść i powalił na łożo, które aż zaskrzypiało pod ich ciężarem.

Jednak zapach gorącej pieczeni, rozchodzący się po całej izbie, był tak kuszący, że Cymmerianin trzepnęła tylko Biorriego kilka razy poduszką i usiadł za stołem.

– Ty z pewnością już jadłeś. Nie wierzę, by wdówka wypuściła cię z pustym żołądkiem.

– Nie, nie myśl, że to wszystko jest tylko dla ciebie! Tak się spieszyłem, że nie miałem czasu dobrze zjeść, a w dodatku ona ciągle chciała mnie całować. Prawie się udławiłem! Sam rozumiesz, że takie jedzenie nie idzie na zdrowie!

– A co będzie z twoją kamizelą? Czy pomyślałeś o spodniach? Nie, nic ci nie zostawię, siedź spokojnie i podziwiał, jak ja jem.

– Ech, Cymmerianinie, nie znasz jeszcze Rudego Biorriego! No bo i cóż ty właściwie o mnie wiesz? Popatrz, jak zachowują się wielcy panowie, w tym również Rudy Biorri!

Przysiadł się do stołu i zaczął jeść z taką godnością, nie upuszczając ani kropli sosu i nie brudząc rąk, że Conan zapatrzył się w niego z podziwem, zapominając o tym, co sam ma na talerzu. Wytworzył gestem Biorri ujął kubek i wolno zaczął pić wino małymi łydkami. Tego już Conan nie mógł wytrzymać – pijak Biorri cedzi wino przez zęby jak stary baron na stypie! Śmiech wstrząsnął ścianami izby. Biorri odstawił kubek i również się roześmiał.

Szybko dokończyli śniadanie, osiodłali konie i pojechali do mistrza Klarsa.

– Niech przy okazji podkuje także moją lekkonogą Zoldę, bo zaraz zacznie się święto, potem czeka nas turniej, a co będzie dalej, kto wie... – roztrupnie zauważył Biorri.

Galopem przemknęli pustymi o tej porze ulicami i zatrzymali się przy znanej bramie.

Mistrz już na nich czekał, i kiedy chłopcy poprowadzili konie do kowala, powiedział:

– Oni tam wszystko sami zrobią. Wiedziałem, Rudy, że przyprowadzisz do mnie swoją piękną kobyłkę. No, chodźmy, obejrzymy to i owo!

Poszli do izby, gdzie na ścianach wisiała broń. Czekał tam na nich wysoki ciemnowłosy młodzieniec z bardzo poważnymi oczami.

– To mój starszy syn, Rialt. Jeśli chcesz, będzie twoim giermkiem. No, a teraz do roboty! Wkładaj zbroję, Cymmerianinie!

Gdy tylko weszli do pokoju, Conan zauważył w kącie, gdzie wczoraj groźnie błyszczały topory, starannie rozłożoną na szerokiej ławie gotową zbroję. Jej rozmiar nie pozostawiał cienia wątpliwości: została wykonana specjalnie dla niego. A więc majster i jego ludzie nie spali całą noc, spiesząc się z zamówieniem.

Conan podszedł do ławy i okiem znawcy zaczął oglądać zbroję. Od razu docenił mocne, a zarazem misterne, sploty kolczugi, wygodne klamry i pancerz, który dobrze osłaniał ciało, nie krępując ruchów. Obok leżała wielka ciężka tarcza z wizerunkiem słonecznego dysku i błyszczący miecz z masywną rękojeścią.

Koło miecza majster położył pochwę bogato zdobioną złotem.

Conan, odziewszy się przy pomocy Rialta, który bardzo zręcznie pozapinał wszystkie klamry, z przyjemnością przespacerował się po izbie. Lubił ten ciężar żelaza, czuł wtedy jeszcze bardziej swą siłę i krew zaczynała się burzyć w żyłach na myśl o czekającej go bitwie.

Majster podał mu tarczę i Conan, wyciągnąwszy miecz z pochwy, kilka razy ze świstem przeciął nim powietrze.

– Mam wrażenie, jakbym się urodził w tej zbroi! Mistrzu Klars, jesteś królem płatnerzy! No to teraz będę miał używanie na Wielkim Turnieju, przekonam się, co to za rycerze walczą w imię Przejajśniejszego Mitry!

– Ale najpierw wypróbujesz miecz i zbroję w walce ze mną. Nie powinni cię przedwcześnie widzieć na Świętym Placu, gdzie mnóstwo przyjezdnych rycerzy próbuje teraz swych sił, przechwalając się zręcznością przed gapiami. Przeklęty Ferndin ma zbyt wielu szpiegów, którzy z pewnością kręcą się tam, wypatrując słabych punktów przeciwników. Nikt nie wie, jaki on jest w walce. Jedni mówią, że włada mieczem jak doświadczony rycerz, a inni, że nie wytrzyma pierwszego pojedynku. Ja osobiście nie wątpię, że jest niebezpiecznym przeciwnikiem. A teraz, Rialcie, zaprowadź gości na tylne podwórze i powiedz ludziom, żeby nikt tam nie zaglądał – bo obedrę ze skóry! Poczekajcie tam na mnie, zaraz przyjdę.

Conan już wczoraj zrozumiał, że czeka go nie zwykły książęcy turniej, lecz coś znacznie bardziej poważnego i niebezpiecznego. A po ostatnich słowach mistrza Klarsa zalała go gorąca fala przeczucia walki na śmierć i życie, dłonie mocniej zacisnęły się na skórzanych pętlach tarczy i na rękojeści miecza, nogi naprężyły się, a oczy roz błysły zimnym ogniem.

To, co mistrz Klars nazwał „tylnym podwórzem”, było idealnie równym placem, ze wszystkich stron ogrodzonym mocną drewnianą barierą. Można tu było wypróbować konia, zbroję, a nawet stoczyć prawdziwą walkę, nie obawiając się wścibskich oczu.

Tutaj właśnie koniuchowie przyprowadzili wspaniałego wronego ogiera i figlarną gniadą kobyłkę. Na grzbiet ogiera narzucono grubą

derkę, osłaniającą boki i nogi szlachetnego zwierzęcia. Koń miał też ochronę głowy ze szparami na oczy, a skórzanego siodła z pozłacanymi strzemiionami mógłby pozazdrościć każdy baron. Rumak niecierpliwie grzebał kopytem i potrząsał głową, podzwaniając wędzidłem. Conan obszedł go dokoła, podziwiając uprząż. Była wyjątkowo solidnie wykonana, pomalowana na czarno, z błyszczącymi metalowymi nakładkami. Obejrzał podkowy, a gdy stwierdził, że kowale dobrze wywiązali się ze swego zadania i starannie spiłowali kopyta, nie zważając na ciężar zbroi lekko wskoczył na siodło i kilka razy przejechał wkoło, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Koń, podzielając dobry nastrój swego pana, biegł po placu, jakby nie czując na grzbiecie ciężaru jeźdźca.

Biorri, stojąc obok ze swą kobyłą, miłośnie poklepywał ją po zgrabnej szyi.

– Ale zuch z tego starego Klarsa! – powiedział z zachwytem. – No, Ferdynie, strzeż się teraz!

Koniuchowie przyprawdzili jeszcze jednego konia – dla mistrza Klarsa. Grubokoścista, złocistoruda kobyła stała spokojnie, kiedy nakładali na nią uprząż. Z ukrytych tylnych drzwi wyszedł mistrz, odziany w bogatą zbroję. Najwidoczniej nieraz staczał w niej walki na tylnym podwórzcu, ponieważ była pogięta i poobijana. Miecz, wiszący w pochwie przy pasie Klarsa, wzbudzał prawdziwy respekt.

– No, Cymmerianinie, zaraz mi pokażesz, na co cię stać! Jesteś tak silny, że całkiem niechcący możesz zrobić krzywdę staremu Klarsowi, ale pamiętaj – to nie są książęce szranki, zachowaj spokój i zimną krew! A więc zaczynamy! – Wziął z rąk syna hełm, nałożył go, wskoczył na konia i odjechał na drugi koniec placu.

Czeladnicy, nie mogąc powstrzymać ciekawości, zerkali na nich zza uchylonych drzwi i spoza zabudowań gospodarczych. Dźwięk stali, tupot kopyt i głos mistrza Klarsa, domagającego się od Conana ciągle nowych manewrów, zagłuszały ich pełne zachwyty okrzyki. Kiedy jednak mistrz zatrzymał się i oddał tarczę Rialtowi, zniknęli, jakby ich wiatr zdmuchnął.

Zdjawszy hełm i potrząsnąwszy sklejonymi od potu włosami, majster, dysząc ciężko, podjechał do Conana:

– Widzę, że urodziłeś się po to, żeby być wojem, tak jak ja – żeby być płatnerzem. Jeszcze nie spotkałem człowieka, który znałby tyle sposobów walki. Złaz z konia, rozbieraj się, a ja pošlę Rialta do Lisa: od dziś jesteś moim gościem! I nie spieraj się – tak będzie lepiej dla ciebie. Sam lubię Starego Lisa, chętnie chodzę tam się napić,

ale zajazd to zajazd, każdy może tam wejść. Chyba mnie rozumiesz? Hej, Biorri, zaprowadź Zolę do mojej stajni i też się tu przeprowadź – uprzedzałem, że teraz do mnie masz należeć: starczy tego zabawiania hulaków w szynku.

Zsiadł z konia i rzucił wodze koniuchom. Ogier Conana, jeszcze rozgrzany walką, rżał i stawał dęba, ale i jego wkrótce zabrano z podwórza.

Riałt pomógł Conanowi zdjąć zbroję, przekazał ją terminatorom, którzy natychmiast podbiegli, i poszedł do Starego Lisa. Mistrz Klars, Conan i Biorri wolno szli przez ogród.

– Dobrze znam młodego księcia – powiedział Klars. – Jest zapalczywy, ale kiedy trzeba, zachowuje niewzruszony spokój i opanowanie. Zawsze wiedział, czego chce, i potrafił to osiągnąć. A teraz nagle pojawił się ten Ferndin i księżę zmienił się nie do poznania. To jakaś nieczysta sprawa! Sądzę, że nie obeszło się bez czarów. Miej się na baczności, Cymmerianinie, masz teraz straszego przeciwnika! Ech, gdybym mógł do twojej siły dodać swą nienawiść! Gdybym tylko mógł!

VII

Obudziło go ostrożne pukanie do drzwi. Sen natychmiast uleciał i umysł zaczął pracować jasno. Tak, już jest ranek, wkrótce wszędzie słońce i zaczną się te wszystkie idiotyczne ceremonie ze składaniem hołdów i przynoszeniem darów. Ferndin usiadł gwałtownie, opuszczając nogi na miękkim dywan. Wypił duszkiem kubek wina z rozpuszczonym w nim maleńkim kawałeczkiem kujebry – gęstej, czerwonej substancji, przygotowanej w podziemnych celach przez kapłanów Seta, którzy unikali jakichkolwiek kontaktów z ludźmi.

Set – oto prawdziwy władca tego świata, wielki, tajemniczy wąż, pan życia i śmierci! Tylko on godzien jest hołdów i szacunku, nie to, co ten bożek bez twarzy, któremu słabi ludzie chcą dogodzić niewinnymi ofiarami! Mitra, Sprawca Życia, Bóg Obfitości, i Słońce – jego oko... Czego to nie wymyśli człowiek, by płody z jego pola mogły wykarmić rodzinę, a krowy dobrze się cielify!

Ferndin uśmiechnął się, czując, jak żar kujebry rozchodzi się po całym ciele, napełniając członki młodą siłą i lekkością. Ile ma lat? Trudno powiedzieć... Chyba nie mniej niż osiemdziesiąt. A w lustrze

widać człowieka z czarnymi włosami i drapieżnym wyrazem twarzy, któremu nikt nie dałby więcej niż czterdzieści lat. To prowincjonalne księstwko jest całkiem dobrym miejscem, dobrym i bardzo bogatym! Już wkrótce on, Ferndin, stanie się jego władcą, a wówczas będzie można pomyśleć o innych świętach dla ludu i o innych bogach. A raczej o Bogu! I oczywiście będzie się mu składało w ofierze nie jagnięta i owoce, lecz takie cieplutkie, ładne owieczki jak ta, która śpi jeszcze w jego łożu. Jakie apetyczne służące ma ten prostak Orgeld!

Podszedł do śpiącej dziewczyny, gwałtownym ruchem zdarł z niej okrycie, namiętnym pocałunkiem zdusił krzyk strachu i posiadał jej szamoczące się ciało – to kujeba krążąca we krwi domagała się ujścia.

Zaspokoiwszy szaleńczy poryw namiętności, pozostawił w łożu całkowicie opadłą z sił dziewczynę, szybko się ubrał i wyszedł na dwór.

Nie zwracając uwagi na przestraszoną służbę, z szacunkiem schodzącą mu z drogi, poszedł prosto na pokoje księcia. Orgeld stał przed wielkim lustrem i poprawiał haftowany kołnierz uroczystego stroju, który wkładał raz w roku, na święto Obfitości Mitry.

Starodawny ubiór głowy z niebieskiego aksamitu, haftowany złotem, uwydatniał piękno jego jasnych włosów, opadających na ramiona. Szeroka kurtka z bufiastymi rękawami, przewiązanymi niebieskimi wstążkami powyżej łokci, i krótkie spodnie połyskiwały w świetle wschodzącego słońca złotym szamerunkiem i drogocennymi kamieniami.

Księżę Orgeld tej wiosny skończył trzydzieści lat i wyglądałby całkiem nieźle, gdyby nie podpuchnięte od nocnych hulanek oczy i ten szary kolor twarzy, który zastąpił jego do niedawna jeszcze zdrową, białą cerę. Oczy, niegdyś takie żywe i wesołe, przygasły, spoglądając na świat ze znużeniem i obrzydzeniem.

Wyglądało na to, że życie utraciło dlań wszelki sens i musiał uciekać się do najbardziej niedorzecznych rozrywek, które zręcznie podsuwał mu niezmordowany Ferndin. I teraz, kiedy tylko Orgeld go ujrzał, od razu się ożywił:

– Wreszcie przyszedłeś! Masz dzisiaj być koło mnie przez cały dzień! To święto, które niegdyś tak mnie cieszyło, nie zapowiada teraz niczego prócz nudy. I jak mnie bołą oczy od tego jasnego światła! Najchętniej przespałbym cały dzień, a wieczorem można by coś urządzić w dolnych salach... Nie, tylko nie dziś... I księżna... Ostat-

nimi czasy całkiem przestała mi się podobać! Co może to znaczyć, przyjacielu Ferdinie? Może znasz odpowiedź, bo ja już sam siebie nie rozumiem...

– Mój księżę, widziałem niemało ludzi, a i sam przeszedłem przez to. Tak jak dziecko staje się młodzieńcem, tak też młody człowiek staje się dorosłym mężczyzną, a proces ten podobny jest do ciężkiej choroby. Wszystko minie, wszystko się ułoży, tyle że świat zdawać się będzie całkiem inny, a to, co sobie cenileś, rozwieje się jak dym, i polubisz coś całkiem innego...

– Jak trafnie opisałeś to, co się ze mną dzieje! Każdego dnia błogosławię los, że zesłał mi ciebie, mój mądry Ferdinie! Twoje słowa działają kojąco i życie nie wydaje się już takie banalne! A jaka ładna była ta czarnulka, która wczoraj tańczyła na stole, prawda? – Zaśmiał się i wyszedł na galerię.

„Głupi szczeniaku, myślisz, że jak się odziejesz w błyszczący niczym słońce strój, od razu zapewnisz sobie przychyłność bogów! Ale poczekaj, już wkrótce wątpliwości całkiem zatrują ci duszę, światło słoneczne stanie się dla ciebie nie do zniesienia, i będziesz należał tylko do Seta, wielkiego Węża Wiecznej Nocy, a wszelkie wspomnienia o Mitrze zostaną stąd na zawsze wykorzenione!”. Ferdin, nie spuszczać z oczu drzwi prowadzących na galerię, niesłychalnym krokiem podszedł do wezłowania łoża księcia i energicznie machnął ręką. Natychmiast pojawił się w powietrzu ogromny, przezroczysty wąż, zwinął się w kłębek i ułożył na poduszce. Uniósł trójką głowę, kilkakrotnie błyskawicznie wysunął i cofnął rozdwojony język i znów zwinął się w kłębek.

– Bardzo dobrze! Leż tutaj, usypiaj jego rozum, wysysaj jego mózg, niech pozostanie tylko posłuszna mi powłoka! Księżę jest mi na razie potrzebny, a potem... – zaśmiał się złowieszczo – potem oddam go tobie!

Wąż błysnął złotym okiem i zwinął się jeszcze ciaśniej. Ferdin machnął ręką i zjawa zniknęła.

Ech, jaka szkoda, że mam tylko jednego węża, zrodzonego w ognistej otchłani! Bez węża nie mogę podporządkować sobie księżnej tak łatwo, jak jej naiwnego męża. Oczywiście, na mój rozkaz przyszłyby tutaj jak każda z dziewczek służebnych, ale nie do tego zmierzam... Potrzebuję nie tylko ciała, ale i żywej duszy, a jej dusza pełna jest nienawiści... Wykręca się, ciągle się wykręca ode mnie! Och, jakiego niewiarygodnego wysiłku wymaga całkowite podporządkowanie sobie człowieka! A jak trudno było wówczas, rok

temu... – nachmurzył się i zagryzł usta. – No, nic, czas jest moim sprzymierzeńcem, wkrótce książę przestanie mi zawadzać, nienawiść zamieni się w strach, a wtedy, piękna księżno, przyjdzie kolej na ciebie! Ładna jesteś, klnę się na Seta! A jakie namiętne są twoje oczy i gibkie ciało! Nie, księżno, nie uciekniesz ode mnie!

Oddalił się od łoża i znów stanął koło lustra. Książę, który przyszedł do sypialni ze świeżą różą, z kroplami wody po nocnym deszczu, powiedział w zadumie:

– Jak pięknie pachnie! Ten zapach budzi we mnie tęsknotę za przeszłością i serce ściska mi się od złego przeczucia... Jednak wszystko to dziecinada, prawda, Ferndinie? Chodźmy, już pora, zaraz pojawią się kapłani. Ach, jak pachnie ten kwiat! Chodźmy szybciej, wręczę go księżnej.

Ferndin uśmiechnął się ze zrozumieniem, ale w jego duszy zawrzała wściekłość. Tyle włożył wysiłku, a tu jakiś kwiatek, który można zmiać w dłoni, gotów jest swym zapachem odrodzić wspomnienia i gasnący rozum!

Przekleństwo! Ten chłopak nie jest taki słaby, jak się na początku wydawało. Tak, trzeba za wszelką cenę zapewnić sobie zwycięstwo w turnieju i zdobyć tytuł. Przebywając potem stale koło księcia, będzie mógł wszystko z nim uczynić. Wszystko!

Książę Orgeld czekał na księżnę na dolnej galerii pałacu. Lawinia zatrzymała się po drodze w Narożnej Wieży, skąd następca tronu chciał przyglądać się procesji świątecznej i ceremonii składania ofiar. Zostawiwszy dziecko pod opieką licznych piastunek i służących, Lawinia pospiesznie zeszła na dół.

Miała na sobie taki sam starodawny ubiór jak książę. Poszerzona od biustu suknia z niebieskiego aksamitu tak gęsto była usiana drogocennymi kamieniami i złotym haftem, że niemal nie zginała się podczas ruchu. Miękki czepek ze złotego brokatu obramowywał jej bladą twarz z czystym wysokim czołem, a na plecy opadała lekka biała pelerynka.

Księżna wyszła na galerię i aż zmrzyła oczy od jaskrawego słońca. Wyglądała bardzo ładnie w tym stroju i doskonale o tym wiedziała. Jak w dawnych latach ze wszystkich stron rozległy się pełne zachwytu szeptu dworzan i sług, od czego mocniej zabiło jej serce. Książę, któremu nagle rumieniec pojawił się na twarzy, podszedł do żony i wziął ją za rękę.

– Jaka jesteś dziś piękna, Lawinio – powiedział. – Przypominaś mi kwiatusek błyszczący kropelkami rosy!

I podał jej różę. Lawinia, która dawno już nie słyszała od księcia podobnych słów, uśmiechnęła się i przypięła różę do piersi.

Wzięli się za ręce i wolno zaczęli schodzić szerokimi marmurowymi schodami. Na dole czekała na nich pozłocista karetą zaprzężona w dwa oślepiająco białe konie, przystrojone kitami niebieskich piór.

Książę i księżna ramię w ramię obeszli dokoła cały dziedziniec, z godnością odpowiadając na ukłony swych sług. Wreszcie wsiedli do karety i wyjechali poza udekorowaną wiankami i girlandami kwiatów bramę pałacu.

Ferndin utknął gdzieś w kącie, między bramą do stajni i przejściem do kuchni. Książę, jak zakochany chłopak, patrzył tylko na księżnę, zupełnie zapominając o nim. A wszyscy ci hrabiowie i baronowie oczywiście usiłowali przecisnąć się jak najbliżej do władcy, nie bez satysfakcji spychając nienawistnego Ferndina tam, gdzie stali koniuchowie i kucharze.

W tym ciemnym kącie nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt nie widział jego strasznej, wykrzywionej wściekłością twarzy, a on stał przyciśnięty plecami do ściany i szeptał pobladłymi wargami: „Już wkrótce wszystko się zmieni, wszystko będzie inaczej! Koło księcia pozostaną tylko ja i posłuszni mi ludzie! Jutro turniej, on zadecyduje o wszystkim. Zwycięzę, ponieważ jestem wybrańcem Seta i taka jest Jego wola!”.

Słudzy zdążyli już wspiąć się na pałacowe mury i oblepili okna wież strażniczych, chcąc obejrzeć procesję kapłanów, powracających z pól do świątyni.

Od dwóch dni kapłani Mitry obchodzili okoliczne wioski, dokonując obrzędów, przyjmując dary i błogosławiąc pola i pastwiska. Teraz oczekiwano ich tutaj, w Menorze.

Na placu przed świątynią zbudowano wielki ołtarz, na którym kilka razy w roku składano ofiary Mitrze. Dzisiaj, w dzień Obfitości Jasnego Mitry, ołtarz był przystrojony bukietami kwiatów i fruwającymi na wietrze różnokolorowymi wstążkami. Wokół złotej czaszy, w której powinien zaraz zapalić się Święty Ogień, leżał wianek z róż, kwiatów polnych i zboża.

Woźnica trzy razy objechał plac i zatrzymał książęcą karetę w pobliżu wejścia do świątyni, pod białym marmurowym ogrodzeniem parku poświęconego Mitrze. Świta, jadąca konno za karetą, zatrzymała się na uboczu, i lud, który ciasnym pierścieniem otaczał plac, mógł nacieszyć oczy widokiem połyskliwych strojów księcia i księżnej, a także pięknych ubiorów dworzan.

Nagle dał się słyszeć śpiew licznych głosów, donośne uderzenia gongów i okrzyki. To z daleka, często zatrzymując się, wolno zbliżała się procesja, a ludność miasta, sławiąc Mitrę, składała dary na wozy kapłanów.

Ulice, którymi przechodziła procesja, były dokładnie zamiecione i spryskane wodą, a na ich gładkie kamienie ze wszystkich stron sypały się świeże kwiaty. Wszędzie powiewały różnokolorowe wstążki i flagi, a radosne masy ludzi w odświętnej odzieży oczekiwały z niecierpliwością następnego postoju procesji.

Na czele, jako Jasny Mitra, kroczył w białym stroju Najwyższy Kapłan. Głowę miał przyozdobioną wielkim złotym dyskiem, rozsiewającym drzące, jaskrawe refleksy, a na plecach wstęgę ze złotogłowiu, podobną do oślepiającej ścieżki słońca na powierzchni spokojnej wody.

Na widok jego życzliwej twarzy z uśmiechającymi się niebieskimi oczami ludzie również zaczęli się uśmiechać i wznosić entuzjastyczne okrzyki. Co jakiś czas błogosławił on tłum, a słudzy, dumnie idący obok, rozpryskiwali na wszystkie strony aromatyczną wodę z szerokich dzbanów.

Za nimi podążali kapłani w zielonych, szkarłatnych, żółtych i niebieskich strojach. Na głowach mieli wymyślne maski różnych zwierząt, bohaterów i demonów. Nieustannie krążyli, tańcząc przy wtórze fletów i bębnów.

Muzykanci, wszyscy w jaskrawoczerwonych krótkich tunikach, w wiankach z kłosów, tańczyli razem z nimi. Nagle, zagłuszając zgiełk tłumy i wesołą muzykę, rozległy się uderzenia gongów. Ich czysty dźwięk przepłynął ponad zgromadzonymi ludźmi. Procesja zatrzymała się. Najwyższy Kapłan wysunął się do przodu, zwrócony do swej świty, mającej na twarzy rytualne maski, i dostojnym gestem uniósł ręce ku niebu. Muzykanci umilkli, a potem zaczęli grać w kółko tę samą melodię, liczni słudzy zaś, zebrani po obu stronach kapłana, śpiewali starożytne psalmy, sławiące Mitrę-Twórcę Wszechświata, Mitrę-Twórcę Życia, Mitrę-Boga Obfitości. W tym czasie kapłani w maskach odgrywali skomplikowaną pantomimę, gdzie siły Światła walczyły z siłami Ciemności i zwyciężyła je ku chwale Wielkiego Mitry.

Gdy umilkły ostatnie dźwięki pieśni, mieszkańcy miasta, naprzeciw których zatrzymały się jaskrawo pomalowane wozy, zaczęły na nie składać dary. Czego tu nie było! Szczodre lato jak gdyby chciało się pochwalić swoimi rumianymi jabłkami, złocistymi aromatyczny-

mi gruszami, wokół których krążyły chciwe osy, szaroniebieskimi śliwami, wypełniającymi oplecione wstążkami kosze. Obłe żółte dynie, dumnie wystające spomiędzy pęczków ogrodowej zieleniny, wyglądały jak pozłoczone.

Inne wozy wiozły dary od rzemieślników – bele grubych tkanin, materiały na derki z bogatym haftem, odświętne nakrycia głowy, piękne talerze, dzbany, kubki i czasze – wszystko to, czym słynęła Menora. Ostatni wóz zawsze wzbudzał największe emocje: kufry, puste przy wjeździe do miasta, stopniowo napełniały się złotymi, srebrnymi i brązowymi monetami, a poprzeczne żerdzie, tak jak na wiosnę drzewa pokrywają się liśćmi, obrastały naszyjnikami, bransoletami, wisiorami, błyszcząc w słońcu złotem i szlachetnymi kamieniami.

Akurat ten wóz zatrzymał się w miejscu, gdzie stał mistrz Klars z czeladnikami i terminatorami. Ludzie z szacunkiem poszeptywali, zerkając z ciekawością na chłopców, którzy z wysiłkiem trzymali w rękach coś przykrytego jaskrawoniebieską oponą, oblamowaną pośrodku pięknym złotym szlaczkiem w niezwykle kwiaty.

Mistrz potrzęsnał włosami, zmoczonymi wodą ze świętego źródła Mitry, bez pośpiechu zdjął oponę i powiesił ją na jednej z żerdzi, obok perłowego naszyjnika i wypchanego aksamitnego trzosa z bezcennym haftem, nad którym nieznaną mistrzyni trudziła się zapewne cały rok. Pod spodem znajdował się wielki kufer z różanego drewna, pokryty fantazyjną rzeźbą i ozdobiony kutymi narożnikami w formie liści. Terminatorzy z trudem postawili kufer na wozie i uchylili pokrywę. Zewsząd dały się słyszeć pełne zachwyty okrzyki – kufer do samej góry napełniony był złotymi monetami, na których leżał wieniec z ciemnoczerwonymi wendyjskimi rubinami, godnymi samego króla.

Conan i Biorri stali niedaleko: jeden z nich mimo woli wyobrażał sobie, że jest posiadaczem tych wszystkich nieprzeliczonych bogactw, a drugi – ciesząc się z pogodnego dnia, z muzyki i tańca kapłanów, spoglądał na to z przecuciem przyszłych wydarzeń.

– Gdyby takie święta urządzano przynajmniej dwa razy w roku – powiedział poruszony Biorri, przeciskając się przez tłum za mistrzem Klarsem – pozostałbym tutaj i przestał się włóczyć po świecie! Zapomniałem dodać, że po złożeniu darów z ogrodu Mitry wyjeżdża mnóstwo powozów z winem i wszelkim jadem, i święto trwa do rana. A potem ci, którzy jeszcze mogą ustać na nogach, idą na Święty Plac, by przyglądać się pojedynkom. Wtedy znów odbywa

się ucztą – i to jaka! Dba o to sam książę. No, dobrze, nie ociągaj się, już widać plac i trzeba stanąć bliżej ołtarza.

Ale nie musieli się przepychać – przed mistrzem Klarsem ludzie rozstępowali się z szacunkiem, a widząc obok niego potężnego Conana i szelmowsko uśmiechniętego Rudego Biorriego, wiwatowali na ich cześć tak, jakby byli oni uczestnikami procesji. Biorri ledwie nadażał witać się ze swymi licznymi przyjaciółmi.

Wyszli na plac i zatrzymali się koło wielkiego jesionu, wystrzelającego wysoko ponad białym ogrodzeniem świętego ogrodu, dającego nieco ochłody. Widać stąd było dobrze cały plac i wolno przesuwającą się procesję kapłanów, uroczyste obchodzącą ołtarz. Całkiem blisko, otoczona strażą przyboczną we wspaniałych strojach, stała książęca karetka.

Białe konie, blask złota i szlachetnych kamieni na odzieniu księcia i księżnej, niebieskie pióropusze i niebieska tunika woźnicy – przyciągały uwagę nie mniej niż procesja Mitry z Najwyższym Kapłanem na czele i z wozami wypełnionymi najprzeróżniejszymi darami. Książę i księżna stali bez ruchu, górując nad tłumem jak przepiękne posągi. Ludzie na placu umilkli, oczekując głównego momentu ceremonii. W ciszy słychać było, jak skrzypią koła wozów, wjeżdżających w otwartą bramę ogrodu świątynnego. Kapłani zdjęli już maski i pozostali tylko w złotych obręczach na głowach. Stanęli bez ruchu po drugiej stronie ołtarza ofiarnego, nie spuszczać oczu z Najwyższego Kapłana.

Nagle, gdzieś z daleka zawarczały bębny, a flety odpowiedziały im piskiem niczym przestraszone ptaki. Muzyka wciąż narastała, aż nagle umilkła. W ciszy, która zapadła, ogłuszająco głośno zaszumiały skrzydła dzikich gołębi, lecących nad placem w stronę książęcego pałacu.

Najwyższy Kapłan wszedł na podwyższenie przy ołtarzu i powoli uniośł ręce:

– Chwała potężnemu Mitrze! Daje on dobry znak naszemu krajowi! Gołębie przelatujące z pól do miasta to symbol zwycięstwa Światła nad Ciemnością! Niech spełni się wola Mitry!

Z tymi słowami zwrócił się w stronę wejścia do świątyni. Wysokie wrota otworzyły się i młodzi chłopcy, niemal jeszcze dzieci, w białych, przybranych złotem strojach, wynieśli czasze z winem ofiarnym i olejem, kosze z płodami rolnymi i klatki z ptakami.

Okrążyli ołtarz zwartym kołem i zamarli bez ruchu. Najwyższy Kapłan zszedł na dół i chłopcy po kolei zaczęli wspinać się na pod-

wyższenie, składając dary do czaszy ofiarnej. Wkrótce została napełniona po brzegi. Obok niej pozostali tylko chłopcy, trzymający klatki z ptakami.

W tym momencie do karety podbiegli służący i pomogli wysiąść księciu i księżnej. Podeszli oni do klatek i zaczęli je otwierać. Ptaki po chwili wahania wylatywały na wolność. Najpierw krążyły nad zamarym placem, a potem skierowały się tam, gdzie zniknęło stado gołębi – w stronę pałacu.

– To znak od Mitry! Nastąpią wielkie wydarzenia! – powiedział ktoś szeptem za plecami Conana. – Czyżby Dawca Życia miał nas wybawić od tego wyrodka? Żeby skreślił sobie kark na jutrzejszym turnieju!

– I dobrze by było, gdyby nasz książę znów stał się taki jak dawniej! – odpowiedział mu drugi głos. Conan chciał się obejrzeć, ale Biorri szturchnął go w bok.

Naczelny Kapłan miał już w rękach zapaloną pochodnię, a inni kapłani Mitry, stojąc na podwyższeniu, przy dźwiękach głośnych śpiewów wolno nieśli go ku wielobarwnej stercie płodów, przystrojonych kwiatami. Płomień wystrzelił wysoko, nad czaszą uniósł się stęp ognia, a płatki kwiatów od razu poczerniały zwęglone.

– Ofiara została przyjęta! Radujcie się, mieszkańcy Bergheimu! Radujcie się, mieszkańcy miasta! Następny rok obiecuje urodzaj i pokój! Zawierajcie małżeństwa, będą one szczęśliwe i urodzą się wam zdrowe dzieci! Sławmy Mitrę, Jasnego Boga, i oddajmy chwałę Jemu!

I znów nad placem popłynęły dostojne dźwięki pieśni, a trwało to dotąd, dopóki nie zgasła w czaszy ostatnia iskra świętego ognia. Odziani na biało słudzy ciągle stali wokół niej, osłaniając ołtarz przed tłumem – pozostały na dnie popiół miał cudowne właściwości lecznicze i kapłani po zakończeniu ceremonii skrupulatnie zbierali go do drogocennego dzbana.

Zgiełk, gwar, radosne okrzyki, ogłuszający dźwięk różnogłosych gongów, zawieszonych u wejścia do świątyni, kwiaty, sypiące się pod nogi kapłanów, ostatni raz obchodzących plac – można było od tego wszystkiego dostać zawrotu głowy, a krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach. Conan lubił takie święta, gdy wkoło cieszą się ludzie, wszędzie słychać żarty i śmiech, a wszelkie kłopoty i niepokoje rozwiewają się jak poranna mgiełka w promieniach gorącego słońca. Cymmerianin mimo woli uśmiechnął się na myśl, jak dziesięć lat temu mógłby się obłowić w takim odświętnym tłumie. Co prawda, mógłby i teraz, ale... Teraz, kiedy tyle przeszedł w życiu, tyle poznał jego se-

kretów, takie drobne złodziejstwa wydawały mu się głupią dziecinadą. Ale takie cenne stroje, jakie ma na sobie para księżca, która właśnie zbliża się do nich we wspaniałej karecie, godne są uwagi...

A więc to jest ten książę Orgeld – niegdyś zuchwały i zarazem mądry młodzieniec, który teraz dostał się w łapy przeklętego Ferdina! Conan popatrzył na księcia z nagłą sympatią: ten władca, jego rówieśnik, z nieco zmęczoną twarzą, na której usiłował zachować uprzejmy uśmiech, był dokładnie taki, jak można go było sobie wyobrazić na podstawie opowieści Lisa i Biorriego. A obok niego... Conan zaczął przepychać się do przodu, nie dostrzegając zdziwionych spojrzeń Biorriego i Klarsa. Zatrzymał się dopiero przed strażnikami otaczającymi plac, nie spuszczać oczu z kobiety, bez ruchu stojącej w karecie u boku księcia.

Jak gdyby czując na sobie zachwycony wzrok Conana, księżna ledwie dostrzegalnym ruchem zwróciła ku niemu głowę – i nagle jakby gorąca błyskawica przeszła jej ciało. Krew w niej zakipiała, zatętniła w koniuszkach palców i okraśliła rumieńcem blade policzki. Kareta już dawno minęła wysoki jesion i stojących pod nim ludzi, a Lawinia ciągle widziała przed sobą te przyzywające niebieskie oczy, pociągłą władczą twarz, niepokorne czarne włosy i potężne ramiona.

Sądząc z widoku, był to prosty człowiek, na którego nie warto zwracać uwagi, ale jakieś dziwne uczucie radości i niepokoju nie opuszczało księżnej przez cały dzień.

– Ależ piękna jest ta wasza księżna! – powiedział Conan, kiedy przebił się wreszcie przez tłum do Rudego Biorriego. Kareta zniknęła już z pola widzenia, a fala ludzi zalała plac. – Co prawda ta połykliwa skorupa, w którą się ubrała, nie pozwoliła mi dobrze się jej przyjrzeć, ale co za oczy! Jakie usta! Szczęściarz z tego księcia!

– No, widzę, że i ty nie ocalałeś! Wielu sławnych rycerzy nosi w sercu tę zadrę, i właśnie z myślą o tych nieszczęśnikach ułożyłem wiersz ku czci ubóstwianej bogini. Posłuchaj:

*O, Lawinio, bogini,
Światło oczu mych zniewolonych,
Nie przestanę wychwalać...*

Hej, Conanie, jeszcze nie skończyłem, dokąd mnie ciagniesz?! – Biorri ze śmiechem odpychał potężne ręce Cymmerianina, który chciał zmusić go do milczenia.

– Od twoich wierszy zaschło mi w gardle! Choć nie jestem baronem, wiem, że dla kobiety takie rymy nic nie znaczą, posłucha ich i zapomni. Tak więc zachowaj je dla tych bałwanów wielmożów. A teraz pójdziemy czegoś się napić. Mówiłeś, że będą wozy z poczęstunkiem. No i gdzie one są?

Zanim Biorri zdążył odpowiedzieć, ze wszystkich stron rozległy się radosne okrzyki, ludzie na placu rozstąpili się i z wrót ogrodu świątynnego jeden za drugim zaczęły wyjeżdżać wozy zaprzężone w byki, których rogi przyozdobiono kwiatami. Woźnice w kolorowym odzieniu, z girlandami podzwaniających blaszek na rękawach, wesoło pokrzykiwali na swe zwierzęta i wkrótce wozy, załadowane pękatymi beczkami z aromatycznymi pokarmami, potoczyły się ulicami Menory, pociągając za sobą tłumy ludzi spragnionych wina i zakąsek.

VIII

Zaledwie niebo na wschodzie zaróżowiło się, zapowiadając nadejście poranka, kiedy na szerokiej łące przy Świętym Placu zatętniło życie. Paliły się ogniska, a w ich jasnym świetle książęcy słudzy ustawiali ostatnie namioty. Kiedy wszędzie słońce, oczom gości ukazał się piękny, cieszący oczy półokrąg małych namiotów, ozdobionych najprzeróżniejszymi chorągiewkami. Będą tutaj wkładać na siebie zbroje i odpoczywać uczestnicy turnieju.

Z drugiej strony łąki rozłożyli się kowale i płatnerze z przenośnymi paleniskami i kowadłami. Niektórym rycerzom zdarzy się dziś walczyć tylko raz, ale inni pozostaną w szrankach do końca, chcąc uzyskać błogosławieństwo Mitry i cenną nagrodę. I oczywiście nie obejście się wtedy bez pomocy doświadczonych majstrów, potrafiących szybko wyprostować pogiętą zbroję, naostrzyć miecz, podkuć konia.

Święty Plac posypano czystym rzeczonym piaskiem. Ostatnimi czasy coraz więcej rycerzy chciało uczestniczyć w Turnieju Mitry, przyjeżdżali w tym celu z Belverusu, z Nemedii i nawet z sąsiednich królestw. Dlatego pierwszego dnia plac dzielono niskimi barierami na cztery części, żeby jednocześnie mogło się odbywać kilka pojedynków.

Z tej strony, gdzie do pola sięgał niewielki zagajnik, dla księcia i jego świty zbudowano wysoki pomost z drewnianym daszkiem.

Niżej znajdowały się ławki dla znaczniejszych gości, a dalej, za ogrodzeniem, tłoczyli się niecierpliwi mieszkańcy miasta, którzy przybyli tu już w nocy, żeby zająć lepsze miejsca.

Dla kapłanów Mitry naprzeciwko kolorowych namiotów wzniesiono coś na kształt świątyni: lekki dach wsparty na rzeźbionych żerdziach, niskie ażurowe wrota, schodki, wiodące prosto na plac turniejowy, i dwie brązowe czasze po obu stronach, w których zapłonie święty ogień Mitry.

Teraz, w słabym świetle poranka, kiedy nie połyskiwały połączone pancerze, nie furkotały na wietrze kolorowe chorągiewki i wstążki, nie słyhać było zawałań heroldów i dźwięku broni, łąka przypominała jakiś jarmark. Pokrzykiwali do siebie majstrowie i słudzy. Giermkowie, którzy przybyli wcześniej, zajmowali namioty, klócąc się między sobą. Kupcy, którzy nigdy nie przepuściliby takiej okazji, porozkładali najprzeróżniejsze towary i smakołyki, głośno nawołując mieszkańców tłoczących się na placu.

Robiło się coraz jaśniej i przybywało coraz więcej ludzi. Chociaż do południa, do Świętej Godziny Mitry, było jeszcze daleko, wydawało się, że połowa mieszkańców Menory zebrała się tutaj, na rozległej zielonej polanie.

Od samego rana w książęcym pałacu panował zgiełk i rwetes. Kiedy władcy Menory i dworzanie zasiadali przy stołach w ogromnej sali bankietowej, której okna wychodziły na wschód, słudzy i koniuchowie szykowali konie do uroczystego przejazdu.

Przez otwarte szeroko okna ogromnej, urządzonej według dawnego zwyczaju sali napływało czyste poranne powietrze. Księciu Orgeldowi kiedyś bardzo podobały się ciemne, bez pozłoty i rzeźb grube belki sufitu, a ciężkie brązowe lampy ze sterzącymi niczym promienie słońca bojowymi kopiami wywoływały w nim uczucie dumy ze sławnych przodków. Jednakże dziś wszystko wydawało mu się tak proste i ubogie, jak w przydrożnym szynku. Siedział nachmurzony, z niepokojem oczekując wschodu słońca. To właśnie słońce najbardziej go drażniło w ostatnich czasach i od samego rana marzył o tym, by jak najszybciej nadeszła noc z lekkimi, chłodnymi cieniami, refleksami płomieni lamp na ścianach i twarzach, i tym cudownym, pobudzającym krew w żyłach uczuciem, że jest nie tylko władcą, lecz również gospodarzem Bergheimu. Jedyne Ferdin rozumie jego uczucia, odgaduje jego najskrytsze pragnienia! Już wkrótce zasiądzie wśród tych hrabiów i baronów, którzy będą się rumienili, słuchając jego żartów.

Poczuł delikatne dotknięcie dłoni. Lawinia patrzyła na niego spokojnymi jasnymi oczyma, w głębi których krył się niepokój.

– Wschodzi słońce! Czas napełnić kubki! Wszyscy czekają na twe słowa, poranne słowa władcy Bergheimu!

Orgeld westchnął, podniósł rękę i natychmiast słudzy, jakby tylko czekając na ten znak, zaczęli napełniać złote kubki pienistym winem Mitry. Napój, którego receptura stanowiła tajemnicę kapłanów Jasnego Boga, sporządzano tutaj, w Menorze, z cierpkich win kupowanych w Puantanie. Żadne inne wino nie było tak lekkie i nie powodowało takiego radosnego szmeru w głowie. Pierwszy dzień Turnieju Mitry zawsze zaczynało od wypicia kubka tego wina o wschodzie słońca. Skraj złocistego dysku wychynał zza horyzontu, pozłacając bezchmurne niebo.

– Chwała Przenajjaśniejszemu Mitrze, niech towarzyszy nam Jego błogosławieństwo, niech otacza łaskami Bergheim, żeby i w następnym roku, jak i dotąd, nic nie zamąciło naszej radości! – Te słowa, które książę zawsze wypowiadał z taką łatwością i uczuciem, teraz ledwie przechodziły mu przez gardło, a usta z trudem układały się do czegoś w rodzaju uśmiechu. Lawinia patrzyła na męża spokojnie, ale serce jej ścisnęło się ze strachu i wściekłości.

Jak gdyby zrzucał z pleców wielki ciężar, książę bezsilnie opadł na fotel. Kubek zimnego wina nieco go odświeżył. Nic nie jedząc, kazał sobie jeszcze nalać po dwakroć. Jednak tym razem nie poczuł radosnego upojenia. A słońce wznosiło się coraz wyżej, oślepiając oczy.

Wokół kręcili się słudzy, roznosząc świąteczne potrawy na złotych i srebrnych półmiskach. Dworzanie rozmawiali z ożywieniem na temat oczekującego ich widowiska. Imię Ferdina wypowiadano z ironią, ponieważ nikt spośród siedzących przy stole nie wierzył w zwycięstwo tego żalostnego przybłądy, który nie wiadomo w jaki sposób zdobył poparcie księcia. Wszyscy byli przekonani, że Święty Turniej przyniesie sromotną klęskę bezczelnemu parwieniuszowi i że zostanie on wygnany z księstwa.

Poranna uczta trwała w najlepsze, a na górnym krużganku cicho przygrywały flety i piszczałki. Tymczasem ten, który tak bardzo pragnął zająć miejsce przy stole obok księcia, siedział sam w swej sypialni, z nienawiścią spoglądając na czerwone poranne słońce. Dawno już wypił wino z kujebą, dające siłę i młodość staremu ciału. Przy szerokiej ławie nakrytej miękkim dywanem czekał na Ferdina smagły milczący sługa.

– Przekłete słońce! Przez pół nocy błagałem Seta, żeby chmury zakryły niebo i ta żółta kula nie wisiała mi nad głową! Ale wkrótce nastaną inne czasy, słońce na mój rozkaz będzie się kryło za chmurami! Bergheim to tylko zapłata za te umiejętności, i Set ją otrzyma! Rób swoje, Akrusie, rozmasuj mi ciało jak należy. Przygotowałeś kocie skórki?

– Tak, panie, jak kazałeś, dwie rude i trzy czarne.

– Nie miałeś trudności ze schwyтaniem kotów?

– Czarne rzuciły się na przynętę jak głodne tygrysy, a potem spokojnie siedziały w worku, ale...

– Mów dalej, to bardzo ważne.

– Z rudymi nieźle się namęczyłem. Przez dłuższy czas w ogóle nie mogłem natrafić na żadnego rudego kota, a kiedy już je znalazłem, wcale nie chciały przyjść do przynęty. Coś niezwykłego! Musiałem je łowić siecią i podrapały mi ręce.

– Mówisz, że podrapały? A więc czekają mnie jakieś nieoczekiwane trudności... No a co było potem?

– Kiedy w nocy położyłem ich wewnątrzności na Czarnym Ołtarzu i zapaliłem ogień ofiarny, ciągle gasł, dopóki nie dodałem kilku kropli węźowego jadu... Wówczas ogień buchnął aż po korony drzew i ofiara została przyjeta.

– Tak... Zwycięzę, ale będę musiał... Dobrze, zaczynaj, potem rozetrzesz smarowidło skórkami, najpierw rudymi, a następnie czarnymi!

Ferndin rozebrał się i położył na ławie. Sługa odpiął od pasa pękaty flakon ze srebrnym korkiem i zaczął smarować skórę swego pana obrzydliwie śmierdzącym zieleм. Jednakże Ferndin chętnie wdychał tę ciężką woń, mrużąc oczy i postękując z rozkoszy. Również sługa, rozcierając mocnymi rękoma ciało swego pana, tak chciwie wąchał ten zapach, że aż mu drżały nozdrza, i co jakiś czas obliżywał językiem wąskie usta.

Wkrótce ciało Ferndina błyszczowało od brązowawej tłustej mazi. Sługa wydoстаł z niewielkiego skórzanego woreczka dobrze wyprawione kocie skórki i rozłożył je na podłodze. Na rękach Akrusa, do łokci pokrytych głębokimi świeżymi szramami, co jakiś czas pojawiały się krople krwi, które pospiesznie zlizywał.

– Zdaje się, że jeszcze zostało trochę tej maści, możesz nią posmarować swoje skaleczenia – łaskawie zezwolił Ferndin.

Sługa skłonił się z szacunkiem:

– Dziękuję ci, panie! Jeśli jednak można, posmaruję je potem, kiedy krew przestanie ciec.

– Oczywiście, że nie teraz! Dla ciebie nie stanowi różnicy, czy to krew obca, czy twoja, byle tylko była! Rozcieraj, nie trać czasu!

Rude skórki zamigotały w rękach Akrusa, a Ferndin, zagryzając wargi, od czasu do czasu wykrzykiwał:

– O, Wszzechmocny Secie! Nie tak energicznie! Delikatniej, delikatniej! Pali mnie jak ogień! Och! A teraz nogi! I nie zapomnij o stopach!

Nie mogąc już dłużej wytrzymać, Ferndin gwałtownie odepchnął służkę nogą, zerwał się i zaczął biegać po komnacie, żeby ostudzić żar. Na całym ciele miał purpurowe plamy, podskakiwał jak na rozżarzonych węglach i rzucał przekleństwami. Sługa wstał z podłogi, wziął jedną z czarnych skórek i uchwyciwszy właściwy moment przyłożył ją do pleców swego pana.

– Nareszcie! Spiesz się, bo oszaleję od tego żaru! O, jak dobrze! Jaki miły chłód! Znowu czuję się młody i mogę walczyć choćby z setką baronów! Jeszcze, jeszcze, czemu ledwie muskasz mi plecy? Silniej! O, tak! O, Secie, dzięki ci za twą mądrość! Rzuć już tę skórkę, Akrusie, weź następną!

Rozpłaszczyl się na podłodze, a służka klęcząc, gwałtownie rozcierał mu pierś, brzuch, nogi. Ręce Ferndina, ciągle jeszcze pokryte czerwonymi plamami, konwulsyjnie drapały podłogę, ale Akrus, bojaźliwie zerkając na silne palce swego pana, nawet nie miał zamiaru zbliżyć się do nich z kocią skórką. Skończywszy rozcierać stopy, służka zręcznie odskoczył na bok, schwycił ostatnią czarną skórkę i rzucił Ferndinowi, który złapał ją w locie, usiadł na dywanie i sam zaczął rozcierać sobie ręce.

– Widzę, że nie zapomniałeś, jak to było ostatnim razem! Tak, niewiele brakowało, a pozbyłbym się wiernego sługi! Za to ty czegoś się nauczyłeś i jestem rad, że nie skrzyłem ci wówczas karku... No, to już wszystko, teraz można się ubierać!

Ferndin sprężystym krokiem podszedł do lustra i z satysfakcją zaczął podziwiać swe muskularne ciało ze wżgórkami stalowych mięśni i skórą tak świeżą jak u siedemnastoletniego chłopca. Akrus, z szacunkiem stojąc z tyłu, trzymał w rękach cienką koszulę.

– Czy mogę być pewien tego... jak mu tam... Gordiona, którego zwą Nieprzekupnym? – zapytał Ferndin, wolno wkładając koszulę, rozkoszując się dotykiem chłodnej tkaniny.

– Nieprzekupny! Dlatego tak go nazywają, ponieważ nikt jeszcze nie próbował go przekupić. Opowiadałem już, jak się przestraszył, kiedy kilka dni temu stracił swój dźwięczny głos.

– Tak, to było bardzo zabawne, Akrusie. Kogo by wówczas Najwyższy Kapłan wyznaczył do losowania? Jakiegoś młodego herolda o donośnym głosie, a Gordion zostałby zwykłym strażnikiem...

– Ten biedak, kiedy razem z winem połknął czarną perłę naszego władcy, Seta, całkiem zaniemówił. Czego tylko nie próbował, żeby jakoś pobudzić swe gardło!

– A jak przyjął to, co powiedziałeś o mnie? Wiem, że służył w pałacu, a nawet mieszczanie, są źle do mnie nastawieni. Wierzą, że to sam Mitra decyduje o rezultacie pojedynków! No więc co powiedział?

– Teraz Gordion Nieprzekupny jest jednym z najwierniejszych sług mojego pana! Kiedy usłyszał, że chce mu pomóc sam Ferndin, przyjaciel księcia Orgelda, wytrzeszczył oczy i poprząsł na głowę swej matki – a to dla nich najświętsza przysięga – że uczyni wszystko, co rozkażesz, panie!

– Nie jest taki głupi. Zrozumiał, drań, że nic nie robi się za darmo!

– Tak, mój panie, teraz możesz wybierać sobie przeciwników według własnej woli, a sławetny Gordion, wyciągając z czaszy płytki z imionami, głośno obwieści to ku radości tłumu!

– Dobrze, jestem dziś z ciebie bardzo zadowolony, Akrusie! Czas iść... A teraz zniknij, stań się nie zwracającym uwagi zwykłym mieszkańcem miasta i kręć się w pobliżu tego Nieprzekupnego. Dam ci znak, który przeciwnik mi nie odpowiada... Widzę, że jakaś siła wmieszła się w moje plany, dlatego bądź czujny! Wieczorem czeka na ciebie nagroda, pamiętaj o tym!

Ferndin, gotów już do wyjścia, ostatni raz spojrzął w lustro i podkręcił wąsy z uśmiechem, który co rano nakładał na swą twarz jak elegant wkłada na głowę aksamitną czapkę.

Wyszli z komnaty i przydzielony Ferndinowi paź pobiegł co sił w nogach do stajni z rozkazem wyprowadzenia koni. Tymczasem Akrus niezauważenie zniknął w jednym z licznych korytarzy pałacu.

Kiedy Ferndin dotarł do Świętego Placu, zbierali się już tam rycerze, pragnący wziąć udział w turnieju. Widzowie, którzy z uciechą szepotali pomiędzy sobą, że faworyt księcia stchórzył w ostatniej chwili, obawiając się o swe życie, skoro tylko ujrzeli go przy ostatnim namiocie, umilkli przestraszeni.

Odezwały się trąby, ogłaszając przybycie księcia i księżnej. Słońce, zbliżając się do zenitu, wesoło igrało z chorągiewkami trzepo-

czącymi na wietrze, połyskiwało na złotych haftach strojów. Wkrótce ludzie ze świty księcia i goście honorowi zajęli ławy pokryte drogimi kobiercami, z aksamitnymi poduszkami dla dam.

Ludzie powitali księcia i księżnę radosnymi okrzykami, wleciały pod niebo czapki, a trąby zagrzmiały ogłuszająco. Osunąwszy się na fotel, książe wolno podniósł rękę – był to znak do rozpoczęcia Wielkiego Turnieju.

Radosna muzyka trąb ustąpiła miejsca melodyjnemu podzwianiu gongów z drewnianej świątyni. Na plac wyszli kapłani Mitry na czele z Najwyższym Kapłanem. W tym samym czasie przez szeroką bramę, która otworzyła się w drugim końcu ogrodzenia, wolno wjechali rycerze. Było ich trzydziestu, czekając na błogosławieństwo, stanęli w szeregu naprzeciw kapłanów w biało-złotyach strojach.

Obok Najwyższego Kapłana stanął z wielką srebrzystą czaszą w rękach sam Gordion Nieprzekupny. Każdego roku wyciągał z tego naczynia złote tabliczki i wykrzykiwał na cały plac wolę Najjaśniejszego Mitry. Ptaki, zaniepokojone już przedtem hałasem trąb i gongów, uciekały w popłochu z zagajnika, gdy tylko usłyszały jego potężny głos.

Gordion był tak nieodłączną postacią Wielkiego Turnieju, jak książe czy Najwyższy Kapłan. Ten szczupły człowiek z wylupiastymi oczami potrafił przekrzyczeć zgiełk wzburzonego tłumu i ryk trąb. I teraz ludzie przycichli w oczekiwaniu na ulubione widowisko. Gordion wydostał z czaszy zwój z zasadami Mitry. Według tych zasad rokrocznie, z pokolenia na pokolenie, odbywały się turnieje na Świętym Placu.

Rycerze, stojąc naprzeciw Gordiona, zamarli, zerkając jedynie kątem oka na co znaczniejszych przeciwników. Widzowie, szeptem wymieniając między sobą uwagi, przyglądali się groźnemu szeregowi. Największe wrażenie robili dwaj wojownicy, stojący na skraju po przeciwnych stronach: Ferndin w bogatej, błyszczącej złotem zbroi, na gorącym, młodym, szarym ogierze, co było kolorem rzadko spotykanym w tych stronach, i potężnie zbudowany wojownik na ciężkim czarnym rumaku, w czarnej zbroi, który po raz pierwszy tego ranka pojawił się na placu. Nikt nie wiedział, kto to taki i skąd przybył, ale dla wielu rycerzy widok nieznanego oznaczał koniec marzeń o zwycięstwie.

Gdy słońce dosięgło zenitu, dźwięk gongów popłynął nad szeroką polaną. Najwyższy Kapłan podniósł i opuścił laskę ze złotym dyskiem, a Gordion wyszedł dumnie naprzód i oznajmił:

– Najjaśniejszy Mitra, Bóg Obfitości, Sprawca i Obrońca Życia, nakazuje rozpocząć te zmagania wojowników, żeby jeden z nich, najdzielniejszy i najbardziej sprawny w walce, wybrany przez samego Boga, otrzymał należną nagrodę!

– Zwycięzca otrzyma tytuł i stanie się szlachetnym rycerzem, jeśli stanie w szranki jako człowiek prostego urodzenia.

– Jeśli zwycięzca jest rycerzem, otrzyma nagrodę, która pomnoży jego majątek, i tytuł, zapewniający mu jeszcze większą sławę.

– Zwycięzca będzie wiernie służył księciu sławnego Bergheimu, albowiem taka jest wola Mitry.

– Rycerze, którzy chcą wziąć udział w turnieju, mają podać do powszechnej wiadomości swe imię i zawołanie. Otrzymają wówczas złote medaliony ze Znakiem Mitry.

– Takie same medaliony będą umieszczone w srebrnej czaszy do ciągnięcia losów.

– Rycerze według woli Mitry zostaną podzieleni na pary i mają walczyć ze sobą do ostatecznego zwycięstwa.

– Ci, którzy zwyciężą, znów zostaną podzieleni na pary i mają walczyć między sobą do zwycięstwa.

– Rycerze będą używać w walce bojowego oręża – mieczy, buław, sztyletów – i nikt nie ma prawa przerwać pojedynku.

– Zwycięzca, jeśli jego przeciwnik nie jest już zdolny do walki, może darować mu życie.

– Rycerz może się poddać i wówczas pojedynek zostaje zakończony.

– Dwaj rycerze, którzy pokonali wszystkich innych, mają odbyć decydującą walkę następnego dnia w południe.

– Ten, kto będzie zmierzał do zwycięstwa w sposób nieuczciwy, zostanie przeklęty przez Mitrę.

– Nikt nie może powiedzieć, że nie znał zasad turnieju!

– Niech nam błogosławi Jasny Bóg! – Z tymi słowami Gordion oddał zwój jednemu z kapłanów i odsunął się na bok.

Stojąc z czaszą za plecami Najwyższego Kapłana, Gordion dobrane widział wszystkich wojowników, ale bardziej go teraz interesował zbity tłum, w którym bezskutecznie usiłował kogoś wypatrzeć. Wreszcie jego rozbiegane oczy napotkały małego, ruchliwego staruszka, i Gordion odetchnął z ulgą. A stary żebrak ciągle kręcił się za plecami rycerzy, mruczając coś i wymachując rękoma. Nikt nie próbował odpędzić go od namiotów, a handlarze, uważając starusz-

ka za nienormalnego, na wyścigi częstowali go jedzeniem. W Menorze, jak zresztą w całej Nemedii, obłąkanych traktowano ze szczególnym szacunkiem: uważano, że są bliżej bogów niż zwykli śmiertelnicy, że nawet mogą przepowiadać przyszłość. Rozgniewać takiego biedaka to jak rozdrażnić demona – jego przekleństwo mogło spowodować nieszczęście na każdy dom, na każdego, kto pożałuje dla starca kawałka chleba.

I oto teraz wścibski żebrak, szczerząc zęby w uśmiechu i robiąc głupie miny, kręcił się za plecami potężnie zbudowanego rycerza, stojącego na samym skraju szeregu. Gordion przeniósł wzrok z niego na Ferndina, który ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Najwyższy Kapłan chwilę stał głęboko pogrążony w myślach, a potem wyciągnął rękę w stronę nieznanego na czarnym ogniu, dając mu znak, by się zbliżył. Rycerz podjechał niemal bez użycia wodzy, zeskoczył na ziemię i skłonił się.

– Jak się nazywasz i skąd pochodzisz? – zapytał Najwyższy Kapłan.

– Jestem Conan z Cymmerii – odparł czarnowłosy olbrzym, spoglądając na niego zimnymi niebieskimi oczami.

– Czy przysięgasz, że będziesz walczył zgodnie z Zasadami Mitry?

– Przysięgam! – Conan, jak nauczył go rano mistrz Klars, przyklęknął na jedno kolano, wyciągnął z pochwy miecz i wbił go mocno w piasek.

Najwyższy Kapłan wyciągnął rękę, a słudzy podali mu szeroką czaszę z wodą ze Źródła Mitry. Krople aromatycznej wody zabłysły na twarzy i włosach Cymmerianina, spłynęły na miecz i broję, zmoczyły grzywę konia.

Jeden z kapłanów, śpiewając psalm ku czci Mitry, podszedł do Najwyższego Kapłana z innym naczyniem, nieco podobnym do dzbanka z wąską szyjką. Włożył do środka rękę i wyciągnął okrągłą złotą blaszkę na jedwabnym sznurku.

– Mitra daje ci Znak Ptaka! Pochyl głowę, Cymmerianinie! – Mówiąc to, nałożył Conanowi podzwaniający medalion. Natychmiast też drugi kapłan wrzucił do naczynia Nieprzekupnego Gordiona taką samą złotą blaszkę.

– Conan rodem z Cymmerii! Znak Ptaka! – gromkim głosem obwieścił Gordion, wystąpiwszy do przodu. Conan wskoczył na konia i zajął swe miejsce w szeregu rycerzy.

Na środek placu wyjeżdżał już następny rycerz.

IX

– Popatrz, moja piękna księżno, ilu tym razem zebrało się rycerzy! Już od dawna, od czasu, gdy odwiedził nas król, nie było tylu chętnych do zmierzenia się na turnieju. Zaprawdę, rok ten obfituje we wszystko – zarówno w płody ziemi, jak i w odwagę.

– Tak, książę, dziś każdy, kto jest ci wierny i wystarczająco silny, staje w szranki!

W słowach księżnej kryła się ironia i pewna aluzja, ale on nie zrozumiał tego.

– Też tak myślę, moja droga! Przecież nawet Ferndin, ten wesolek, postanowił wziąć udział w turnieju. Och, Lawinio, jaki to mądry człowiek! Kiedy coś mi radzi, nie mam wątpliwości, że to jedyna słuszna droga. Nie to, co stary Diss: on zawsze kazał mi samemu znaleźć wyjście z sytuacji, a potem wszystko zmieniał! Też mi doradca! No, pokój jego prochom... Ferndin ma nadzieję, że Mitra pomoże mu odnieść zwycięstwo, a wówczas będzie mógł zająć miejsce biednego Dissa.

– O, Najjaśniejszy Mitro! Tak też sądziłam, że właśnie do tego zmierza! – Twarz księżnej poczerwieniała z gniewu, a oczy jej spochmurniały. – Orgeldzie, czy jesteś ślepy, że nic nie widzisz?! Ci ludzie zebraли się na placu, by nie dopuścić do władzy tego niegodnego człowieka, żeby uratować Bergheim i ciebie!

Książę machnął ręką, jakby opędzając się od natrętnej muchy.

– Jesteś mądra, Lawinio, bardzo mądra, ale mimo wszystko masz rozum kobiecy! Jak każda kobieta boisz się cieni i widzisz niebezpieczeństwa tam, gdzie ich nie ma. Po raz ostatni mówię ci – zostaw Ferndina w spokoju albo się pogniewam! Nie przeszkadzaj mi w oglądaniu turnieju, nie odwracaj uwagi głupimi podejrzeniami!

Księżna pustym wzrokiem patrzyła na tłum i zagryzała usta, by powstrzymać gniewne słowa. W tym właśnie momencie rozległ się głośny jak huk grzmotu okrzyk Nieprzekupnego Gordiona, od którego młoda księżna drgnęła mimo woli. Powróciła do rzeczywistości. Znow widziała Święty Plac, kapłanów w śnieżnobiałych szatach i połykający stałą szereg wojowników.

– Conan rodem z Cymmerii! Znak Ptaka!

Księżna w rozstargnieniu spojrzała na rycerza, który szykował się już, żeby wskoczyć na konia, i serce zabiło jej mocniej. Poznała go! To był ten sam olbrzym z błyszczącymi niebieskimi oczami, który patrzył wczoraj na nią na placu z takim zachwytem. I jeszcze coś

sobie przypomniwała. Zerknęła na swą dłoń i sploty linii ułożyły się w obraz spoglądającej na nią twarzy. Tak, to była ta sama twarz, którą ujrzała wówczas u czarownicy! I skrzyżowane miecze! Znaczy więc, że tu, na Wielkim Turnieju, ważą się losy księstwa! Lawinia, nie zwracając już uwagi na księcia, który ciągle coś mówił, wbiła wzrok w potężnego rycerza.

Tymczasem rycerze jeden za drugim wyjeżdżali na środek pola i przyklekając przed Najwyższym Kapłanem składali przysięgę Mi-trze. Nad Świętym Placem przetaczały się ogłuszające okrzyki Gordiona:

- Szlachetny rycerz, hrabia Margus z Satonu! Znak Deszczu!
- Szlachetny rycerz, baron Rifsain z Berketu! Znak Ryby!
- Szlachetny rycerz, hrabia Brain z Merdifu! Znak Wiatru!

Imię Braina na chwilę zwróciło uwagę księżnej. Prześliznęła się obojętnym wzrokiem po zgrabnej sylwetce młodego rycerza, patrzącego nie na Najwyższego Kapłana, lecz na nią, i lekko się do niego uśmiechnęła. A potem znów wpatrzyła się w czarnowłosego wojownika, chcąc pochwycić jego spojrzenie. Conan! A więc tak się nazywa! Z zimnej barbarzyńskiej Cymmerii! Nawet nie spojrzy w stronę księżęcej łoży, widocznie nie istnieje już dla niego nic prócz przyszłej walki, i żadne myśli o kobietach nie zaprzętają mu głowy.

Lawinia patrzyła na Conana z przedziwnym uczuciem: miała wrażenie, że to jej własne nogi spinają bojowego rumaka, że to jej ręce nie mogą się doczekać chwili, gdy wreszcie wyciągną miecz i opuszczą go na głowę znieawidzonego wroga. Nigdy jeszcze żaden turniej nie wzburzył w niej tak krwi, choć serce pozostało zimne jak lód.

– Ferndin rodem z Zamory! Znak Węża! – gromkim głosem oznajmił Gordion i podstawił czaszę, by wrzucono do niej ostatnią złotą blaszkę. I nikt, nawet najbliżej stojący, nie zauważył, kiedy znalazła się ona w jego rękawie. W drugim rękawie dawno już leżała schowana blaszka ze Znakiem Ptaka.

Znów zagrały trąby i słudzy rozjechali się po całym placu, zbierając trzosi i pojedyncze monety, szczerdże rzucane zewsząd.

– Szczodrość i obfitość! – wołali, przejeżdżając obok ożywionych widzów. – Szczodrość i obfitość! Zwycięstwo temu, który najbardziej na nie zasłuży! Cześć i chwała!

Tymczasem rycerze opuścili plac i czekając na losowanie zajęli miejsce w szeregu za bramą. Książęcy słudzy sprawnie ustawili zdjęte na czas uroczystych ceremonii ogrodzenie, dzielące plac na cztery

części. Zaraz Mitra głosem Gordiona obwieści swą wolę – zestaw czterech par, które mają potykać się ze sobą.

Nieprzekupny Gordion, wystawiając na próbę cierpliwość zmarłego z wrażenia tłumu, długo grzebał ręką w czaszy, aż wreszcie wyciągnął z niej połyskującą w słońcu złotą blaszkę i ogłosił imię pierwszego wojownika:

– Znak Wiatru! Szlachetnie urodzony rycerz, hrabia Brain! – I przekazał blaszkę słudze.

Potem tak samo wolno włożył rękę w czaszę i znów zaczął podzwaniać blaszkami. I oto ma już znak przeciwnika młodego Braina:

– Znak Ptaka! Conan z Cymmerii!

Wymienieni rycerze natychmiast nałożyli podane im przez giermków hełmy, chwycili tarcze i zajęli miejsce przy bramie. Potem stanęła za nimi druga para, trzecia i czwarta.

Radosny ryk tłumu, witającego pierwszych walczących, był tak głośny, że zagłuszył dźwięk trąb. Heroldowie uroczyście odprowadzali każdą parę na miejsce i rycerze, zwróciwszy konie w stronę łoży książęcej, zamarli w oczekiwaniu na znak do walki.

Książę Orgeld, zapomniawszy o smutku i nudzie, które tak mu ostatnio doskwierały, pałającymi oczami spoglądał na jeźdźców w błyszczących zbrojach. Wstał z fotela i dał znak heroldowi, który krzyknął głośno:

– Na stanowiska! – I zatrąbił.

Rycerze zawrócili konie i rozjechali się w przeciwnie strony.

Ręka księcia, ściskająca czerwoną skórzaną piłkę, na chwilę zmarła uniesiona w powietrzu – i opadła przy wtórze trąb. Natychmiast na polu walki zarżały konie i stał zadzwoniła o stal. Rycerze walczyli, zdumiewając widzów swymi umiejętnościami i zręcznością, początkowo nie czyniąc sobie krzywdy, jak gdyby chcąc wybać słabe punkty przeciwników.

Jednak już wkrótce uwagę tłumu – a także gości, dworzan, księcia i księżnej – przyciągnęła jedna walcząca ze sobą para – potężny Cymmerianin i szczupły, zręczny Brain. Wszyscy pamiętali, że w poprzednim roku młodzieniec ten odniósł błyskotliwe zwycięstwo, nie zabijając ani jednego ze swych przeciwników. I tym razem mieszkańcy miasta życzyli sukcesu właśnie jemu, wiernemu słudze księcia Orgelda. Jednak trafił mu się trudny przeciwnik – tutaj, w Nemedii, jak i w całej Hyperborei, wiele słyszano o odwadze i sile cymmeriańskich wojowników, którzy za nic mieli lodowate demony

i ziejące ogniem smoki. I oto teraz los rzucił do ich maleńkiego księstwa jednego z tych poszukiwaczy przygód. Kim jest ten barbarzyńca o twarzy pokrytej szramami? A jeśli ów przybysz jest jeszcze gorszy od przeklętego Ferndina? I jeśli nagle okaże się zwycięzcą?

Na trzech placach pojedynki zakończono dość szybko – rycerze, którzy zostali lekko ranni, uznali się za pokonanych. Postępowano tak dość często, co spotykało się z pełną akceptacją kapłanów Mitry i samego księcia: nie było sensu tracić wiernych wasali.

Jednak walka na czwartym polu, przyciągająca uwagę wszystkich widzów, zanosila się na dłuższą. Obaj przeciwnicy jak gdyby starali się zademonstrować wszystkie swoje możliwości, zęcznie atakując i równie dobrze się broniąc.

Conan od razu poznał swego przeciwnika: był to ten sam młodzieniec, który wypróbował miecze na podwórzu mistrza Klarsa. Już wówczas Cymmerianin zwrócił uwagę na to, z jaką zręcznością i szybkością zadaje on ciosy, a teraz sam musiał odparowywać błyskawiczne ataki Braina. Jednakże Conan, który stoczył w swym życiu mnóstwo walk, gdzie rycerskość okazywała się zgubnym luksusem, nawet w tak krótkim czasie zdołał odkryć niejedną możliwość pokonania sprytnego chłopaka mocnym uderzeniem. Kątem oka widział, w jaki sposób zakończono walki na sąsiednich placach. Ten chłopak, zapalczywy i śmiały do zuchwałości, podobał mu się coraz bardziej. Trzeba się jeszcze z nim pobawić, niech pokaże, co umie, a potem... Conan już wiedział, jak zakończy pojedynek.

Miecze ścierały się, dzwoniąc i krzesząc iskry, rozgorączkowane konie stawały dęba, a pojedynek ciągle trwał. Ludzie, którzy początkowo nieufnie spoglądali na Cymmerianina, spodziewając się, że będzie walczył brutalnie i nieczysto, stopniowo zaczęli brać jego stronę. Mieszkańcy Menory, wytrawni znawcy turniejów, doskonale widzieli, że ten olbrzymi barbarzyńca nie chce korzystać ze wszystkich swoich możliwości. I wkrótce zamiast Braina, zaczęli dopingować Conana:

– Conan, tnij! Śmiało, Cymmerianinie! Chwała i zwycięstwo! Dalej, dalej!

Księżę siedział w wysokim fotelu jak na szpilkach, wstawał, wychylał się przez barierę i wołał:

– Co za cios! Ale wojownik! Dalej, Cymmerianinie! Tnij!

Lawinia nie spuszczała z Conana zachwyconych oczu, pewna jego zwycięstwa, i poruszała ustami, bezdźwięcznie powtarzając jego imię.

Jeźdźcy, rozgrzani walką, rozjechali się, ustawiając do następnego ataku. Conan spał ostrogami rumaka i rzucił się na młodego rycerza jak na śmiertelnego wroga. Tak mocno uderzył mieczem w tarczę przeciwnika, że pękło stalowe poszycie. Prowadzony wprawna ręką czarny rumak Cymmerianina pchnął szeroką pierśią w bok konia Braina – i koń, i jeździec runęli na ziemię.

Rycerz nie zdążył uwolnić się ze strzemion i koń przygniótł mu nogę. Conan mógł teraz zadać ostatni cios, ponieważ przeciwnik nie prosił o zmiłowanie, nie poddawał się. Zamiast tego zsiadł z konia i z zimną krwią czekał, aż Brain wstanie. Zgromadzony wokół Świętego Placu tłum zahuczał:

– Conan! Conan zwycięzca!

Brain, chwytając się na nogach, kulejąc, zrobił kilka kroków w stronę Cymmerianina. Ból nie do wytrzymania zasnuwał oczy młodzieńca czerwoną mgłą. Bez lęku czekał na ostatni cios. Jednak przeciwnik z jakiegoś powodu zwlekał. Brain, wielkim wysiłkiem woli przezwyciężając ból, spojrział na niego. Conan stał z opuszczonym mieczem i spokojnie mu się przyglądał. Nie mając dość sił, by podnieść miecz do zadania ciosu, Brain, zgrzytając zębami ze złości i wstydu, rzucił go pod nogi Cymmerianina, przyznając się do porażki. Nie patrząc w stronę książęcej loży, z trudem, wsparty na ramieniu giermka, poszedł w stronę Bramy Zwycięzonych.

Conan, lekko wskoczywszy na siodło, spał konia, który stanął dęba, i przy wtórze entuzjastycznych okrzyków opuścił Święty Plac.

Gordion znów wyszedł do przodu, wykrzykując imiona następných uczestników turnieju. Ludzie okrzykami zagrzewali rycerzy do walki, ale żaden pojedynek nie wywołał już takiego wybuchu namiętności. Książę i księżna rozmawiali ze sobą cicho, omawiając sukcesy i porażki walczących. Gdy zwycięzcy opuszczali plac, towarzyszyły im radosne okrzyki. Pokonanych wynoszono lub sami, z opuszczonymi głowami, wychodzili za ogrodzenie przez Bramę Pokonanych.

Za każdym razem, kiedy Gordion zaczynał wykrzykiwać imiona rycerzy, Lawinii zamierało serce, a książę Orgeld nerwowo postukiwał ręką o barierę. Jednakże na plac wychodzili coraz to nowi rycerze, a Ferndin ciągle stał za bramą, zimnym wzrokiem przyglądając się walczącym.

Pozostało sześciu wojowników, z których należało utworzyć trzy pary. Widzowie, podnieceni pojedynkami, głośno ze sobą rozmawiali, zgadując, kto będzie walczył ze zniechęconym Ferndinem.

Wszyscy liczący się w turnieju rycerze opuścili już plac i jak na złość przeciwnikiem książęcego faworyta mógł teraz zostać tylko albo całkiem młody wojak, albo siwy rycerz.

Przekrzykując zgłęb tłum, Gordion ogłosił:

- Znak Ryby! Szlachetnie urodzony rycerz, baron Rifsain!
- Znak Węża! Ferndin, rodem z Zamory!

Tłum zahuczał niezadowolony i Gordion musiał wyteńczyć gardło, żeby ogłosić dwie ostatnie pary

Baron Rifsain, niegdyś postrach turniejów, należał do najbliższego otoczenia księcia. Jako jedyny człowiek na Świętym Placu cieszył się z wyniku losowania: tylko dlatego wsiadł na konia, nie zważając na swój wiek, by móc uwolnić księstwo od tego niebezpiecznego przybłądy. Triumfalny uśmiech zjeżył jego siwe wąsy, kiedy nakładał podany przez giermka hełm. Baron nie zauważył pełnego nienawiści spojrzenia, jakie rzucił nań stojący obok Ferndin.

Zagrzmiały trąby, rycerze zajęli miejsca i zamarli, czekając na sygnał do rozpoczęcia pojedynku; książę, ściskając w rękę czerwoną piłkę, zwlekał, jak gdyby wypróbowując cierpliwość widzów, ale oto jego dłoń się rozwarła, piłka upadła na piasek i trąby dały sygnał do boju.

I znów, jak na początku turnieju, wszystkie oczy były zwrócone na jedną parę rycerzy – na barona Rifsaina, który rzucił się do walki z całą furią nagromadzonej w nim złości, i na Ferndina, który mimo woli cofnął się do rogu pod wściekłym naporem.

Księżna wykrzykiwała radośnie: miała wrażenie, że Ferndin zaraz zostanie pokonany, nie wytrzyma potężnych ciosów starego Rifsaina. Zmartwiony książę uderzył pięścią w barierę i zażądał wina. Kiedy jednak sługa przyniósł pełny kubek, książę widział już tylko walczących, zapomniał o całym świecie.

Ferndin, który w pierwszej chwili wydawał się taki nieudolny, nagle, z zaskakującą lekkością posługując się ciężkim mieczem, powstrzymał natarcie barona, spiął konia i sam runął do ataku. Teraz on zadawał straszne cięcia, a stary baron ledwie nadażał. Ale oto baron zręcznie uchylił się od ciosu i miecz Ferndina, który zawisł już nad jego głową, ze zgrzytem osunął się po tarczy. Z okrzykiem zwycięstwa baron Rifsain ciął wroga. Wydawało się, że tak silny cios zmiecie każdego przeciwnika. Widzowie, oczekujący na to, że Ferndin runie na ziemię zalany krwią, zakrzyknęli radośnie. Jednak zdarzyło się coś dziwnego: klinga zadzwoniła, jakby natknąwszy się na kamień, a przed oczyma zaskoczonych barona, który włożył wszyst-

kie siły w decydujące uderzenie, błysnęło ostrze wroga. Była to ostatnia rzecz, jaką zobaczył stary baron: chwilę później Rifsain wolno osuwał się na piasek z rozłupaną czaszką.

Ze wszystkich stron rozległy się gwizdy, przekleństwa, tłum zarzwał, gotów roznieść w strzępy ogrodzenie. Heroldowie musieli włożyć niemało wysiłku w to, żeby uspokoić ludzi. Pojedynki na sąsiednich placach zakończyły się spokojnie, nie przyciągając zbyt wiele uwagi widzów. Rycerze pospiesznie opuścili szranki i na piasek zbryzgany krwią wyszedł Najwyższy Kapłan. Gordion stał nieco z tyłu, gotów podchwycić ciche słowa kapłana i cisnąc je, niczym pocisk z balisty, na głowy rozwścieczonego tłumu. I oto poruszyły się blade wargi kapłana Mitry, a nad Świętym Placem ogłuszająco rozbrzmiał głos Gordiona:

– Walka była prowadzona zgodnie z zasadami! Zwyciężył Ferdin z Zamory! Taka jest wola Mitry! Turniej odbywa się dalej!

Piętnastu rycerzy ustawiło się koło Bramy Zwycięzców, czekając na losowanie. Ponieważ była ich nieparzysta liczba, ostatni rycerz, który pozostanie bez pary, ma walczyć z Rycerzem Mitry – jednym z kapłanów świątyni. Rycerz Mitry, jeśli nawet zwycięży w pojedynku, nie dostanie nagrody – w następnej walce mógł wziąć udział tylko w takim przypadku, jeżeli znów będzie brakowało przeciwnika. Jeśli jednym z dwóch pozostałych rycerzy okazał się kapłan ze świątyni, zwycięstwo przyznawano jego przeciwnikowi i następnego dnia pojedynki nie odbywał się.

Nieprzekupny Gordion, spoglądając wylupiastymi oczami gdzieś w dal, znów podszedł z czaszą do jednego z kapłanów Mitry i zaczął odbierać z jego rąk złote blaszki, dźwięcznie wykrzykując znaki i imiona. I znów dwie z nich trafiły do długich, obszytych błyszczącym jedwabiem rękawów uroczystego stroju herolda. Złote blaszki podzwaniały w czaszy, a Gordion wolno w nich grzebał, nieruchomym wzrokiem ciągle spoglądając w przestrzeń i elektryzując tym widzów.

Jak nikt inny dobrze wiedział, że tłum szybko zmienia nastroje, przechodząc od wścieklej złości, której, wydawałoby się, nic nie potrafi uspokoić, do radosnego oczekiwania na dalszy ciąg widowiska. Gordion, czując się podczas tej chwili ciszy jedynym władcą pstrokatego morza głów i tysięcy skierowanych na niego oczu, triumfował i zarazem czuł pogardę do tych ludzi. Prostacy! Wszystkimi zebranymi tutaj kieruje jedno jedyne uczucie, upodabniające dorosłych do głupich dzieciaków. Ciekawość – oto co ich tu sprowadza

i dlatego mocniej biją i zamierają ich serca. A on, Gordion, dzięki Mitrze obdarzony wspaniałym głosem, jak nikt inny umiejący przeprowadzać losowania, z łatwością grał na ludzkich słabościach.

Cicho podzwaniały blaszki w srebrnej czaszy, ale na Świętym Placu zapadła taka cisza, że nawet ludzie stojący w tylnych rzędach słyszeli ten intrygujący dźwięk. Wreszcie Gordion wolno podniósł rękę i w jego palcach błysnęła pierwsza złota blaszka.

Delektując się ciszą, bezgłośnie pulsującą uderzeniami mnóstwa serc, Gordion spojrział na blaszkę, chwilę milczał, poruszając ustami, i wreszcie krzyknął tak głośno, że aż poderwało się stado wron, a wielotysięczny tłum drgnął:

– Znak Drzewa! Szlachetnie urodzony rycerz, baron Frostus z Chatory!

Księżna, zaciskając dłonie i starając się nie patrzeć w stronę rycerzy, słuchała okrzyków Gordiona. Książę, wstrząśnięty nie tyle śmiercią barona, co wściekłym gniewem tłumu, szeptał, zagryzając wargi:

– Przecież uprzedzałem! Jeszcze jedno takie zwycięstwo i tłum połamie bariery! Nie, nie można do tego dopuścić! Hej, chłopcze, chodź tutaj!

Paż podszedł i skłonił się nisko. Książę kazał mu się jeszcze zbliżyć i coś szepnął na ucho, a potem niecierpliwie machnął ręką w stronę rycerzy.

– Tylko szybko, słyszysz?! Szybko!

Paż co sił w nogach zbiegł ze schodków i starając się nie zwracać na siebie uwagi pomknął w stronę Bramy Zwycięzców. Jednak nie zdążył – nad tłumem zadudnił potężny głos Gordiona:

– Znak Węża! Ferndin z Zamory!

Przy wtórze trąb cztery pary rycerzy wjechały na plac. Księżna podniosła głowę i napotkała triumfujący wzrok Ferndina. Czyżby i tym razem był pewien zwycięstwa? Lawinia uśmiechnęła się pogardliwie i spojrzała na przeciwnika nienawistnego parweniusza. Młody chłopak, niemal jeszcze dziecko! To jego pierwszy turniej i taki jest dumny z odniesionego przed chwilą zwycięstwa! Czy i on zginie, jak stary baron?! Księżna zamknęła oczy i potrząsnęła głową, odpędzając straszłą wizję.

Ryknęły trąby, ogłaszając początek pojedynków. Rycerze runęli do ataku, błysnęły miecze – i nagle wszystko umilkło. Tylko słaby jęk umierającego młodzieńca na chwilę zakłócił ciszę. Frostus osunął się na szyję konia, miecz wypadł mu z dłoni... A tłum znów zahuczał, nie kryjąc oburzenia.

Książę był równie wściekły jak poddani. Z jego ust sypały się gniewne słowa, dłonie zaciskały się w pięści, oczy miały błyskawice. Lawinia z radosnym zdziwieniem spoglądała na męża; nagle pomyślała, że Ferndin tymi okrutnymi zwycięstwami sam sobie wykopał grób i książę teraz na zawsze odwróci się od niego, ale zmroziły ją już pierwsze słowa Orgelda.

– Ależ on walczy! Ci niedołądzy nie są jego godni! Jeden cios – i już nie żyje! Nie, nie mogę mieć do Ferndina pretensji o te zwycięstwa! Taki wojownik wart jest dziesięciu innych, którzy proszą, żeby ich oszczędzić! Czemu stoicie? Walczcie dalej! – Ostatnie słowa książę Bergheimu wykrzyknął tak głośno, że rycerze znów rzucili się na siebie.

Conan skrzyżował miecz z rosłym rycerzem, zapewne jego rówieśnikiem. Przez chwilę, zapominając o Ferndinie, oddał się całkowicie walce, powstrzymując ataki przeciwnika. To nie był porywczy Brain, który przez cały czas starał się czymś go zaskoczyć. Ten rycerz tak nieustrudzenie walił ciężkim niczym młot mieczem, jakby za każdym razem zamierzał rozrząbać przeciwnika na dwoje. Wkrótce Conanowi znudziła się taka wymiana ciosów, od których było wiele hałasu, lecz mało skutku. Spiał swego rumaka i zaczął zataczać koła wokół przeciwnika, nie pozwalając mu wymachiwać mieczem. Koń Conana, pozornie taki wielki i nieruchawy, słuchał najłżejszego ruchu ręki swego pana i już wkrótce przeciwnik Conana nie wiedział, co ma robić z mieczem i skąd należy oczekiwać ciosu.

Dopiero gdy skrzył koniem, udało mu się zamachnąć mieczem – nie zdążył go jednak opuścić, ponieważ barbarzyńca w zręczny sposób, podpatrzony u Semitów, mistrzów w takich sztuczkach, wytrącił mu broń z ręki. Zatoczywszy w powietrzu wielki łuk, miecz upadł na piasek w pobliżu łoża księcia.

Przeciwnik Cymmerianina z otwartymi ze zdumienia ustami spoglądał to na swą pustą rękawicę, to na Conana. Widzowie, którzy jeszcze przed chwilą zanosili się wściekłym krzykiem, teraz śmiali się i zachwyceni klaskali w dłonie.

Lawinia rozpromienionymi oczami spoglądała na Conana, który wreszcie, jakby czując na plecach żar jej wzroku, zwrócił konia w stronę łoża władcy Bergheimu. Tymczasem jego przeciwnik posłał giermka po miecz i opuścił plac, ciągle z niedowierzaniem spoglądając na swoją rękę.

– Popatrz tylko na tego wojownika, przecież to ozdoba turnieju! Mam wrażenie, że to właśnie Cymmerianin zmierzy się jutro z na-

szym dzielnym Ferndinem! Ależ to będzie walka! Sam już nie wiem, który z nich bardziej zasługuje na zwycięstwo... Jednak chyba Ferndin! To naprawdę mądry człowiek, gdy tymczasem ten barbarzyńca...

Książę Orgeld coś jeszcze mówił wzburzonym głosem, ściskając w rękę skórzaną piłkę, ale Lawinia nic już nie słyszała. Jej oczy toczyły niemy dialog z uśmiechającymi się oczyma Cymmerianina. I żadne słowa nie były tu potrzebne.

Lawinia nie zauważyła nawet, kiedy skończyły się dwa pozostałe pojedynki: widziała tylko jego, czarnowłosego olbrzyma z surową twarzą i łagodnymi, przyciągającymi oczami.

Grzmiały trąby, jakby konkurując z Gordionem, wyrzykującym imiona ostatnich par, hałasowali widzowie, a Lawinia ciągle jakby śniła na jawie. Ale oto trąby zabrzmiały jeszcze głośniej, oznajmiając rozpoczęcie pojedynku. Lawinia drgnęła i spojrzała na plac.

Na piasku zmagaly się ostatnie dwie pary i, chwala Mitrze, Conan nie walczył z Ferndinem. Nie chciała, żeby spotkali się dzisiaj, bała się tego, co wkrótce ją czeka. Jeszcze jeden dzień, niech wszystko zdecyduje się jutro, a teraz będzie patrzeć, patrzeć, patrzeć na tego Cymmerianina...

X

Ulicami Menory płynęły potoki ludzi wracających z turnieju. Na Świętym Placu pozostali tylko kapłani i słudzy książęcy, porządkujący teren. Tu i ówdzie trzeba było naprawić połamane bariery, które tłum i tak jutro zniszczy.

W ślad za widzami, którzy opuścili polanę, żeby jak należy poکرzepić się winem i podyskutować na temat pojedynków, do miasta wyruszyła grupa jeźdźców. Gdy na szerokiej drodze wyprzedzali ludzi, natychmiast rozpoznawano wśród nich tego, który zasłużył dziś na powszechną sympatię – cymmeriańskiego barbarzyńcę, błyskotliwego zwycięzcę w trzech pojedynkach. Jechał spokojnie na swym karym koniu pomiędzy rudym śpiewakim, którego w Menorze znał każdy pies, i mistrzem Klarsem, płatnerzem książęcym. Za nimi jechał młody giermek, spoglądający na boki tak dumnie, jakby to on sam pokonał trzech sławnych rycerzy.

Kopyta monotonnie postukiwały na jasnych kamieniach drogi, a jeźdźcy skracali czas rozmową.

– Mówiłem ci, Cymmerianinie, że ten Ferndin nie jest tym, za kogo się podaje! Słudzy, którzy widzieli, jak machał mieczem, ćwicząc z fechtmistrem księcia, mówili ze śmiechem, że nie łatwiejszego, jak zrzucić go z siodła, a i sam fechtmistrz wygadał się, że takiego niezguły nigdy jeszcze nie spotkał. Powiedział, że prędej kozła można nauczyć jeździć konno i posługiwać się bronią niż tego książęcego faworyta... A tymczasem oto co się wydarzyło... – mistrz Klars zamilkł i sopośniał.

– Nawet nie zdążyłem okiem mrugnąć, kiedy ten chłopak był już martwy! Klnę się na Mitrę, że nikt nie wie, jak to się stało. Rozjechali się, podjechali do siebie – i koniec! I mamy jeszcze jednego nieboszczyka! – Rudy Biorri, ciągle rozgorączkowany widokiem turnieju i zawartością bukłaka, który, pusty już, smętnie zwiślał u jego biodra, znów zaczął mówić, nie mogąc się powstrzymać: – A stary baron Rifsain? Chociaż był już siwy, nie brakło mu sił. Mógł się okazać najbardziej niebezpiecznym przeciwnikiem w tym turnieju! Oczywiście prócz ciebie, przyjacielu Conanie! Ale przecież o tobie nikt nic do dziś nie wiedział! Dlatego mówię...

– Odpocznij, przyjacielu, bo całkiem ci zaschnie w ustach! Jak przepłuczemy gardła, będziesz mówił dalej. A ty, Conanie, widziałeś, jak Ferndin pokonał tego młodzieńca? – Klars pytająco spojrział na Cymmerianina.

– Wiesz, mistrzu, że i ja tego nie pojmuję... Kiedy odezwały się trąby, śledziłem swego przeciwnika, ale widziałem też wszystkich innych... Omal nie krzyknąłem wtedy do tego chłopca: „Gdzie jedziesz?! Skręć w prawo!”. A on szarżował tak, jakby zamiast Ferndina widział przed sobą jakiegoś innego przeciwnika. Ferndin nawet nie zamachnął się mieczem, tylko pchnął go prosto w gardło. W tym momencie starliśmy się z moim przeciwnikiem, a gdy się rozjechalismy, obok wszystko było już skończone...

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, ale wkrótce Biorri nie wytrzymał:

– A ta ostatnia walka! Na Mitrę, nigdy nie widziałem czegoś podobnego! I gdyby nie Ferndin z jego podłymi zwycięstwami, noszono by cię teraz na rękach!

– Tak, ten przekłety Ferndin, niczym demon śmierci, pozbawił Bergheim trzech dzielnych rycerzy! I jedno jego zwycięstwo jest bardziej nikczemne od drugiego! Ile wysiłku kosztowało heroldów i strażników, żeby uspokoić tłum – myślałem, że rozerwą na strzępy samego Najwyższego Kapłana. Ale ostatecznie to właśnie jemu uda-

ło się zapanować nad ludźmi. Dziś wieczorem w Menorze będzie szumiało jak w ulu. Tak więc lepiej, Rudy, siedź u mnie i nie wychylaj nosa!

– Tak, przyjacielu, i ja chętnie posłucham twoich pieśni, no bo popatrz, jak to się dzieje: tyle czasu jesteśmy już razem, a nigdy jeszcze dla mnie nie śpiewałeś!

– No, wreszcie się doczekałem! Sam Conan Niezwyciężony prosi najmarniejszego spośród śpiewaków, żeby zagrał na ercie i pokazał, co umie! A ja już myślałem, że uszy zatykasz, kiedy udaję słowika! Ale oto jesteśmy na miejscu. Popatrzcie, temu spryciarzowi Rialtowi udało się nas wyprzedzić i otwiera teraz bramę, jakby to sam król przybył ze świtą! Zuch chłopak, będzie jeszcze z ciebie pożytek, wspomnisz słowa Rudego Biorriego!

Wjechali na podwórze, nie zauważywszy, że przemknął się za nimi jak cień niepozorny staruszek w starej, nasuniętej na oczy czapce. Ukradkiem podszedł do wiaty dla koni i zginał z oczu, zlewając się z ciemnym tłem stajni.

Tymczasem na podwórzu zebrali się wszyscy majstrowie i czeladnicy. Terminatorzy stali z boku, nie śmiąc zbliżyć się do groźnego gospodarza i jego potężnego gościa. Wszyscy byli na Świętym Placu i widzieli, jak zakończyły się pojedynki. A oto bohater dzisiejszego dnia, ten, który być może zostanie jutro wybrańcem Mitry, stoi obok i śmieje się z niewybrednych żartów Rudego Biorriego.

Mistrz Klars skinął ręką, przywołując chłopaków. Nie zdążył jeszcze polecić im, by rozsiadłali konie i zabrali je do stajni, kiedy nagle za plecami czeladników rozległ się schrypnięty śpiew. Rozstąpili się. Na środek wyszedł żebrak, ten sam, który rankiem kręcił się koło namiotów, prosząc o jałmużnę. W słabym świetle gasnącego dnia wydawał się jak cień: szare pomarszczone policzki, szara kapota z grubego sukna, brudna skórzana torba, zwisająca na pasie, i jasnoszare, wodniste oczy.

Twarz miał skrzywioną w żalonym uśmiechu. Przytupywał, nucąc pieśni Mitry, a z jego ust wydobywały się jakieś oddzielne, całkowicie niezrozumiałe słowa.

Jeden z czeladników na znak mistrza Klarsa poszedł do kuchni po jedzenie dla żebraka. Tutaj ubogich zawsze karmiono i zapewniano im nocleg – mistrz Klars wołał nie narażać się na gniew bogów.

Wkrótce żebrak w bezmyślnym tańcu krążył już koło nóg karego. Koń zerkał na niego ze złością, prychał i kładł po sobie uszy, ale

stał koło swego pana bez ruchu, jak wykuty z kamienia. A jednak kiedy żebrak potknął się i chwycił za derkę, żeby nie upaść, koń nie wytrzymał i stanął dęba. Conan złapał starego za kołnierz, potrząsnął nim i krzyknął:

– Czy ci życie niemiłe?! Patrz, gdzie idziesz! To bojowy koń, a nie jakaś chabeta! Czy słyszysz, co do ciebie mówię?

Żebrak, ciągle nucąc monotonicznie, chwycił za szeroki pas Cymmerianina, starając się utrzymać na nogach. Conan jeszcze raz niecierpliwie potrząsnął starym, aż spadła mu na ziemię podarta czapka. Starzec, z wianuszkami siwego puchu na odkrytej głowie, wydawał się całkowicie bezbronny w ogromnych rękach Cymmerianina.

– Hej, przyjacielu, uważaj, bo duszę z niego wytrzesiesz! Wtedy szczęście odwróci się od mistrza Klarsa. Jeśli temu żebrakowi jest to sądzone, niech lepiej umrze gdzieś w rynsztoku lub na drodze, ale nie w domu dobrych ludzi!

Stary, trzymając się jedną ręką miecza Conana, starał się znaleźć na ziemi swoją czapkę. Któryś z chłopców podniósł ją i z lekkim wsunął w trzęsącą się rękę. Twarz żebraka zajaśniała pełnym wdzięczności uśmiechem, puścił Conana i zaczął wolno nakładać czapkę.

W tym momencie wrócił czeladnik, posłany do kuchni przez Klarsa. Załadował jedzeniem całą torbę starego. Niczego nie pożalowano: był tam świeży chleb, wielki kawałek aromatycznego sera, gorące, tylko co zdjęte z rożna mięso i skórzany bukłak z winem.

Stary, w dalszym ciągu na nikogo nie patrząc, poklepał ręką po nabitej do granic możliwości torbie i coś mrużąc pokuśtykał w stronę stajni. Kiedy któryś z majstrów ostrożnie skierował go do bramy, pokiwał trzęsącą się głową i pokornie opuścił dziedziniec.

– Chwała Mitrze, wreszcie sobie poszedł! Bałem się, że przeklnie nas albo umrze tu na miejscu, kiedy go tak potrząsałeś! – Mistrz Klars, którego niełatwo było przestraszyć, odetchnął z wyraźną ulgą. – Powinieneś łagodniej obchodzić się z ubogimi! Czasami siedzą w nich takie demony, że lepiej oddać ostatni kawałek chleba, byle tylko sobie poszli!

– Tak, ten stary prawie narobił w spodnie, kiedy z lekka nim potrząsnąłem! Ale przecież bramę znalazł, choć konia nie zauważył! Powinieneś mnie nie przeklinać, lecz błogosławić! No, dobrze, brama już jest zamknięta i więcej tu nie wróci. Będzie teraz gdzieś pod krzakiem pił twoje wino. Zresztą i nam chyba by to nie zaszkodziło, jak sądzisz, Biorri?

– Już od dawna o niczym innym nie marzę... Klars, prowadź do stołu, należy się nam!

– Chodźmy, chodźmy, kobiety już dawno wszystko przygotowały. Conanie, oddaj miecz Rialtowi i zdejmij kolczugę – zanieś to do twojej komnaty.

Czekała na nich zaprawdę wspaniała uczta – ogromny stół ugiął się pod półmiskami z pieczonym mięsem i dziczyzną; wielkie talerze napełnione były potrawami, których aromat mógł doprowadzić do szału zgłodniałego człowieka. Nie ulegało jednak wątpliwości, że mężczyźni siedzący wokół stołu przede wszystkim sięgną po wysokie dzbany i srebrne kubki, że wino utworze drogę do głodnych żołądków, pobudzi krew i rozwiąże języki.

Biorri opróżnił niemal cały dzban wina i rozprawił się z półmiskiem pieczonej dziczyzny. Wycierając kawałkiem chleba tłusty sos z dna miski, nagle sobie przypomniał:

– Przecież obiecałem, że ci zaśpiewam, przyjacielu Conanie! Czy nie zmieniłeś zdania i rzeczywiście chcesz posłuchać takiego nędznego śpiewaka? No, to niech ktoś skocz po ertę, bo ja już nie mogę się ruszyć. Tym bardziej że powinienem jeszcze przepłukać gardło. – Zabrał dzban jednemu z majstrów, napełnił swój kubek i mrużąc z rozkoszy oczy, zaczął sączyć trunk.

Kiedy opróżnił kubek, erta leżała już u niego na kolanach, a wszyscy dokoła ucichli. Potrzaskiwały knoty w lampach, nocne śmy wpadały przez otwarte okna, a Biorri bez pośpiechu stroił swój instrument.

I oto jego palce zaczęły biegać po strunach, popłynęły słowa pieśni o mądrym i dzielnym królu Gregorze, o trzech jego synach, z których jednego zgubiła chciwość, drugiego – miłość, a trzeciego – głupota...

Potem, chwilę odpocząwszy, Biorri chytrze mrugnął do Cymmerianina. Jego palce wściekle zaczęły szarpać struny i zaśpiewał taką nieprzyzwoitą piosenkę o starym kawalerze, wybierającym sobie panny, że co chwila przerywał mu wybuch śmiechu słuchaczy.

Mistrz Klars położył ciężką rękę na ramieniu Conana:

– Chodźmy, synu, już czas! Oni będą tu śpiewali do rana, a ty musisz wypocząć!

Przepchnęli się do drzwi i wyszli do ogrodu. Świeży chłodny wiatr przyniósł zapach jabłek, gdzieś wysoko nad głową odezwał się senny ptak, a przez otwarte okno słychać było podzwanianie kubków i brzdąkanie erty.

Conan z rozkoszą leżał na szerokim łożu. Sądził, że natychmiast zaśnie, ale gdy tylko jego zmęczona głowa dotknęła poduszki, sen uleciał jak spłoszony ptak. I znów przed oczyma zabłyśły miecze, zagrzmiwały trąby, rozległ się głos Gordiona, ogłaszającego ostatni pojedynek... Conan uśmiechnął się, podłożył ręce pod głowę i zamknął oczy, wspominając tę walkę.

„Dziwne jest to losowanie!” – pomyślał, ciągle jeszcze uśmiechnięty. Dzisiaj los, z woli Mitry, zetknął go z tymi, których jako pierwszych ujrzał na podwórzu mistrza Klarsa. Najpierw młody Brain, potem ten z czerwoną gębą... Conan niespokojnie poruszył się, usiłując przypomnieć sobie imię tego tłuściocha, albo przynajmniej jego znak, ale machnął ręką i znów powrócił myślami na Święty Plac.

Jego przeciwnik, tęgi rycerz z wielkim brzuchem i nalany krwią oczami, wściekł się, gdy zobaczył, z kim ma walczyć. Conan, w takich chwilach wyczuwający nastrój i myśli przeciwnika, od razu zorientował się, jak sprawy stoją. Ten rycerz bez wątpienia był człowiekiem Ferndina i marzył o tym, by właśnie z nim się zmierzyć, dla porządku pomachać trochę mieczem i udać, że sromotnie przegrał. Oczywiście nie groziło mu to, że zostanie zabity czy choćby zraniony, przeciwnie – spodziewał się szczodrej nagrody za pomoc. A teraz, kiedy tak już był bliski pomyślny koniec, przyszło walczyć z tym dzikim Cymmerianinem, i nie wiadomo, co się jeszcze może stać...

Conan przez skórę wyczuwał te myśli, które kłębiły się w mózgu grubego rycerza, czuł jego wściekłość, która również jemu zaczęła się udzielać. A to mogło kosztować życie tego wieprza posiadającego konia. Co prawda, odniósł on dwa zwycięstwa, ale dla Conana niewiele to znaczyło.

Znacznie ważniejsze było co innego: jasne spojrzenie i ledwie dostrzegalnie poruszające się wargi, odpowiadające na jego wezwanie. Dlatego to zwycięstwo nie powinno zostać splamione krwią, choćby nawet tak śmierdzącą, jak tego... Tfu, w żaden sposób nie może sobie przypomnieć jego przeklętego imienia!

Nienawiść całkowicie zmaćła wzrok grubasowi. Walczył nieźle, ale każdemu zadanemu ciosowi towarzyszyły jego ordynarne przekleństwa. Conan, gdy już zapanował nad gniewem, uśmiechał się teraz zimno, spoglądając w wytrzeszczone z wściekłości oczy przeciwnika. Miecze dzwoniły, szukając słabych miejsc w obronie obu walczących, konie krążyły w miejscu, wzbijając kopytami biały kurz.

Wreszcie Conan, przeleciawszy obok swego przeciwnika, w pełnym galopie zawrócił karego i mocno uderzył buławą w okrągły hełm.

Miecz natychmiast wypadł z ręki tłuściocha, oczy całkiem wyszły mu z orbit, zakrzusił się ostatnim przekleństwem i jak worek runął na ziemię. Przestraszony koń odbiegł w drugi koniec pola i miotał się tam, szukając wyjścia.

Pokonany rycerz, gdy doszedł już trochę do siebie, zaczął się wolno podnosić. I wówczas Conan, zapominając, że obiecał sobie nie przelewać krwi na turnieju, uczynił to, co wprowadziło widzów, a w szczególności Rudego Biorriego, w euforię: raz i drugi opuścił najeżoną kolcami buławę na tusty zad pokonanego. To wystarczyło, by skórzane spodnie pękły z trzaskiem, zwisając w strzępach.

Biedak leżał na piasku i nawet nie próbując wstać wydzierał się głośno ku ucieście tłumu. Z pokierszowanego siedzenia chlustała krew i śludzy musieli dobrze się namęczyć, zanim zdołali zabrać go z placu.

Na sąsiednim polu toczył się jeszcze drugi pojedynek... Conan, kręcąc się wokół swego przeciwnika, zdążył wszystko w porę dostrzec: i wypady grubego rycerza, i to, co działo się obok, za niewysokim ogrodzeniem. Wydarzenia na sąsiednim polu rozwścieczyły go nie na żarty.

Ferndinowi, przekłętemu Ferndinowi, jak już nawet Conan nazywał tego człowieka z zimną twarzą i złowieszczym uśmiechem, trafił się przeciwnik niemłody i niezbyt zręczny. Musiał mieć wiele szczęścia, że doszedł tak wysoko w tym turnieju. Nie ulegało wątpliwości, że Ferndin zwycięży bez trudu, i wszyscy przyglądali się Conanowi, podziwiając zażartą walkę, której towarzyszyły gęste przekleństwa.

Kiedy jednak grubas runął na ziemię, Ferndin wpadł w furję. Widać było, jak zabłyśły mu oczy, jak na bladych wargach pojawił się zły uśmiech. Użył tej samej metody, za pomocą której Conan w poprzedniej walce wytrącił miecz swemu przeciwnikowi.

Niemłody rycerz, bardzo już zmęczony, bez szans na zwycięstwo, podniósł rękę na znak, że się poddaje, ale zanim zdążył powiedzieć choćby słowo, świsnął miecz Ferndina, rozcinając mu głowę od ucha do ucha. Hełm pod wpływem tego strasznego ciosu odleciał daleko na bok, a zabity zawisł na strzemionach, zbryzgując piasek szkarłatną krwią, dopóki strażnicy nie schwytali oszalałego konia.

Biorri miał rację, kiedy powiedział, że niewiele brakowało, by tłum zdemolował wszystko: ogrodzenie, drewnianą świątynię, ławki... Ale kiedy namiętności zostały opanowane, Najwyższy Kapłan polecił kontynuować rytuał. I wówczas oni, zwycięzcy dzisiejszego

dnia, dwóch przeciwników przed Oczyma Mitry, podjechali do podwyższenia, żeby przyjąć z rąk księcia czasze ze świętym winem.

Księżna sama nalewała je ze złotego dzbana, bogato zdobionego błyszczącymi kamieniami. Jednak jej oczy, zwrócone wyłącznie na Cymmerianina, świeciły jaśniej niż te kamienie, ponieważ żadne diamenty nie dadzą się porównać z blaskiem oczu zakochanej kobiety...

Weszli na trzy stopnie i znaleźli się na niewielkim, pokrytym dywanem pomoście, niemal tej wysokości, co podwyższenie dla księżęcy pary. Sam książę podsunął im złotą tacę z dwiema ciężkimi czaszami.

Tłum głucho szumiał za ich plecami, książę spoglądał na rycezy, mimo woli porównując ich ze sobą, a księżna nie odrywała wzroku od niebieskich oczu, uśmiechających się do niej ponad skrajem czaszy. Ferndin jak gdyby zauważył ten ich niemy dialog i zakrzuszył się nagle Winem Mitry. Czasza nieomal wypadła mu z rąk, ale wysiłkiem woli opanował się i wypił wszystko do dna.

Spojrzenie, jakie rzucił na Conana i księżnę, powiedziało Cymmerianinowi dostatecznie wiele... A więc prócz tytułu i władzy tego jeszcze pragnie ów łotr!

Conan zacisnął pięści, miał ochotę zerwać się z łoża i już teraz ruszyć do walki, ale nagle sen, okrywając ciemną oponczą wszystkie obrazy, zmiotł jak wiatr niespokojne myśli. Wkrótce w nocnej ciszy słychać było tylko równomierny oddech śpiącego Cymmerianina i chrobotanie myszy pod podłogą.

W książęcym pałacu, również stopniowo zapadała cisza. Gdy na dworze pojawił się Ferndin, nieraz po całych nocach stare mury ogromnej sali jadalnej drżały od pijackich okrzyków. Jednak w dni święta Mitry książę nie zaryzykował takiej biesiady, zwłaszcza że nie było obok człowieka, który zachęcał go do tego rodzaju rozrywki.

W sypialni Ferndina również było cicho. Palila się jedna lampa i na wzburzonym łożu, z wyrazem bezgranicznej udręki na twarzy, spała kamiennym snem młoda służąca księżnej. Kiedy tylko Ferndin powrócił do pałacu, schwytał ją w korytarzu, zaciągnął do swojej sypialni, zamknął drzwi i coś cicho powiedział, spoglądając w jej wielkie ze strachu oczy. Dziewczyna pokornie zdjęła z siebie suknię i drżąc podeszła do łoża. Czarownik dopadł ją z tyłu i rycząc jak głodny wilk brutalnie posiadł jej delikatne, dygocące ciało, wyładowując całą swą złość.

Wyobraził sobie, że to księżna szamocze się w jego rękach, nie mając siły sprzeciwić mu się, a łzy, ciekące strumieniem spod zaciśniętych powiek dziewczyny, tylko rozpałały zwierzęce żądze gwałciciela.

Kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, wstał, przesunął ręką nad twarzą swojej ofiary, doprowadził się nieco do porządku i przeszedł do małego, przylegającego do sypialni pokoiku. Tam, przy samych drzwiach, chciwie łowiąc każdy dźwięk, dolatujący z sypialni, czekał na niego ten sam stary żebrak w łachmanach, który zabawiał tłum na Świętym Placu, skacząc koło namiotów.

– No i co, Akrusie, udało ci się to zrobić? Mów szybko!

Stary spojrział na Ferndina zmrużonymi oczami i odpowiedział żalnym tonem:

– O, mój panie, najpierw pozwól mi zrzucić z siebie tę powłokę, a wtedy wszystko ci opowiem!

– Ależ z ciebie uparty drań! Już dawno powinienem był rzucić cię wężom na pożarcie, tylko że jesteś mi bardzo przydatny... Dobrze, zaraz pozbędziesz się tej maski.

Ze stojącej w rogu rzeźbionej szafki wyjął kawałek cieniutkiej srebrzystej tkaniny i rozłożył ją na podłodze.

– Stań tu! No, co się ociągasz, jakbyś pierwszy raz widział Chustę Seta? Pospiesz się!

Akrus z lękiem stanął pośrodku srebrzystego kwadratu, którego rogi natychmiast zaczęły wolno się podnosić, aż zawiązały się w węzeł nad jego głową. Ferndin stał z rękami założonymi za pas i z okrutnym uśmieszkiem spoglądał na srebrzysty tłumok podskakujący na podłodze. Ze środka dobiegały głuche jęki, Akrus machał rękami, jakby walcząc z niewidocznym wrogiem, aż wreszcie ucichł, zwinięty w kłębek. Wówczas mocny węzeł u góry rozwiązał się i tkanina z cichym szelestem opadła na podłogę. Żółtoskóry sługa, ciągle jeszcze pojękując, z trudem wstał z kolan i jak najszybciej przeszedł z czarodziejskiej tkaniny na dywan.

– No więc znowu jesteś w swojej skórze – powiedział Ferndin, chowając srebrzystą tkaninę do małej skrzynki. – Opowiadaj, co udało ci się uczynić.

– Dziękuję ci, mój panie! Jak dobrze znów znaleźć się w swoim cielem i mówić własnym głosem!

– Głupcze, przecież wiem o tym doskonale! Co to za gadatliwość cię ogarnia za każdym razem po takich przeistoczeniach! Opowiadaj, bo inaczej... – I wbił groźny wzrok w oczy sługi.

Akrus cofnął się, narzucił na obnażone ramiona krótką zieloną tunikę i zaczął mówić:

– Możesz być ze mnie zadowolony, panie! Ci prostacy nic nie podejrzewali i dali mi jeszcze całą torbę wszelakiego jada! – Zachłotał, wspominając szczodrość mistrza Klarsa.

– A jednak najwyraźniej zgłupiałeś w masce tego starego durnia! Czy posłałem cię po jedzenie? Nie denerwuj mnie, Akrusie, takie żarty drogo cię mogą kosztować! Przecież wiesz, że wszystko uzależniłem od losowania, a tu nagle pojawia się taki przeciwnik! O, na Seta, dlaczego ten barbarzyńca nie skrzył sobie karku gdzieś w górach swojej Cymmerii?

– Tylko dlatego, mój panie, że los przeznaczył mu inne miejsce do tego celu. Stanie się to jutro, z woli Czarnego Władcy!

– Jak ci się udało?! Mów! Przecież Cymmerianie są tacy nieufni, a i mistrz Klars też nie jest naiwny!

– Tutaj, jak wszędzie, ludzie boją się opętanych i usiłują ich sobie zjednywać. Mógłbym zająć na każde podwórze, dotknąć każdej rzeczy, a nawet wziąć sobie, co zechcę, a ci ludzie staraliby się mnie ugłaskać i delikatnie wyprowadzić za bramę. Mistrz Klars również jest taki!

– A barbarzyńca?

– Nie, mój panie, on jest inny... Swymi potężnymi łapskami omal nie wytrzymał ze mnie duszy, tak że biedny przestraszony starzec musiał uchwycić się mocno miecza, chluby mistrza Klarsa! A schwycił go u samej góry, koło rękocyści!

– Brawo, to jeszcze lepiej niż zamierzaliśmy! A co z koniem?

– Z koniem nie było żadnego kłopotu. Szedłem przez podwórze jak ślepiec i wpadłem prosto na rumaka Conana. Co prawda to bydle prawie mnie stratowało kopytami, tak iż można powiedzieć, że Cymmerianin uratował starego żebraka od śmierci. Ale za to zdążyłem niby przypadkiem dotknąć popręgu!

– No, barbarzyńco, śpij tę ostatnią noc, bo jutro już zaśniesz na zawsze! Och, Lawinio, nawet żał mi ciebie: spoglądałaś na niego tak gorącym wzrokiem, a teraz z twoich oczu popłyną potoki łez! Jednak kiedy kobieta płacze, jest jeszcze bardziej godna pożądania! A więc jak mam cię nagrodzić, Akrusie?

– O, mój panie, chciałbym... Tam w sypialni, na łożu... Ona tak jęczała! I ja chciałbym doprowadzić ją do tego, by jęczała i płakała!

– Widzę, że tutaj, za drzwiami, nie traciłeś czasu! Dobrze, bierz ją, a rano zostawię ci parę łyków mego wina z kujebą, wzmocnisz siły po wszystkich trudach... i po figlach z tą dziewczyną...

Sługa padł na kolana, całując bosa stopy swego pana. Niedbaly gestem odepchnąwszy go na bok, Ferndin otworzył drzwi i świszczącym szeptem powiedział:

– Wstań... Chodź tutaj... Nie otwieraj teraz oczu... Śpisz i wszystko to tylko ci się śni... Jutro zapomnisz... Idź i rób, co ci każe twój władca...

Zaszeleściły prześcieradła na łożu i do pokoiku z zamkniętymi oczyma weszła dziewczyna, drżąc na całym ciele. Nie mogąc już dłużej wytrzymać, Akrus schwycił ją za rękę i pociągnął do kąta, na niskie łoże, pokryte pstrą narzutą. Ferndin stał obok, z satysfakcją słuchając zdławionych krzyków służącej, wyobrażając sobie, że już wkrótce również księżna pójdzie jej śladem...

XI

O świcie silny, zachodni wiatr przygnał ławicę szarych, postrzępionych chmur. Ukradkiem zbliżały się do Menory, zaciągając niebo. Słońce nie zdążyło jeszcze wyrzeć zza horyzontu, kiedy wiatr zagnał już całe swoje stado w jedno miejsce. Niskie chmury pędziły jak spłoszone ptaki, nie mając sił skrócić z raz obranej drogi.

Zrobiło się zimno jak późną jesienią. Wiatr przenikał na wylot, ale mieszkańców Nemedii trudno zadziwić zmianami pogody. Znacznie gorsze było co innego: w dniu decydującego pojedynku mogło to oznaczać gniew Mitry, a mieszkańcy miasta doskonale wiedzieli, co z tego wynikało. Ubrani ciepło, od samego rana ciągnęli na Święty Plac. Koło południa ruchliwe zwykle miasto całkiem wymarło, za to na szerokiej polanie nie można już było szpilki wetknąć.

Niezwykły był to widok: ogromne pole, wypełnione falującym tłumem odświętnie ubranych ludzi, powiewające na żerdziach wstęgi i chorągiewki, heroldowie, harcujący na spienionych koniach – i ledwie słyszalne głosy przycichłych ludzi, niemal całkowicie zagłuszanych szumem liści.

Tłum, powitawszy księcia i księżną entuzjastycznymi okrzykami, znów ucichł, oczekując w napięciu na mające wkrótce nastąpić wydarzenia.

Zziębnięty książę, otulając się płaszczem na rysim futrze, też z niepokojem czekał na pojedynek, mając wrażenie, że zależy od niego los Bergheimu. Zwycięstwo tego nie wiadomo skąd przybyłe-

go barbarzyńcy może zburzyć bardzo ważne plany państwowe. Nie mógł sobie przypomnieć, co to za plany, ale był pewien, że bez Ferdina państwo zginie, a i dla niego samego nastaną ciężkie czasy.

Księżna była blada i zmęczona po bezsennej nocy, długiej jak całe życie. Wpatrywała się wielkimi oczyma w piasek, jak gdyby szukając tam znaków czegoś, co wkrótce miało się wydarzyć. Zajęta swymi myślami nie od razu spostrzegła, że coś jest nie w porządku.

– Jak tu cicho... Żadnych śmiechów ani nawoływań... Mój książe, czy nie wydaje ci się to dziwne?

– Na Świątłość Mitry, bardzo mi się to nie podoba! Nigdy jeszcze moi poddani nie byli tacy posepni. Można by pomyśleć, że to nie święto, lecz pogrzeb... Mój pogrzeb... – zażartował niewesoło, ale żart ten zabrzmiał tak złowieszczo, że książe umilkł i odwrócił głowę.

Tymczasem heroldowie ustawili się przed świątynią i zatrąbili, dając sygnał, który zwykle gromkim echem odbijał się od lasu. Jednak teraz dźwięk trąb grzął w nisko wiszących chmurach i nie powracał.

W całkowitej ciszy wyszli ze świątyni kapłani Mitry i sam Najwyższy Kapłan. Równocześnie do Bramy Zwycięzców wolno podjechali dwaj rycerze, z których jednemu przypadnie dziś upragnione zwycięstwo, a drugi... drugi być może pożegna się z życiem.

Czarnowłosy rycerz w czarnej zbroi na potężnym karym koniu zamarł nieruchomo po prawej stronie bramy. Jego przenikliwe niebieskie oczy chłodno prześliznęły się po stojącym obok przeciwniku i spojrzały tam, gdzie na podwyższeniu wśród wystrojonych dworzaków siedział książe, co chwila podnosząc do ust kubek z podgrzanym winem, i zastygła w bezruchu księżna.

Wyglądało na to, że tylko Ferdin, celowo zagrzewający konia, by ani chwili nie stał spokojnie, nie odczuwał tej pełnej napięcia ciszy wiszącej nad Świętym Placem. Jego żółte oczy zmrużone były w zadowolonym z siebie uśmieszku, jak u sytego kota. Co chwila podkręcał wąsa, spoglądając w tę samą stronę co Cymmerianin. Dziś promienie słońca nie odbijały się figlarnie od jego złoczonej zbroi, rzucając żółte refleksy, ale i tak kręcił się przed zamkniętą bramą jak młody chłopak, który po raz pierwszy zaszczycony został wzglądami wielkiej damy.

Conan kątem oka widział zwycięski blask w żółtych oczach Ferdina i jego celowo błazeńskie pozy. Trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który jeszcze wczoraj bez wahania wyprawił na Szare

Równiny trzech wiernych wasali księcia. Tak, nie jest to łatwy przeciwnik! Taki może udawać spokojnego i prostodusznego, żeby łatwiej zadać podstępny cios.

Znów zagrały trąby i serce Conana zabiło mocniej, jak zawsze przed walką. Każdy mięsień, każdy nerw odezwał się na to dźwięczne nawoływanie. Nawet koń, wyczuwając nastrój swego pana, cicho zarżał i niecierpliwie zaczął grzebać kopytem. Słudzy przynieśli pochodnie i zapalili Święty Ogień w dwóch czaszach u stóp świątyni.

Tak jak wczoraj wystąpił naprzód niezmiernie dumny z siebie Gordion z niewielkim zwojem w ręku, posłuchał, jak hałasują wrony w zagajniku, spojrzął na tłum wyłupiastymi oczami i na znak Najwyższego Kapłana zaczął:

– Dziś, w dniu decydującego pojedynku między dwoma znakomitymi rycerzami, którzy zwyciężyli wszystkich swoich przeciwników w uczciwej walce, przywołujemy na sędziego samego Najjaśniejszego Mitrę!

– Niech Bóg o Ognistym Obliczu wybierze najbardziej godnego i pomoże mu uzyskać chwalebne zwycięstwo!

– Do walki należy używać bojowego oręża – mieczy, buław i sztyletów!

– Pojedynek ma trwać do ostatecznego zwycięstwa!

– Rycerz ma prawo przerwać pojedynek, uznając się za pokonanego!

– Ten, kto zwycięży w sposób nieuczciwy, ściągnie na siebie przekleństwo Mitry!

– Nikt nie może powiedzieć, że nie znał zasad turnieju!

– Niech dzieje się wola Najjaśniejszego!

Kapłani wystąpili do przodu i zaczęli śpiewać. Był to pradawny hymn do Boga o Ognistym Obliczu, modlitwa, której zawsze towarzyszyła jego niewidzialna obecność. Również teraz wiatr na chwilę ucichł i wśród gęstych szarych chmur pojawiły się dwa jasne prześwity – jakby dwoje niebieskich oczu spojrzało z nieba na ludzi. A potem chmury znów pomknęły naprzód, zaciągając całe niebo.

Najwyższy Kapłan podniósł i opuścił laskę. Na ten znak dwóch młodzieńców wprowadziło na plac młodego gorącego ogiera jasnóczolistej maści. Nawet w słabym świetle pochmurnego dnia jego lśniąca boki wyglądały jak odlane z metalu. Szedł na mocnych zgrabnych nogach, wysoko trzymając głowę na dumnie zgiętej szyi. Widać było, że taki koń z łatwością uniesie każdego rycerza w pełnym bojowym rynsztunku.

Po raz pierwszy tego dnia tłum widzów ożywił się, dał się słyszeć pełen aprobaty szmer głosów i dźwięczne okrzyki małych chłopców, którzy nie dopuszczali jeszcze do siebie ponurych myśli.

Do siodła szlachetnego zwierzęcia przytroczona była piękna bojowa zbroja. Coś takiego miał prawo nosić jedynie zwycięzca Świętego Turnieju.

Każdy przedmiot zdobyły słoneczne dyski, co oznaczało błogosławieństwo Mitry. W tej zbroi rycerz mógł walczyć wszędzie prócz Świętego Placu. Młodzieńcy trzymający konia zamarli w miejscu. Przy dźwiękach trąb giermek przyniósł bezcenny miecz z wytłoczonym u samej rękojeści znakiem Mitry, herbem księżęcym i – po drugiej stronie – znakiem obecnego roku. Właśnie ten miecz uchodził za główny symbol zwycięstwa w turnieju i dawał zdobywcy godne zazdrości przywileje.

Młodzieniec, trzymając miecz w wyciągniętych rękach, przykleknął na jedno kolano przed Najwyższym Kapłanem i z pochyloną głową czekał na błogosławieństwo. Za jego plecami dwóch innych trzymało za uzdę złościstego konia.

Przy monotonych dźwiękach hymnu Mitry Najwyższy Kapłan pokroził wodą miecz, konia i zbroję. Młodzieńcy wolnym krokiem zaczęli obchodzić plac, żeby wszyscy mogli podziwiać drogie trofea.

Kiedy ta procesja przechodziła koło Bramy Zwycięzców, Conan usłyszał cichy śmiech Ferndina. Spojrzał zdziwiony w tamtą stronę. Żółte drapieżne oczy nie mrużyły się już w zadowolonym uśmiechu, lecz patrzyły prosto na niego z wyraźną kpiną.

– No co, Cymmerianinie, dobry ten książećy koń, prawda? A miecz jeszcze lepszy. Ale wiesz, co jest najcenniejsze? Czułe spojrzenie pięknej damy! – Jego kpiący śmiech zlał się z dźwiękiem trąb i brama otworzyła się, wpuszczając przeciwników na plac.

Krew uderzyła Conanowi do głowy, zaswędziało go dłoń, gotowa schwycić za miecz, ale koło bramy harcowali na koniach heroldowie, towarzysząc przeciwnikom w drodze na środek pola, gdzie czekał na nich Najwyższy Kapłan.

Zsiedli z koni, podeszli bliżej i, rzucając na siebie wrogie spojrzenia, przyklekli, opuszczając miecze na piasek. Kapłan stał z odchylną do tyłu głową i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w pochmurne niebo. Wiatr rozwiewał mu włosy i luźną szatę, a on stał ciągle w milczeniu, jakby na coś czekając.

Na miejsce szarych porannych obłoków przypelzły teraz z daleka ponure ciemne chmury, sięgające aż po horyzont. Tu i ówdzie

rozświetlały je błyskawice, zapowiadające burzę. Jednak Najwyższy Kapłan nie spieszył się. Wreszcie westchnął i przeniósł wzrok na rycerzy, klęczących przed nim bez ruchu. Uniósł laskę i skierował ją w stronę Cymmerianina.

– Conanie, wojowniku z Cymmerii, przysięgnij Najjaśniejszemu Mitrze, że będziesz walczył uczciwie!

– Przysięgam!

– Ferndinie, wojowniku z Zamory, przysięgnij Najjaśniejszemu Mitrze, że będziesz walczył uczciwie!

– Przysięgam!

Głowy wojowników znów pokropiono pachnącą wodą i Najwyższy Kapłan, po raz ostatni machnąwszy mokrą ręką, majestatycznie oddalił się w kierunku drewnianej świątyni. Tam, podobnie jak dla księcia, przygotowano wysoki fotel, z którego mógł oglądać pojedyńki.

– Znak Ptaka, Conan z Cymmerii, i Znak Węża, Ferndin z Zamory, z woli Mitry mają się zmierzyć w tym pojedyńku! – ogłaszając zapowiedział Gordion.

Pozostanie mu dziś ogłosić już tylko imię zwycięzcy – i jego władza nad tłumem zakończy się do następnego roku.

Przy dźwiękach trąb rywale rozjechali się w przeciwne strony i zamarli bez ruchu, czekając, kiedy książę rzuci piłkę. Jednak on zwlekał, zachowując się podobnie, jak przed chwilą Najwyższy Kapłan.

Chmury, coraz bardziej zbliżające się do Świętego Placu, niepokoiły go nie mniej niż kapłana Mitry.

– Jak tylko sięgam pamięcią, podczas turniejów nigdy nie było burz! Trzeba jednak zacząć, bo zaraz lunie deszcz i trudno im będzie walczyć!

Piłka upadła na piasek, zagrzmiały trąby i jeźdźcy wściekle rzucili się na siebie.

Wczoraj Conan walczył tak, jakby się bawił, ponieważ jego przeciwnicy nie dorównywali mu ani siłą, ani umiejętnościami. Teraz jednak od pierwszej chwili wyczuł, że Ferndin jest równie silny, jak on sam. Choć nie był tak potężnie zbudowany jak Cymmerianin, jego ciosy miały siłę górskiej lawiny. Spod połączonego helmu błyszczały nienawiścią żółte oczy i ani cienia uśmiechu nie było na zajadle zaciśniętych wargach.

Conan zręcznie odparowywał podstępne ciosy przeciwnika, ale i ten nie dał się zaskoczyć żadnym manewrem Cymmerianina.

Jakby wiatr zdmuchnął poranne otępienie z tłumu widzów. Teraz wszyscy mieszkańcy Menory, zgromadzeni wokół Świętego Placu, wołali jednym głosem:

– Co-o-nan! Tnij! Co-o-nan!

Wojownicy krążyli ze skrzyżowanymi mieczami, starając się ciężarem swego ciała zepchnąć przeciwnika z konia. Jednak okazało się, że mają tyle samo siły i nie mogą pokonać jeden drugiego. Rozjechali się więc, żeby zetrzeć się w pełnym pędzie.

Konie, chrapiąc i tocząc pianę z pysków, runęły na siebie. Wydawać by się mogło, że to dwie trąby powietrzne pędzą przez pole, żeby zderzywszy się zawirować w śmiertelnym tańcu. Zadzwończyły miecze, rycerze cięli nimi, usiłując znaleźć jakieś słabe miejsce w obronie przeciwnika. Nagle kary koń stanął dęba i rycerz w czarnej zbroi, ledwie zdążywszy wyswobodzić się ze strzemion, zręcznie zeskokczył na ziemię. Ogier, miotając głową, odbiegł przestraszony, wlokąc za sobą siodło i derkę, a pęknięty popręg jak wąż wił się za nim po piasku.

Widzowie jęknęli i zrobiło się tak cicho, że słychać było głośny oddech walczących i żłosne rżenie czarnego konia.

Conan stał nieruchomo, szykując się do obrony przed atakiem triumfującego przeciwnika, który z gardłowym okrzykiem zawrócił konia i pomknął, unosząc miecz do ciosu.

Conan bywał nie w takich opałach, i to, że miał teraz walczyć pieszo z dosiadającym konia przeciwnikiem, nie przesądzało jeszcze o jego klęsce. Ostatecznie zawsze zwycięża ten, kto ma silniejsze nerwy i lepszą broń. A jeśli chodzi o miecz mistrza Klarsa, Conan tak był go pewien, jak siebie samego. Wczorajszy dzień aż nadto wyraźnie wykazał, jaki skarb dostał w swoje ręce – trzy walki, tyle mocnych uderzeń i klinga błyszczy jak nowa, żadnej szczyrby nie można się na niej dopatrzeć.

I teraz Conan był gotów przyjąć każdy cios przeciwnika. Ferdin mknął z krzykiem, stojąc w strzemionach, pragnąc wyładować na barbarzyńcy całą swą złość. Miecze uderzyły o siebie, ale zamiast ostrego szczyku krzyżujących się kling, w ciszy rozległ się złowieszczy zgrzyt i trzask, a Cymmerianin ze zdumieniem stwierdził, że pozostała mu w dłoni sama rękojeść z ułamkiem klingi. Ryknął wściekle jak ranny zwierzę:

– Przekleństwo! – I oceniwszy wzrokiem odległość od wroga, uczynił krok w stronę konia. Nic z tego! Ferdin, w uśmiechu szczerząc ostre zęby, znów zawrócił konia, by ostatnim ciosem rozprawić

się z przeciwnikiem, a kary, wlokąc po ziemi siodło z przytroczoną do niego buławą, odbiegł daleko w stronę ogrodzenia. Wszystko na nic! U pasa pozostał mu tylko sztylet. Conan wyrwał go z pochwy, wierząc w swoje umiejętności. Jeden rzut i maleńka ostra klinga wbije się w szyję przeciwnika, czyniąc to, czego nie zdołał zdziałać miecz. Jak srebrna osa poleciał sztylet naprzeciw wrogowi, ale odbił się od tarczy, którą Ferndin zasłonił się błyskawicznie, i bezsilnie upadł na piasek. Cymmerianin, pieszy i bezbronny, zaciskając potężne pięści, z błyskiem nienawiści w oczach, był straszny jak zaszczone zwierzę. Zamierzał zanurkować pod głowę konia, chwycić za uzdę i powalić jeźdźca na piasek, tak jak nieraz czynił w nierównych bojach, ale uprzedziło go uderzenie miecza przeciwnika. Ostra stal z rozmachem wpiła się w jego nie chronione zbroją gardło – był to ulubiony cios Ferndina, sprawiający mu szczególną satysfakcję. Charkot zmieszany z ostatnim przekleństwem wyrwał się z rozciętego gardła i Cymmerianin, zalany gorącą krwią, wolno osunął się na ziemię.

W trakcie pojedynku nadeszła burza. Nikt nie zwracał dotąd uwagi na błyskawice i dalekie grzmoty. Jednak teraz, kiedy oczy wszystkich zebranych na Świętym Placu przykute były do leżącego nieruchomo na piasku ciała, nagle usłyszano świst wiatru zrywającego liście z drzew i łomot pierwszych ciężkich kropli deszczu.

Nad Świętym Placem z trzaskiem i hukiem zamigotała zygzakowata, oślepiająca błyskawica, zajmująca prawie całe niebo. W tłumie zapiszczały przelężnione kobiety, zaczęły płakać dzieci. Heroldowie pędzili po polu, starając się pojmać karego konia, który w żaden sposób nie dawał się podejść obcym ludziom.

Księżna, cały czas siedząca bez ruchu, jak kamienny posąg, nie drgnęła również wtedy, gdy potężny wojownik o niebieskich oczach runął, przebity mieczem wroga. Uniosła tylko rękę, wzywając stojącego obok pazia, i, niemal nie otwierając ust, szepnęła mu kilka słów. Chłopiec, który najwyraźniej tylko na to czekał, natychmiast pobiegł spełnić polecenie. Lawinia, opuściwszy rękę na poręcz fotela, znów zamarła, suchymi, pałającymi oczyma wpatrując się w nieruchome ciało na środku pola.

Najwyższy Kapłan, z niepokojem spoglądając na niebiosa, jakby w obawie, że następna błyskawica spopielą zarówno świątynię, jak i zwycięzcę, stał na schodach, nie spiesząc się z kontynuowaniem rytuału. Jednak ognisty zygzak rozbłysnął daleko stąd i dopiero po dłuższej chwili grom przetoczył się nad ucichłym tłumem. Wtedy kapłan wyszedł na środek i nie patrząc na pokonanego ryce-

rza skierował łaskę w stronę Ferndina. Zsiadł on z konia i z satysfakcją słuchając, jak Gordion gromko wykrzykuje jego imię, podszedł bliżej. Słudzy szybko odprowadzili na bok jego konia, a jednemu z nich Ferndin dał również swój miecz, pozostając jedynie ze sztylblem wiszącym u pasa.

Wtedy młody giermek przyklęknął na jedno kolano i podał zwycięzcy najwyższą nagrodę – wspaniały miecz. Ferndin wziął go i umocował do pasa. Za plecami słyszał już niecierpliwy tupot kopyt – to wspaniały złocisty koń czekał na nowego pana.

Jeden z kapłanów Mitry osiodłał szarego konia i wziął wspaniałą zbroję – miał dziś pełnić rolę giermka Wybrańca Mitry i towarzyszyć mu w drodze do pałacu księcia, gdzie wieczorem na cześć zwycięzcy wydana zostanie wielka uczta.

Według starego obyczaju zwycięzca turnieju musiał teraz podjechać do łoża księcia, by tak jak wczoraj przyjąć z jego rąk kubek wina. Ferndin szarpnął wodze, kierując konia tak, by przebiegł truchtem wokół pola. Celowo obrał tę drogę, by jeszcze raz nacieszyć oczy widokiem przeciwnika leżącego w kałuży krwi – ale ciało Cymmerianina zniknęło przez ten krótki czas, kiedy stał zwrócony twarzą do świątyni. Zniknął też kary koń i tylko ciemna plama na piasku przypominała o pokonanym barbarzyńcy.

Nikt nie zauważył grymasu złości na jego twarzy i wściekłości wyzierającej z oczu: chociaż Ferndin był pewien, że jego przeciwnik jest martwy, chciał jeszcze raz się o tym przekonać. I któż to mógł tak szybko zabrać zwłoki tego barbarzyńcy? Wątpliwe, żeby giermek zdążył przepchać się przez tłum, by zabrać swego pana. A i komu potrzebny jest nieboszczyk? Trzeba jednak kazać Akrusowi, żeby dowiedział się, co się stało z tym przeklętym Cymmerianinem... I Ferndin z radosnym uśmiechem, na tańczącym koniu, podjechał do łoża.

Uśmiech zamarł mu na twarzy, gdy natknął się na chmurny wzrok księcia i ujrzał kamienną twarz księżnej. Książę Orgeld, posłuszny tradycji, nalał do złotego kubka skrzącego się wina Mitry i podał go Ferndinowi, głucho wymawiając uroczyste słowa:

– Niech to święte wino pobudzi szlachetną krew Wybrańca Mitry!

Ferndin, ani trochę nie zbity z tropu takim niechętnym tonem, z ukłonem przyjął kubek i zaczął wolno pić wino, starając się uchwycić spojrzenie księżnej. Jednak Lawinia patrzyła nieruchomym wzrokiem gdzieś w bok, jakby widząc coś daleko za jego plecami. Fern-

din aż się wzdrygnął. Wino, wcale nie rozgrzewając, wlewało się lodowatym strumykiem w jego gardło, a ręka trzymająca kubek mimo woli zadrżała. Z wysiłkiem wypiłszy wszystko do dna, z szacunkiem skłonił głowę, postawił kubek i chwycił wodze.

W tym momencie lunął deszcz, który zbierał siły od samego rana. Potoki wody zasłoniły zwycięzcę, widzów, świątynię, zgasiły Święty Ogień w srebrnych czaszach. Książę i księżna pospiesznie zeszli z podwyższenia, chcąc opuścić Święty Plac, zanim tłum zagrozi drogę.

Deszcz chwilami przestawał padać, a potem znów chlustały na ziemię strumienie lodowatej wody, i trwało tak do samej nocy. Ludzie marzli i ogarniał ich coraz większy smutek.

Również uczta wydana przez księcia na cześć Wybrańca Mitry była ponura. Chociaż goście opróżnili niemało kubków na cześć nowo upieczonego barona Redbornu – książę podarował jednak temu przybłądzie piękny majątek starego Dissa – choć pili za wierność, z jaką nowy wasal powinien służyć swemu panu, nikt z siedzących przy stołach nie wierzył temu przekłętemu Ferndinowi. Tylko książę Orgeld, który znów poweselał, jakby zapominając, że utracił trzech sprawdzonych wasali, otrzymując w zamian jednego, wychwalał bojowe talenty zwycięzcy.

Podczaszowie nalewali wino, słudzy wnosili kolejne dania, muzykanci śpiewem fletów i dźwiękami złożonych harf zagłuszali ciche rozmowy gości.

Książę, ciągle wyczuwając napiętą atmosferę i nie widząc zwykłej wesołości towarzyszącej picciu wina, wcześniej opuścił salę biesiadną i zabrał ze sobą Ferndina. Księżna wyszła już na samym początku uczty, tłumacząc się złym samopoczuciem. Szara twarz, gorączkowo świecące oczy i bezkrwiste wargi nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do stanu jej zdrowia.

Goście, czując się teraz nieco swobodniej, trochę jeszcze pogadali i też zaczęli się rozchodzić. Zbyt wcześnie zakończyła się książęca uczta, jak nigdy dotąd. Mnóstwo jedzenia zostało w kuchni, a muzykanci nie padali jak zwykle ze zmęczenia.

Książę zaprowadził Ferndina – teraz już barona Ferndina – do komnaty ozdobionej ogromnymi, od podłogi do sufitu, gobelinami, przedstawiającymi wielkie czyny książęcych przodków, a także cuda czynione przez Mitrę. Dawniej, jako człowiek z gminu, bez tytułu, nie miał prawa wstępu do tego niewielkiego pomieszczenia, gdzie decydowano o losach Bergheimu. Mógł dawać rady księciu gdzie-

kolwiek – przy kubku wina, w sypialni, dokąd pozwalano mu wchodzić bez zapowiedzi, na polowaniu, na spacerze po pięknym ogrodzie – byle tylko nie tu.

I oto co w pierwszym rządzie uczynił książę Orgeld po mianowaniu go baronem Redbornu – przyprowadził do Sali Obrad. Ośliźla węzowa córka Czarnego Seta przez długie noce podsuwała słuszne myśli prostodusznemu księciu. Jeszcze trochę i on, Ferndin, zostanie tym, kim w owej sali był niegdyś stary Diss – Głównym Doradcą w sprawach państwowych! Cel został już prawie osiągnięty!

Jednak książę nie spieszył się z wypowiedzeniem tych długo oczekiwanych słów; stał przy oknie, wsłuchując się w niespokojny szum deszczu, i milczał.

Ferndin, nie chcąc zaczynać rozmowy, chodził od jednego gobelinu do drugiego, z uśmiechem przyglądając się odważnym jeźdźcom, walczącym ze smokami i podstępными wrogami. Jeśli nawet przodkowie władcy nie dokonali wielkich czynów, należało je po prostu wymyślić, żeby tak stworzone legendy uwiecznić na pięknych tkaninach.

Książę, ciągle wpatrzony w czarne okno, odezwał się wreszcie, ale nie powiedział tego, czego oczekiwał Ferndin:

– Twoje zwycięstwo w Świętym Turnieju, baronie, wzburzyło Menorę, a za kilka dni zahuczy od tego w całym Bergheimie. Przecież cię uprzedzałem... W ubiegłych latach rycerze starali się nie przelewać zbyt wiele krwi przed Okiem Mitry...

– Nie, mój panie, to właśnie tak powinna wyglądać prawdziwa walka! Tańczyć można na uczcie lub na weselu, ale wojownik z mieczem w ręku zawsze powinien pozostać wojownikiem! I jeśli nawet mnie samego przebiłby na turnieju miecz przeciwnika, umarłbym szczęśliwy, wiedząc, że oddałem życie w imię Najjaśniejszego!

– Chyba masz rację... Gdy słucham twych gorących słów, całkowicie się z tobą zgadzam. Jednakże miasto jest zaniepokojone, a na dworze zapanowała atmosfera jak we wrogim obozie. Już podczas uczty chciałem objawić swą wolę, ale nie odważyłem się, ponieważ mogło to wywołać bunt...

– Swoją wolę? – powtórzył Ferndin, udając zdziwienie.

– Wiesz, jak cenię twój rozum... Chyba tylko ty jeden widzisz dalej swego nosa. Jesteś inny niż stary Diss, który stale miał jakieś wątpliwości. Twoje rady przypominają ciosy tego miecza – zamach i najtrudniejszy problem zostaje rozwiązany. Właśnie na takim doradcy chciałbym polegać w trudnych chwilach – śmiałym, nie tracą-

cym otuchy. Jednak twoja wczorajsza zapalczliwość źle ci się przyśłużyła...

– A więc mój książę widzi mnie w roli doradcy do spraw państwowych?! Czy dobrze zrozumiałem?

– Dobrze zrozumiałeś, ale trzeba będzie z tym poczekać – powiedział książę twardo, bez cienia wahania. – Jutro opuścisz Menorę i pojedziesz do swego nowego majątku Redborn. Zdaje się, że już kiedyś tam byłeś?

– Tak, baron Diss niemal siłą mnie tam zaciągnął i ledwie wyrwałem się z jego objęć. Co za wspaniały był z niego człowiek! Nieco zbyt gadatliwy, ale jakże gościnnie! Wszyscy nazywali go Szczęśliwym Dissem!

– Tak, pamiętam... Bo też faktycznie szczęśliwy jest ojciec, mający siedmiu synów... A przecież nikt do tej pory nie wie, w jaki sposób umarł i gdzie zniknęła jego rodzina... Tak, i o tym majątku gadają teraz różne rzeczy. Ale ty przecież chciałeś tej właśnie nagrody, mój wierny Ferdinie, prawda?

– Tak, mój książę, i to właśnie dlatego, że tak mi się podobał stary Diss i jego wspaniali synowie. Kiedy będę mógł wrócić na dwór?

– Sądzę, że do końca jesieni wszystko tu ucichnie, opadną namiętności. Ludzie mają krótką pamięć, znajdzie się jakiś inny temat do plotek. Wtedy uczynię cię Głównym Doradcą!

– Dziękuję za ten wielki zaszczyt. Nie śmiem odmówić. Od tej pory, z woli Mitry, jestem wiernym wasalem księcia Bergheimu, zobowiązanym służyć mu zarówno mieczem, jak i radą!

– Zegnaj! Pusto będzie tutaj bez ciebie, ale kiedy wrócisz, znajdziemy okazje, żeby to uczcić!

– Opuszczam Menorę, myśląc tylko o dobru Bergheimu! – Ferdin skłonił się i ukradkiem zerknął zmrużonymi żółtymi oczami na okutanego w płaszcz zmarzniętego księcia.

Wycofał się z Sali Obrad i szybkim krokiem ruszył do swojej kwatery, nie zwracając uwagi na służbę, która gasiła zbędne lampy, ani na porbrzękujących orężem gwardzistów, idących korytarzem na zmianę warty.

Gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi, rozejrzał się i, nie widząc sługi przed wejściem do sypialni, niecierpliwie zawołał:

– Akrusie, próżniaku, czy jesteś tam? O, na Seta, chyba jeszcze nie zdążył wrócić!

– Jestem tutaj, mój panie! – Ciemna sylwetka oderwała się od niedźwiedziej skóry, leżącej z rozłożonymi szeroko łapami przed wygasłym paleniskiem.

– No, masz szczęście! Inaczej nie wyszłoby ci to na zdrowie! Rozpal ogień, przecież wiesz, że nie cierpię wilgoci!

Akrus pospiesznie wyciągnął pochodnię z brązowej łapy lwa, sterczącej nad paleniskiem, i już wkrótce odblaski ognia zatańczyły na pozłacanych ścianach.

– Czy udało ci się dowiedzieć, gdzie się podział Cymmerianin? Sługa skulił się, przyciskając ręce do piersi.

– Nie, mój panie! Można by pomyśleć, że duchy uniosły go ze Świętego Placu! Nikt niczego nie widział, nikt nic nie pamięta, i nawet ten bałwan Gordion, który stał z twarzą zwróconą na pole, przysięga, że ciało Cymmerianina zniknęło samo przez się! Widział tylko jakieś niewyraźne cienie, snujące się wzdłuż ogrodzenia, ale sądząc, że po prostu zamknął oczy, obawiając się kolejnego grzmotu...

– A ty, hultaju, gdzie wtedy byłeś? Pewnie też siedziałeś pod krzakiem i trząśłeś się jak bezdomny pies?

– O nie! Jeśli nawet czymś zawiniłem, to w tym wypadku nie można mi niczego zarzucić! Wręcz przeciwnie, burza jest dla mnie najlepszym pomocnikiem! Tylko że tym razem, chociaż zaczęła się całkiem w porę, przeszkodziła mi zaobserwować, gdzie podziały się zwłoki tego przeklętego barbarzyńcy i kto zabrał jego konia...

– No to gdzie się schowałeś, że niczego nie zauważyłeś?

– Stałem w tłumie za plecami mistrza Klarsa, tak jak mi polecono... Przez cały czas pojedynku nie wymówił on jednak ani jednego słowa – zaciskał tylko usta i zgrzytał zębami. A potem, kiedy na niebie pojawiły się błyskawice, przestraszeni ludzie zaczęli napierać od tyłu i przycisnęli mnie do jego spoconych pleców. Gdy wreszcie udało mi się stamtąd wydostać, na polu nikogo już nie było...

– Mówisz więc, że i Gordion niczego nie zauważył? Dziwne... Ani strażnicy stojący przy bramie? A pytałeś tych, którzy ochraniaли drogę do miasta?

– Najpierw się śmiali, a potem omal nie nadziali mnie na piki... Dopiero złoto ich uspokoiło. Również Nieprzekupny Gordion otrzymał nagrodę – piękny, ciężki trzos. Przysięgał, że odtąd każdy kubek wina będzie pił za zdrowie barona Ferndina!

– Niech wypije choć jeden, jeśli zdąży... Dobrze... Nie wszystko idzie tak gładko, jak planowałem, ale najważniejsze zostało osiągnięte. A Cymmerianin i tak jest martwy, choćby nie wiadomo jakie duchy śpiewały nad nim pieśni żałobne. Tak, jutro ruszamy do Redbornu i pobędziemy tam parę tygodni... Najwyższy czas zaprowadzić porządek w tej dziurze. A nasza mała dziewczynka zatroszczy się już

o wspaniałego księcia... Cha-cha-cha! Idź, zbież ludzi, żeby rano byli gotowi do drogi! Wyjeżdżamy o świcie!

Deszcz niezmiernie bębnił o dachy, z szumem zalewając okna potokami wody, nie pozwalając zasnąć mieszkańcom Menory, zaniepokojonym wynikiem pojedynku, i tylko jeden człowiek oprócz barona Ferdina cieszył się ze swego sukcesu.

Nieprzekupny Gordion wracał do domu, niepewnie stąpając po śliskim, mokrym bruku. Zasiedział się na książęcej uczcie w wielkiej sali dla pałacowej czeladzi, położonej w pobliżu kuchni. Nie chciało mu się nocować w pałacu wśród pijanej służby. Gdy szedł, za każdym krokiem czuł na biodrze miły ciężar.

Gordion przyłączył się do nocnego patrolu, obchodzącego wydłużone ulice Menory, i bez żadnych przygód dotarł do swego domu, stojącego w zdziczałym sadzie. Niegdyś sad ten uchodził za najlepszy w całej Menorze, takich jabłek i gruszek, jakie miał jego ojciec, nikomu nie udało się wyhodować. Gordion otrzymał dobry spadek, ale nie bawiło go grzebanie się w ziemi. Zawsze chciał być bliżej panów i wkrótce przepuścił wszystkie ojcowskie pieniądze, hulając w szynkach z bogatymi, szlachetnie urodzonymi nierobami.

I oto kiedy został już niemal bez spodni, Najjaśniejszy Mitra dał mu wielką szansę: jego krzyki, od których trzęsły się ściany szynków, usłyszał przejeżdżający drogą Główny Nadzorca księcia. Wkrótce, po pewnym przeszkoleniu, Gordion zaczął na Świętym Placu ogłaszać zarządzenia władcy Bergheimu. W ten sposób stał się sławny, pił wino z książęcych piwnic, ale pieniędzy brakowało mu jak dawniej...

Że też teraz tak mu się udało z tym Ferdinem! Od razu widać, co to za spryciarz. A jak się rozprawia z przeciwnikami – aż miło popatrzeć! Takiemu panu można służyć! Gordion szedł przez sad, a z drzew lały się na niego strumienie wody. Nie zwracał uwagi na to, że przemókł na wylot, i tylko chciwie macał zawieszony u pasa ciężki trzos.

Zgrzytnął rygiel, zaskrzypiały drzwi i Gordion potknął się o coś w ciemnościach. Z trudem rozpałił ogień w nie uporządkowanym palenisku, zrzucił ciężki, mokry płaszcz i podszedł szybko do szerokiego stołu.

Nie, nagie deski nie nadają się do tego, co chciał zrobić. Poszperał w kącie i znalazł starą, lecz ciągle piękną chustę, która pozostała mu po matce, rozłożył na stole i chrząknął z aprobatą. Odwiązał trzos od pasa, podszedł do ognia i kucnął, wpatrując się w zdobiące go

tajemnicze znaki. Pod miękką skórką wyczuwał monety – wiele, wiele monet...

Odgarnawszy z czoła mokre włosy, Gordion podszedł do stołu, zębami rozwiązał mokry supeł i zaczął wysypywać na wzorzystą chustę swe bogactwo. Pośrodku stołu leżał teraz imponujący stos złotych monet, połyskujących w słabym świetle paleniska. Gordion stał przez chwilę bez ruchu, spoglądając oszołomiony na ten skarb, a potem zanurzył w złoto obie ręce. I wtedy przeraźliwy krzyk wstrząsnął ścianami starego domu. Gordion, wymachując ręką, odskoczył od stołu. Ze zdziwieniem, nieprzytomnym wzrokiem, spoglądał na swą rękę, gdzie czerniały dwie głębokie ranki. Nagle zobaczył, jak z błyszczącego stosu złota wypelza wielki żółty wąż, spada na podłogę i znika w szparze pod drzwiami.

Chwytnąjąc powietrze szeroko otwartymi ustami, nic już przed sobą nie widząc, Gordion zrobił ostatni krok i ciężko zwał się na stół. Monety z brzękiem posypały się na podłogę i potoczyły, rozbłyskując niebieskimi ognikami. Wkrótce zwały się w jeden huczący biały płomień i wśród starego sadu buchnął pod niebo oślepiający słup ognia...

XII

Ból, który początkowo zdawał się nie mieć granic, stopniowo skoncentrował się w jednym punkcie, pulsując w nim, to pograżając świadomość w grząskiej ciemności, to znów rozbłyskując oślepiającym czerwonym światłem. Conan nie czuł ani ciała, ani rąk, ani nóg – tylko ten ból i zapiekłe z nieznośnego pragnienia usta. Ciężkie, jakby nalane ołowiem powieki drgnęły i ostre światło przeniknęło przez rzęsy. Conan chrapliwie jęknął. Uzmysłowił sobie, że żyje. Gwałtownie otworzył oczy. Zamigotały przed nim tęczowe koła, ale ręce, jeszcze przed chwilą leżące bezwładnie wzdłuż ciała, poruszyły się, palce zacisnęły się w pięści, oślepiający wir ustał i stopniowo wszystko zaczęło wracać do normy.

Znów zamknął oczy i nie zwracając uwagi na ból przeszywający gardło spróbował poruszyć nogami. Były jednak gdzieś strasznie daleko, za ciemną zasłoną bólu, który jeszcze się nasilił od tych bezskutecznych usiłowań.

Conan przez jakiś czas leżał, słuchając głuchych uderzeń serca, a potem znów ostrożnie otworzył oczy. Tym razem światło nie ośle-

piło go i tylko na ścianie zatańczyły złociste refleksy płomieni. Stopniowo ułożyły się w jeden obraz i Cymmerianin ujrzał lampę z brązu, świecąca słabym nieruchomym światłem. Ostrożnie, żeby znowu nie zawirowało mu przed oczyma, zaczął się rozglądać. Leżał na szerokim łożu, przykryty złocistozieloną kapą. Naprzeciw miał jasną ścianę. Obok łoża stał fotel i stolik. Z lekka zezując, dostrzegł niewyraźne zarysy wysokiego dzbanka i kubka. Gardło ścisnęło mu się w spazmie bólu i pragnienia, oczy znów się zamknęły i wszystko pokryła czerwona kurtyna omdlenia.

Zagłuszając stuk serca, rozległy się jakieś znane dźwięki. Purpurowa mgła odpłynęła i zobaczył pędzących jeźdźców w błyszczących zbrojach, usłyszał szczęk broni i rżenie rumaków. Wszystko to przemknęło przed nim i zniknęło. Pozostał tylko skrawek jakiegoś pola i czarny koń, który wolno oddalał się od niego, wlokąc siodło z urwanym poprzęgiem. Conan poczuł, że coś ścisną w dłoni – okazało się, że jest to rękojeść miecza z ułamkiem klingi. Żółte oczy, spoglądające skądś z góry, wywołały w nim taką falę wściekłej nieowiadomości, że nieruchome dotąd ciało drgnęło i Cymmerianin usiadł na łożu z szeroko otwartymi oczami.

Ból w dalszym ciągu szarpał gardło, ale ciało, które wyzwoliło się z odrętwienia, znów należało do niego. Jedną ręką namacał opaskę na gardle, a drugą niecierpliwie sięgnął po kubek. Był pełny, tak że nie trzeba było nalewać z dzbanka. Starając się nie uronić ani kropli drogiego płynu, Conan ostrożnie zbliżył kubek do spieczonych ust i zaczął chciwie pić. Woda paliła gardło jak mocne wino i równocześnie błogi chłód rozchodził się po całym ciele.

Wolno osunął się na poduszki i zasnął, upuszczając kubek na podłogę.

Cichy szczęk klucza w zamku zabrzmiał w jego głowie jak ogłuszający łoskot. Odwróciwszy lekko głowę, ukradkiem, spod półprzykniętych powiek, obserwował drzwi. Ręce, leżące nieruchomo na kapie, gotowe były zacisnąć się na szyi wroga – jeśli to wróg otwiera drzwi...

Jednak postać, która pojawiła się na progu, nie wzbudzała lęku: do pokoju weszła wysoka zgrabna kobieta w ciemnej sukni, z twarzą ukrytą pod woalką. Niosła tacę, na której stała parująca czasza i niewielki pozłacany dzbanek, z całą pewnością zawierający wino.

Postawiła tacę na stoliku, podniosła z podłogi kubek, pochyliła się nad Cymmerianinem i lekko dotknęła jego spleątanych włosów. Zanim zdążyła cofnąć rękę, jego ogromna dłoń delikatnie zacisnęła

się na jej cienkich palcach. Pałające niebieskie oczy otworzyły się szeroko i szukały pod woalką znajomych rysów.

Nie próbując uwolnić ręki, kobieta usiadła na fotelu. Oczy pod woalką błyszczały zagadkowo, a na ustach pojawił się uśmiech. Conan puścił jej dłoń, uniósł się na poduszkach i sięgnął do woalki. Jednak kobieta znów ułożyła go delikatnie i sama pełnym wdzięku ruchem odśloniła twarz.

Widok pięknej księżnej natychmiast ożywił wspomnienia ostatnich dni. Conan błyskawicznie przypomniał sobie wszystko, wraz ze zdrazieckim ciosem miecza Ferndina i jego ochryplym zwycięskim okrzykiem. Z rykiem nienawiści odrzucił kapę, chcąc wyskoczyć z łóża, ale bezsilnie opadł z powrotem, szepcząc zbielełymi wargami: „Ferndin... Przeklęty Ferndin...”.

Chłodne, delikatne dłonie czule głaskały go po ramionach, przytrzymując w łożu, a potem ostrożnie zaczęły odwiązywać zaschniętą opaskę na gardle. Z trudem unosząc ciężką głowę Cymmerianina, księżna zdjęła przesiąkniętą krwią tkaninę, pochyliła się i ze zdumieniem wykrzyknęła: „Najjaśniejszy Mitro! Nie wierzę własnym oczom!”.

Na szyi Conana zamiast strasznej, ziejącej rany, którą całkiem niedawno, drżąc z przerażenia, smarowała czarodziejską maścią, czerwieniła głęboka szrama. Lawinia pospiesznie sięgnęła po ukryte w fałdach sukni maleńkie złote pudełeczko i obficie posmarowała zabliźnioną ranę. Czysta przepaska przyjemnie ogrzała szyję Cymmerianina, który natychmiast zasnął, oszołomiony aromatem tej cudownej substancji.

Księżna siedziała nieruchomo, ale nie był to już ten kamienny bezruch, który ogarnął ją wczoraj na Świętym Placu. Wczoraj... Wszystko to wydarzyło się zaledwie wczoraj...

Już z samego rana kazała swoim zaufanym sługom przebrać się za zwykłych ludzi z tłumu i zająć miejsca przy bramie, prowadzącej na plac. Strażnicy również zostali uprzedzeni, a w krzakach stał w pogotowiu kryty wóz, zaprzężony w parę chłopskich koni. Och, jak księżna pragnęła, żeby te wszystkie zabiegi okazały się niepotrzebne, ale jej serce ścisnęło złe przeczucie, nie pozostawiając miejsca na nadzieję.

Gdy pojedynek się zakończył i butny zwycięzca podszedł, by odebrać nagrodę, za jego plecami wierni studzy księżnej doskoczyli do leżącego ciała, szybko ułożyli je na szerokim płótnie i biegiem wynieśli za ogrodzenie. Jeden ze sług schwytał konia i podniósł z ziemi szczątki miecza.

Lawinia ze swego podwyższenia z trudem mogła dostrzec, co się tam dzieje. Burzowe czarne chmury pełżyły tuż nad ziemią i było tak ciemno, jak późnym wieczorem. Kiedy daleko zajaśniała błyskawica, w jej migotliwym świetle księżna z ulgą stwierdziła, że ranny Cymmerianin i jego kary koń zniknęli. Po powrocie do pałacu, kiedy przebrała się już w suchą suknię, odesłała służące. Zamknęła na klucz drzwi sypialni i wymknęła się do ukrytego korytarza, którego boczne odgałęzienie prowadziło do maleńkiej komnaty – tej właśnie, gdzie teraz przebywał ranny Cymmerianin. Lawinia spojrzała jeszcze raz na Conana – oddychał spokojnie i równo.

A wczoraj... Księżna znów zadrżała na wspomnienie leżącego na podłodze skrwawionego ciała. Na jej rozkaz słudzy szybko zdjęli z Cymmerianina zbroję i kolczugę, rozcięli i ściągnęli przesiąkniętą krwią koszulę i skórzane spodnie. Lawinia uklękła i ostrożnie uniosła chustę przykrywającą ranę. Mimo woli aż krzyknęła z przerażenia: miała wrażenie, że głowa całkiem oddzieliła się od tułowia. Pod jej ręką, leżącą na piersi Cymmerianina, nagle zabiło serce – raz, drugi – a z rozciętego gardła wydobyło się słabe chrypienie...

Księżna, poleciwszy sługom zaczekać w korytarzu, ostrożnie pokryła maścią brzegi głębokiej rany – i krew natychmiast przestała ciec. Jeszcze raz drżącą ręką posmarowała ranę, schowała pudełeczko i obwiązała szyję czystym płótnem.

Zawołała służbę, kazała umieścić Cymmerianina na łożu, oczekiwała, aż uporządkują komnatę, i wypuściła ich do ogrodu. Mogła ufać tam ludziom, jak sobie samej – wiernie służyli jej ojcu i dla swej pani gotowi byli skoczyć w ogień.

Później, opuściwszy ucztę, znowu wróciła tutaj i siedziała długo, patrząc ze ściągniętymi brwiami na wymizerowaną twarz Conana, z lękiem przysłuchując się chrapliwemu oddechowi...

I oto teraz rana już się zablżyła, Conan otworzył oczy i zobaczył ją, Lawinię... Wstała, troskliwie okryła śpiącego Cymmerianina i, jeszcze raz obejrawszy się, wysliznęła się.

Po powrocie do swej sypialni Lawinia zdjęła woalkę z niestannie uczesanych włosów, zrzuciła ciemną suknię i włożyła nocną koszulę. Postąpiła przed lustrem, z satysfakcją spoglądając na swą wychudłą twarz z sinymi kręgami pod gorączkowo błyszczącymi oczyma. Lekko uderzyła w gong, który zadzwonił żałobnie, wolnym krokiem podeszła do łoża i bez sił osunęła się na zmiętą pościel.

Służąca, która wbiegła do sypialni, zaniepokojona wykrzyknęła:

– O, moja pani! Zaraz wezwę lekarza!
– Przynieś więcej orzeźwiającego napoju, bo cała gorzeję, i przyślij do mnie Jondę. A potem możesz wezwać lekarza, chociaż i tak wiem, co mi jest... Wczoraj było tak zimno, i jeszcze ten deszcz... No, biegnij szybko! – Mówiąc to, zamknęła oczy i padła na poduszki.

Wkrótce drzwi otworzyły się bezgłośnie. Ostrożnie stąpając po miękkim dywanie, do sypialni weszła Jonda, niosąc wielki dzban z aromatycznym napojem z jagód leśnych. Księżna uchyliła powieki i szeptem kazała dziewczynie zbliżyć się do siebie. Jonada postawiła dzban, podeszła do wezgłowia łoża i ukłękła, ze strachem patrząc na swą panią, taką bladą i udręczoną.

– Jondo, póki nikogo nie ma, wysłuchaj mnie uważnie: przez kilka dni będę chora, bardzo chora, i tylko tobie pozwolę wchodzić do sypialni – wyszeptwała szybko Lawinia, z niepokojem spoglądając na drzwi. – Wiem, że jesteś odważna i wierna mi, dlatego tylko tobie powierzam swą tajemnicę...

Długo coś jej mówiła, a służąca, pochylona do ust swej pani, co chwila kiwała głową. Nagle za drzwiami dały się słyszeć zaniepokojone głosy. Jonda zerwała się na równe nogi i wbiegła do przyległej izby.

Kiedy na progu pojawił się książę w towarzystwie lekarza, księżna leżała już otulona puchową kołdrą. Głowę miała bezsilnie złożoną na poduszce, a oczy przymknięte.

– Lawinio, serce moje, co z tobą?! Powiedziałaś wczoraj wieczorem, że się źle czujesz, ale pomyślałem, że tylko kaprysisz. Teraz jednak widzę, że naprawdę jesteś chora!

– Tak, mój książę, wczoraj było bardzo zimno... Przemarzałam i jeszcze w dodatku zmokłam... – Zamilkła, oblizując suche wargi.

Lekarz, który z zatroskaną twarzą podszedł od drugiej strony łoża, pomarszczoną ręką dotknął czoła księżnej, szczupłymi palcami zbadał jej puls i powiedział, cedząc słowa:

– Tak... Gorączkę we krwi uśmierzy zimny napój... Widzę, że już go przyniosłaś, dziewczyno. Bardzo dobrze... Teraz dam ci lecznicze zioła, które zmieszasz z podgrzanyim winem i dasz swojej pani, jak tylko się obudzi... Kilka dni w cieple i spokoju, a wszystko minie! – Pokiwał głową, puścił rękę księżnej, skłonił się księciu i odszedł razem ze służącą. Lawinia odwróciła głowę i ledwie dosłyszałnie zapytała:

– Mianowałeś tego... Ferndina... swoim Głównym Doradcą?

– Wiem, że to cię martwi... Dlaczego tak mu nie ufasz? Dobrze, porozmawiamy o tym później, teraz jesteś chora... Baron na kilka

miesiący pojechał do swego nowego majątku, a potem, kiedy wróci, wyznacze go na miejsce starego Dissa. Właśnie jego, nikogo innego! Taka jest moja wola! – Zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po sypialni z kąta w kąt.

– Podejdź tutaj, Orgeldzie, ponieważ trudno mi mówić głośno. – Lawinia słabym gestem wyciągnęła do niego rękę. Wewnątrz gotowała się ze złości, ale spoglądała na niego spokojnie i bezradnie. – Siądź obok i posłuchaj! On pojechał do Redbornu, prawda? To właśnie ten majątek mu ofiarowałeś?

– Tak, moja droga, ale wkrótce wróci.

– Czegoś w nim nie rozumiem, ale jeśli uważasz, że godzien jest tego szacunku, niech zostanie twym doradcą... A teraz chcę spać... I jutro będę spać, i pojutrze... Niech Jonda zasłoni okna i nikogo tu nie wpuszcza. Jeśli będę czegoś potrzebowała, przyślę ją – to rozsądna dziewczyna.

Zmęczona księżna zamknęła oczy i odwróciła się. Książę, zajęty swymi myślami, w roztargnieniu pogłaskał jej gorącą rękę leżącą na koldrze i szybkim krokiem skierował się do drzwi.

Tego dnia Lawinia jeszcze kilka razy przechodziła do tajemnej komnaty, ale Cymmerianin cały czas mocno spał. Pod wieczór wzięła przyniesione przez Jondę jedzenie i zeszła do rannego, zostawiając dziewczynę w sypialni. Conan leżał na plecach, z rękami pod głową, i od razu odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi.

Ujrawszy księżną, spróbował wstać, uniósł się na łożu, ale Lawinia postawiła tacę na stole i usiadła obok na niskim fotelu. Nozdrza Cymmerianina drgnęły, gdy poczuł zapach pieczystego z książęcej kuchni. Lawinia zaśmiała się i rzekła:

– Spróbuj jeść! Sądzę, że rana nie powinna już ci przeszkadzać.

Napełniła kubki winem i podsunęła mięsivo Cymmerianinowi. Nie dał się długo prosić i zaczął jeść. Lawinia spoglądała na niego w zadumie, od czasu do czasu podnosząc do ust kubek. Wkrótce półmisek i dzban były puste, a ona ciągle patrzyła na niego ciemnoniebieskimi oczyma.

Conan dotknął opaski na gardle, pokręcił głową i zapytał:

– Długo tu jestem? Wygląda na to, że przekleły Ferdin omal mnie nie wysłał na Szare Równiny! Muszę go odnaleźć i wyrównać rachunki, bo inaczej moja dusza nie zazna spokoju!

– Nie bój się, Cymmerianinie, już wkrótce go znajdziesz! – Księżna, jak na turnieju, patrzyła mu prosto w oczy bez mrugnięcia. – Ja również niczego bardziej nie pragnę niż jego śmierci. Cóż

jednak mogę uczynić, będąc słabą kobietą? Wczoraj, kiedy cię zranił, nieomal mi serce pękło...

– Wczoraj?! Przecież z całych sił wpakował mi miecz w gardło! A teraz jem i piję! – Conan znów niedowierzająco pomacał opaskę na szyi.

Odstawiwszy kubek, Lawinia nachyliła się i ostrożnie rozwiązała supeł. Miękkie płótno opadło na podłogę. Księżna spojrzała na szyję barbarzyńcy, na której nie było ani śladu strasznej rany, i nie zdołała powstrzymać pełnego zdumienia okrzyku:

– To prawdziwy cud! Dzięki ci, mądra Wegdo!

Conan dotknął ręką szyi.

– Nawet blizny nie ma! Co to za Wegda? Pewnie jakaś czarownica! Nienawidzę czarów, no, chyba że przywracają do życia!

– Tak, to czarownica i właśnie dzięki niej żyjesz. Popatrz, jeszcze trochę tego zostało!

Lawinia sięgnęła po złote pudełko i zdjęła wieczko. Kiedy dotknęła palcem pachnącego smarowidła, zamieniło się ono w niebieską mgielkę, która napełniła pokój miłym aromatem.

Lawinia ze śmiechem wyciągnęła rękę i lekko dotknęła muskularnej szyi w tym miejscu, gdzie wczoraj czerniała śmiertelna rana. Conan delikatnie ujął jej rękę i zaczął całować. Lawinia przesiadła się z fotela na skraj łóża i rozchyłonymi wargami przywarła chciwie do jego twardych ust. Conan objął księżną, która pokornie przytuliła się do jego mocnej piersi...

Rano, kiedy do tajemnej komnaty dotarło z sadu krakanie wron, Lawinia otworzyła oczy i zaśmiała się cicho. Nawet dla jednej takiej nocy warto było wskrzesić tego barbarzyńcę! Delikatny i nienasycony, potrafił rozbudzić w niej namiętność, jakiej nawet nie podejrzewała w sobie. A może to gwałtowny wybuch miłości, zmieszany ze spielającą duszę nienawiścią, doprowadził do takiego szaleństwa?! Leżała obezwładniona rozkoszą i patrzyła na migający płomień dopalającej się lampy. Jeszcze chwila i pokój pogrąży się w ciemnościach. Starając się nie obudzić Conana, Lawinia ostrożnie wstała i przesunęła lekki fotel pod drugą ścianę. Pod samym sufitem, przy szerokiej dębowej belce, nacisnęła ozdobną listwę i część boazerii odsunęła się na bok. Przez zakratowane wąskie okienko wdarło się do środka świeże poranne powietrze, natychmiast gasząc niepotrzebną już lampę. Wrony ochryple krakały gdzieś całkiem blisko i Lawinia, która bardzo lubiła te ptaki, wyobraziła sobie, jak siedzą na gałęziach, otwierając dzioby. Znów się zaśmiała i lekko zeskoczyła na podłogę.

Cymmerianin, półleżąc na poduszkach, z zachwytem spoglądał na zgrabną, obnażoną kobietę ze wspaniałymi kasztanowymi włosami, sięgającymi poniżej pasa. Oczy ich spotkały się i powiedziały wszystko bez słów, ręce splotły się niecierpliwie, a ciała chciwie przylgnęły do siebie...

Wierna Jonda powiedziała wysłannikom księcia, że jej pani źle spała tej nocy, co było szczerą prawdą. Gdy Lawinia weszła do swojej sypialni, natychmiast runęła na łożo i w jednej chwili zasnęła. Otworzyła oczy, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, i leżała jeszcze czas jakiś, rozmyślając o Cymmerianinie. Siedzi teraz sam w tym małym pokoiku, jak wielkie leśne zwierzę uwięzione w klatce. Miała ochotę zatrzymać go przy sobie jeszcze trochę, ale wiedziała, że Conan nie o niej teraz myśli. Dziwne, ale nie smuciła się z tego powodu, wręcz przeciwnie – czuła radość. Zemsta mężczyzny i zemsta kobiety to dwie różne sprawy. Kiedy jednak do nienawiści mężczyzny dołącza się miłość i nienawiść kobiety, siły mężczyzny wzrastają dziesięciokrotnie...

Księżna wezwała Jondę i kazała jej przynieść dużo jedzenia i wina. Sprytna dziewczyna, biegając tam i z powrotem, przyniosła tyle wszystkiego, że Lawinia ze śmiechem klasnęła w ręce:

– O, Najjaśniejszy Mitro! Przecież biedna chora księżna nawet nie może patrzeć na pieczoną dziczyznę, nie mówiąc już o pierogu z mięsem jelenia! I do czego to podobne, żeby przynoszono tu wino w takich dzbanach?! Skąd je wzięłaś?

– Nasi koniuchowie piją z takich... Pomyślałam, że lepiej przynieść jeden duży niż pięć małych...

– Jondo, ty wszystko pojmujesz w pół słowa! Pomóż mi zanieść to na dół i pobądź do rana w sypialni. Powiesz, że mocno zasnęłam po leczniczych ziołach, rozumiesz?

– Tak, moja pani! – Jonda wzięła ciężki dzban i w ślad za księżną zaczęła schodzić ciemnymi schodami.

Ledwie Lawinia weszła do tajemnej komnaty, natychmiast znalazła się w objęciach Cymmerianina. Po szybkiej wymianie pocałunków przyłożyła palec do ust, wyciągnęła rękę do uchylonych drzwi i wzięła od Jondy dzban. Dziewczyna pobiegła na górę po resztę rzeczy, a Lawinia wręczyła Cymmerianinowi flaszkę z oliwą do lampy. Napelniwszy małą brązową czaszę, przy okazji nalał też oliwy do trzech pozostałych lamp, poprawił knoty i skrzesał ognia. Małe okienko pod sufitem jaśniało jeszcze słabym światłem zachodu, ale Conan bez trudu sięgnął do rzeźbionej boazerii i wstawił ją na miejsce.

Od razu jakby urwała się niewidoczna nić łącząca ich ze światem. Poczuli, jak zalewa ich fala gorącej namiętności, jak ich ciała dygoczą od niepowstrzymanego pragnienia połączenia się w jedną całość...

Rozległo się ostrożne pukanie do drzwi i księżna, z trudem uwolniwszy się z gorących objęć, zaczęła ustawiać na stole to, co podawała jej Jonda. Conan zaśmiał się cicho:

– Chętnie pobylłbym dłużej w niewoli u ciebie, gdyby nie to, że płomień nienawiści bardziej pali moje serce niż miłość!

Lawinia przytuliła się do jego piersi i pytająco zajrzała w oczy:

– A więc chcesz odplacić Ferdinowi za swoją przegraną? I nawet miłość do mnie nie zatrzyma cię w Menorze? A jeśli zacznę cię błągać na kolanach, byś został jeszcze choć trochę?

– Nie, moja miła, miłości i nienawiści nie da się ze sobą pogodzić. Najpierw jedno, potem drugie. A więc Ferdin opuścił Menorę? Czyżby uciekł?

– Książę odesłał go do Redbornu, żeby posiedział tam, aż opadną emocje. Jego zwycięstwa podczas turnieju wzburzyły całe miasto i ludzie na dworze nastawieni są wrogo wobec nowego barona... A książę Orgeld, niczym małe dziecko, któremu żal rozstać się z ukochaną zabawką, postanowił mianować go swym głównym doradcą w sprawach państwowych!

Lawinia z nasepionymi brwiami i pociemniałymi oczami zaczęła szybkim krokiem chodzić po pokoju niczym rozwścieczona lwica.

– Wszystko się wali, jakby spotkała nas kara ze strony Najjaśniejszego! Bergheim wymyka się nam z rąk, czuję, że wkrótce Ferdin zostanie jego władcą, a my – książę, ja, następca tronu – rozwiejemy się jak dym... Jednak najpierw chce on pobawić się z nami jak kot z myszą, a to jest gorsze niż śmierć... – Przycisnęła dłonie do twarzy i zamarła, tylko ramiona drgały w bezgłośnym szlochu. Conan troskliwie objął ją i pogłaskał po włosach, jak starszy brat przestraszoną siostrzyczkę.

– Sama widzisz, że nie można zwlekać... Ale mam tu jeszcze pewien dług do spłacenia. Bardzo bym chciał spotkać tego drania Klarsa! Za takie pieniądze, jakie mu dałem, wcisnął mi zgniły popręg i nic nie warty miecz! Aż dziw, że nie złamał się pierwszego dnia! Połamię mu ręce, a temu hultajowi, Rudemu Biorriemu, obetnę język! „Najlepszy mistrz!” Tfu, psie łajno, a nie mistrz! – Teraz to Conan miotał się wściekle między łóżem a ścianą, a Lawinia usiad-

ła w fotelu i spoglądała na niego jak mądra starsza siostra na gorączkującego się brata.

– Uspokój się i jedz, a potem pokażę ci coś takiego, że może zmienisz zdanie. – Wzięła ze stołu swój kubek i wskazała ciężki dzban: – Nalej mi wina, cały dzień nic nie jadłam...

Cymmerianin, kipiąc gniewem i rzucając gromy na głowę mistrza Klarsa, nie wiadomo kiedy zjadł i wypił wszystko, co mu przyniesiono.

Tymczasem Lawinia cicho wymknęła się za drzwi i wkrótce wróciła, z trudem dźwigając ciężkie siodło z pękniętym poprzęgiem. Położyła je na podłodze przed zdumionym Cymmerianinem i znowu wyszła.

Zapomniawszy o niedopitym winie, Conan ukłękął i przy jasnym świetle czterech lamp zaczął oglądać porwany rzemień. Solidna skóra ciemnoczerwonego koloru w miejscu rozdarcia była zrudziała i postrzępiona jak stary, zbutwiały sznurek. W dłoni Cymmerianina włókniste końce rozsypały się, jakby przepalone jakimś jadem.

– Przekleństwo! Kto mógł to uczynić? – zawołał Conan, odrzucając popręg i wstając z kolan.

– Ten, kto zrobił to samo ze wspaniałym mieczem mistrza Klarsa. Znam jego broń, z najdalszych miejsc przyjeżdżają do niego rycerze, żeby zamówić miecz i zbroję. Popatrz, mój miły, jak to wygląda. – Lawinia podała mu ciężką klingę i rękojeść z ułamkiem ostrza.

Conan znów usiadł na dywanie i długo oglądał obie części miecza. Spróbował je złożyć razem, ale nic z tego nie wyszło: klinga na krawędziach jakby się rozdeła, pokryta małymi pęcherzykami. Nie mogłoby się nic takiego zdarzyć, gdyby mistrz Klars źle wykuł miecz: kto jak kto, ale Conan wiedział, jak wyglądają ułamki źle wykonanej broni, jak błyszczy stal w miejscu pęknięcia przegrzanej klingi i co się dzieje, jeśli w metalu pozostanie pęcherzyk powietrza. Nie, to było coś innego: metal stopił się, jakby wsadzono go do jakiegoś nieziemskiego ognia...

– Powiedz, co o tym sądzisz, a potem usłyszysz, co ja mam ci do powiedzenia. – Lawinia zaznaczyła palcem na kładzie granicę szarej plamy. Conan z ponurą twarzą odrzucił rękojeść miecza.

– Czary! – powiedział. – Ktoś postanowił przeszkodzić mi w wygraniu tego pojedynku! Słyszałem o takich sztuczkach, ale widzę je po raz pierwszy. Podobno wystarczy dotknąć broni i wypowiedzieć

odpowiednie zakłęcie... Zaraz, zaraz! Dotknąć! To ten żebrak! Stary żebrak na podwórzu mistrza Klarsa! Przecież zawisł na moim mieczu, żeby nie upaść, i cały czas mruzczał coś niezrozumiale! I uchwycił się też popręgu, kiedy wpadł na konia! Przekleństwo!

– Nieźle znam się na uprzęży i broni: w rodzinnym domu, kiedy jeszcze byłam dzieckiem, często wkładałam lekką zbroję i próbowałam nauczyć się czegoś od starszych braci... Ja też wiem, jak pękają popręgi i łamią się miecze. Masz rację, Cymmerianinie, to czary. I jestem przekonana, że wiem, czyja to sprawka...

– Ja też wiem! Gdziekolwiek by się schował, do jakiego by majątku pojechał, znajdę go i wykurzę stamtąd! I wtedy żadne czary mu nie pomogą!

– Zemścisz się nie tylko za siebie, Conanie, ale i za mnie! – Księżna objęła go rękoma za szyję, zajrzała w głębię jego gniewnych oczu. Jej delikatne ręce ześliznęły się w dół, uśmierając gniew kipiący w piersi Cymmerianina, i gorący płomień pragnienia wystrzelił tam, gdzie jeszcze przed chwilą buzował czarny ogień nienawiści.

XIII

– Przekleństwo! Już trzeci dzień nie mogę myśleć o niczym innym! – Mistrz Klars odstawił kubek na stół, rozlewając wino. – Wszystko wypada mi z rąk, tak że zaczynam wątpić w siebie!

Biorri milczał, smutnie kiwając rudą głową. Zaledwie od kilku dni znał Cymmerianina, ale kiedy runął na piasek zalany krwią, poczuł się tak, jakby utracił rodzzonego brata. Nie mógł się uspokoić od tej pory.

A i mistrza Klarsa można zrozumieć. Tyle lat wyrabia broń, święcie strzegąc sekretu swojej stali, i ani razu nikogo nie zawiódł jego miecz, nie zgiał się sztylet, nie pękł na drugi dzień popręg, zrobiony przez jego doświadczonych majstrów... Jest to wystarczający powód, żeby stracić humor. Biorri znów spođe łba zerknął na Klarsa. Włosy rozczochrane, twarz pociemniała od bezsennych nocy, w oczach blask szaleństwa... Zapewne czyni sobie wyrzuty za śmierć Cymmerianina, uważa, że sam sprowadził nań zgubę...

Ech, gdyby Conan przeżył! Jeśli nawet zostałyby ciężko ranny, można by było próbować go ocalić! Niewątpliwie to ludzie Ferndina zabrali go z placu, przekupiwszy strażę – przecież na własne oczy

widział, że heroldowie ani drgnęli, kiedy jacyś na czarno ubrani ludzie w jednej chwili zabrali z placu ciało barbarzyńcy i wyprowadzili jego konia. Nawet miecza nie zostawili, kanalie!

Mistrz Klars, kiedy doszedł do siebie, chciał pobiec tam, by wziąć ułamaną klingę, ale nigdzie jej nie dostrzegł... Arena była pusta, tylko Ferndin puszył się na złocistym ogierze, deptającym kopytami krwawą plamę.

– Słuchaj, Biorri, dlaczego cały czas milczysz?! Powiedz coś, bo inaczej rozwalę ci głowę! Czy i ty myślisz, że to ja jestem winien?

– Nic nie myślę, przyjacielu Klarsie... Różnie bywa w życiu, mogło wydarzyć się również i to...

– Nie mogło! Z moim mieczem nic takiego nie mogło się wydarzyć! Wraz z Cymmerianinem i ja umarłem, umarły moje ręce, moje mistrzostwo! A może to Mitra ukarał mnie za to, że chciałem wykupić broń godną bogów? Komu jest teraz potrzebny stary Klars, który przyczynił się do zguby takiego rycerza? Wygląda na to, że własnymi rękami pomogłem wygrać temu draniowi z oczyma węża! O, Mitro! A więc jeśli wróci tutaj i zasiądzie w Sali Obrad u boku księcia – również to będzie moim dziełem! – Podparł rękami głowę, bardzo posiwiawia przez te dni, i jęknął ochryple.

Rudy Biorri najchętniej uciekłby stąd, ale nie mógł opuścić zrozpaczonego starego przyjaciela. Majstrowie i czeladnicy pochowali się, gdzie kto mógł, a przestraszeni terminatorzy, niczym stado wróbli rozlecieli się po swych rodzinnych domach. Wygasł ogień w kuchni, ucichł obecny tu zawsze harmider i brzęk metalu, nie słychać było rżenia koni ani skrzypienia bramy.

„Tak, przeklęty Ferndin jednym ciosem powalił nie tylko Cymmerianina, lecz także starego Klarsa” – ze smutkiem pomyślał Biorri, opróżniając nie wiadomo już który z rzędu kubek. Wino, niczym woda bez żadnego smaku, nie paliło gardła, nie przynosiło ulgi – powodowało tylko, że żołądek pęczniał, jak skórzany bukłak. Z obrzydzeniem odsunął kubek i podparł rękami policzek.

– Chyba jutro wyruszę w drogę powrotną do Belverusu... W mieście nikomu nie są teraz potrzebne moje pieśni... a i ja czuję się teraz podobnie jak ty – niech pękne, jeśli potrafię cokolwiek zaśpiewać lub choćby wziąć do rąk ertę...

Odrzucił się do okna, żeby ukryć wilgotne oczy, i w izbie zawiąsa przygniatająca cisza. Cichutko skrzypnęły drzwi i wszedł Rialt, młodszy syn gospodarza. Biorri spojrzał w jego stronę, obawiając

się, że mistrz Klars znowu rzuci czymś ciężkim, ale stary płatnerz ani drgnął. Głowę ciągle miał opartą na skrzyżowanych rękach i tyłko ramiona drgały mu od tłumionego szlochu.

Chłopak podszedł na palcach do ojca i zaczął coś szeptać, zerkając na drzwi. Mistrz Klars podniósł głowę, gniewnie błysnął oczyma i zerwał się, przewracając ławę:

– Nie! Nikogo nie chcę widzieć! Niech się wynosi, ktokolwiek by to był – książe, baron, czy sam... – Nie dokończył, ponieważ w drzwiach pojawił się niemłody człowiek w czarnym, prostym płaszczu. Słowa zamarzy na ustach mistrza Klarsa, a nieznajomy z uśmiechem podszedł do okna i skinął na niego. Zachowywał się z taką pewnością siebie, jakby to był jego własny dom, a mistrz Klars przyszedł do niego w gości.

Zacisnąwszy usta, płatnerz podszedł do okna i zaczął słuchać tego, co szeptał mu nieznajomy. Gniewnie zmarszczył brwi, widać było, że jeszcze chwila i obrzuci gradem przekleństw człowieka w czarnym płaszczu. Jednak tajemniczy gość nagle podniósł do oczu mistrza Klarsa jakiś pierścień i tak samo szybko schował go do wewnętrznej kieszeni brokatowej kamizeli, która mignęła pod rozchylonym płaszczem.

Rudy Biorri machinalnie przysunął do siebie niedopite wino i nie spuszczał oczu z gościa. Nie miał już wątpliwości, że przybył do nich jakiś wielmoża, przywykły nie prosić, lecz rozkazywać, i że oczywiście Klars będzie zmuszony usłuchać go.

Klars, wciąż nachmurzony, nie próbując protestować, skinął głową. Nieznajomy nagle przeniósł wzrok na Biorriego, coś jeszcze dodał i machnął ręką w jego stronę. Potem szczerze owinął się płaszczem i tak samo cicho, jak wszedł, zniknął za drzwiami. Rialt wybiegł w ślad za nim.

Klars chwilę milczał, a potem powiedział, nie patrząc na Biorriego:

– Kazano natychmiast iść... Mnie i tobie... Należałoby się przebrać, ale on powiedział, że mamy iść tak, jak stoimy, byle prędzej. Przynajmniej słomę wyczesz z włosów, Rudy, masz tu mój grzebień. – Jego głos, w dalszym ciągu ochrypli, jak gdyby nieco złagodniał.

– Poczekaj, poczekaj! Dokąd on chce nas poprowadzić o tak późnej porze? Czy mam wziąć ze sobą ertę? Nie, za nic nie mogę teraz śpiewać!

– Nie będziesz śpiewać, a gdzie nas zaprowadzi – zobaczymy... Nasza sprawa – zastosować się do rozkazu!

– Do rozkazu? Czyżby... – Biorri aż otworzył usta od nagłego domysłu.

– Lepiej już milcz, wkładaj płaszcz i idziemy – uciął rozmowę płatnerz.

Trzy ciemne postacie wymknęły się poza bramę i nie zwracając na siebie uwagi ruszyły cichymi już o tej porze ulicami. Ich przewodnik szedł tak szybko, że Klars i Biorri ledwie za nim nadążali. Czarny płaszcz to niknął w ciemnościach, to pojawiał się na tle jasnej ściany jak skrzydło nocnego ptaka. Skręcili w wąskie uliczki, przedzierali się przez ogrody i opłotki, aż wreszcie, gdy całkiem już brakło im tchu, zatrzymali się przed wysokim murem. Nieznajomy przeciągle zagwizdał i w odpowiedzi dał się słyszeć taki sam gwizd. Z lekkim skrzygnięciem otworzyły się w murze niewidoczne drzwi. Weszli w trójkę do ciemnego ogrodu, a ktoś za ich plecami zamknął furtkę.

– Tutaj! Nie zostawajcie w tyle! – ledwie dosłyszalnie szepnął ich przewodnik, zanurzając się w gęste krzaki. Potykając się i przeklinając bez słów ciemną noc, Biorri podążał za ledwie widocznymi sylwetkami nieznajomego i mistrza Klarsa.

Ale oto zatrzymali się koło jakiejś budowli, majaczącej na tle gwiaździstego nieba. Władcza ręka pociągnęła Biorriego za płaszcz. Zrobił krok do przodu i poczuł pod nogami gładką podłogę. Byli teraz w czymś w rodzaju altanki. No tak, że też od razu na to nie wpadł: przecież to stary ogród na tyłach pałacu książęcego! A więc... Zanim pomyślał, co to wszystko może znaczyć, bezgłośnie otworzyły się przed nimi jeszcze jedne drzwi i słabe światło pochodni zamajaczyło w głębi korytarza.

Wąskie schody prowadziły do podziemnego przejścia. Długo nim szli. Wreszcie dotarli do niewielkiej ciemnej sali z kręconymi schodami, prowadzącymi gdzieś w górę.

Wziąwszy do ręki pochodnię, przewodnik poczekał na Biorriego i zręcznie zaczął się wspinać na strome schody. Mistrz Klars w milczeniu szybko podążał za nim. Nikt nie zważał na to, że biednemu śpiewakowi wirowały już przed oczyma zielone i żółte kręgi. Również wino w żołądku buntowało się przeciwko takiemu traktowaniu.

Wspinali się bez końca i umęczony Biorri pomyślał, że chyba zaraz trafią do nieba. Nic już nie widząc, przytrzymując się chropowatej ściany i gramoląc po omacku, nagle stwierdził, że stoi na czworakach na równej podłodze. Oddychał chrapliwie, ze świstem, drżące nogi nie chciały się wyprostować, by unieść ciężkie ciało.

Mistrz Klars ujął go pod pachy i postawił pod ścianą. Jednakże kolana Rudego Biorriego ciągle jeszcze drżały i ugiwały się. Musiała upłynąć dłuższa chwila, zanim wreszcie odsapnął i poczuł się pewniej na nogach.

I oto znów ich przewodnik pędzi naprzód, płomień samotnej pochodni oświetla ciemne ściany, wąskie korytarze i strome schody – w dół, w górę, prosto... Wreszcie ledwie żywy Biorri wpadł na szerokie plecy mistrza Klarsa i zrozumiał, że dotarli do celu. Nieznajomy, wstawiwszy pochodnię do stojaka, zniknął w wąskim, przypominającym wnękę, korytarzu. Rozległo się pukanie i zgrzytnęła zasuw. Wkrótce przewodnik wrócił i wskazał głową na drzwi:

– Wejdźcie! Czekają na was!

Mistrz Klars westchnął ciężko i niechętnie skierował się w stronę wąskiej szczeliny, jaśniejącej w głębi korytarza. Biorri, niemal depcząc mu po piętach, ruszył w ślad za nim.

Płatnerz wolno wszedł do tajemnej izby i w tejże chwili z okrzykiem przerażenia odskoczył do tyłu, nieomal zbijając z nóg rudego śpiewaka. Jednakże przewodnik bez zbytnich słów wepchnął ich obu do niewielkiego pomieszczenia i zatrasnął za nimi drzwi.

Teraz również Biorri, wyglądający zza pleców Klarsa, wytrzeszczył oczy i poruszył zaschniętymi wargami, nie mogąc wydobyć z siebie głosu: prosto przed nimi, na niskim łożu, z głową podpartą potężną ręką, siedział Conan, spoglądający z uśmieżkiem na oszołomionych przyjaciół. Wreszcie nie wytrzymał i zaśmiał się gromko:

– Cha-cha-cha! Nigdy nie sądziłem, przyjacielu, że potrafisz stroić takie miny! A ty, Klarsie, pewnie uznałeś, że masz przed sobą ducha?! Dobra, Biorri, zamknij usta i chodź przepłukać sobie gardło. I ty, mistrzu, siadaj obok, wypijemy za miłe spotkanie! A może nie cieszyć się z tego, że jestem żyw i zdrow? – Cymmerianin uśmiechnął się i podsunął im dzban z winem.

Biorri niepewnie przysiadł na ławie obok łoża i dopiero wtedy zobaczył kobietę, stojącą w drugim końcu izby. Mistrz Klars chwilę przedtem zwrócił uwagę na milczącą postać z twarzą ukrytą pod woalką i, natychmiast ją rozpoznając, przykląkł, pochylając z szacunkiem głowę.

Wreszcie Biorri zrozumiał wszystko: nieznajomy w brokatowym kaftanie, tajemniczy pierścień, książęcy ogród, tajne przejścia... Cofnął wyciągniętą do kubka rękę, ześliznął się z ławki i ugiął kolano jak prawdziwy rycerz. Kobieta pod ścianą zdjęła woalkę.

– Wstańcie! – Głos księżnej drżał nieco. – I nie bójcie się, to nie zjawą, lecz żywy człowiek. – Podeszła bliżej i położyła rękę na ramieniu Cymmerianina.

– Biorri, co tak mrugasz oczyma jak stara sowa?! Za pozwoleniem Jej Miłości siądziemy przy stole i pogadamy... Mistrzu Klarsie, żebyś nie patrzył na mnie takim smutnym wzrokiem, powiem od razu: w tym, co się stało, nie ma twojej winy... Reszta potem... A teraz, Biorri, żeby nie drżały ci ręce, bierz dzban i nalewaj wina! Dobry łyk od razu przywróci cię do życia, wiem o tym!

Księżna, szeleszcząc suknią, podeszła do drzwi i powiedziała:

– Wróć do was później, kiedy wszystko omówicie.

Drzwi zamknęły się za nią cicho.

Na jakiś czas zapadło milczenie. Conan z uśmiechem spoglądał na Biorriego i Klarsa, którzy siedzieli bez słowa, nie ważąc się wziąć kubków do rąk.

Biorri zerknął na szyję Cymmerianina i znów ze zdumienia otworzył usta; przełknął głośno ślinę i wydusił z siebie ochryplym głosem:

– Ta rana... Przecież była tu taka ogromna rana... Krew tryskała jak z zarzynanej świni... Popatrz, Klarsie! Szyję ma gładką jak noworodek... Nie, klnę się na Mitrę, że to ożywiony nieboszczyk! Ech, że też poszedłem z tobą!

– Uspokój się, Rudy! – Klars położył ciężką rękę na ramieniu przyjaciela. – Jeśli księżna powiedziała, że to nie zjawą, znaczy, że tak jest... Ale jednak przysięgnij na Najjaśniejszego, że jesteś tym, za kogo uchodzisz! – Uczynił ręką znak odpędzający demony.

– O, widzę, że dobrze was przestraszyłem! Przysięgam na Kroma, a jest to dla Cymmerianina najświętsza przysięga, że jestem tym samym Conanem, który opróżnił z wami niemało kubków wina! I jeśli Mitra pozwoli, wypiję jeszcze tyle. A rana rzeczywiście była, ale gdzie się podziała, może o tym powiedzieć tylko księżna. To jej ludzie zabrali mnie ze Świętego Placu, to jej ręce przywróciły mnie do życia. Wypijmy teraz właśnie za to! Biorri, leniu jeden, oczywiście nałałeś tylko sobie, zapominając o nas! Nawet w pałacu książęcym wszystko człowiek musi robić sam. – I przechylił dzban nad kubkiem.

W milczeniu pili wino i było widać, że płatnerza ciągle męczyła sprawa, o której nie było dotąd mowy. Biorri z niepokojem przenosił wzrok z majstra na uśmiechającego się Cymmerianina, jakby bał się, że zaraz wybuchnie burza. Nagle Conan odsunął kubek, schylił się i wy dostał spod łoża najpierw rękojeść, a potem klingę, która błysnęła groźnie wśród naczyń na stole.

– Widzę, że o jednym tylko myślisz... No to spojrz teraz mistrzu, może sprawi ci to ulgę.

Klars chciwie pochwycił klingę i wbił w nią wzrok. Potem zaczął oglądać ułamek ostrza przy rękojeści i, podobnie jak całkiem niedawno Conan, spróbował połączyć ze sobą obie części miecza. Przekonawszy się, że jest to niemożliwe, znów podniósł do oczu klingę i ostrożnie dotknął językiem pociemniałego metalu. Długo potem płukał usta winem, splunął pod nogi i powiedział gniewnie:

– Ślina Seta! Czarodziejskie ziele, które potrafi zniszczyć każdą stal! Gdy ojciec przekazywał mi tajemnice swego rzemiosła, pokazał sztylety przeżarte tą trucizną i kazał spróbować, jaki ma smak... Na całe życie zapamiętałem tę cuchnącą gorycz, i oto teraz moja klinga...

– I klinga, i popręg, który jakby nagle zbutwiał. Tak więc wróg okazał się sprytniejszy, niż myślałeś.

– Gdyby był teraz w Menorze, zadzgałbym go tym odłamkiem! Ale książe wysłał już tego łotra do Redbornu.

– Właśnie o tym chciałem z wami pomówić... Jak to było w regułach turnieju? „Jeśli ktoś osiągnął zwycięstwo w nieuczciwy sposób, niech zostanie przeklęty przez Mitrę”. Jednak ja nie mam zamiaru czekać, aż runie na niego sosna lub spali go błyskawica! Powinien zginąć z mojej ręki, i proście Najjaśniejszego, żeby nie spieszyl się z zemstą! Na jutro potrzebny mi będzie miecz, ten, który zostawiłem u ciebie – używałem go w wielu walkach i przywykłem doń...

– Jeśli nie boisz się jeszcze raz użyć mojej broni, przyniosę ci miecz, który wykułem w dzień narodzin swego pierworodnego syna. Został poświęcony w świątyni Mitry i nie zaszkodzi mu żadne ziele! Za nic bym go nikomu nie sprzedał, ale ciebie proszę: weź go!

– Dziękuję, Klarsie, wezmę, ale i przynieś również mój stary miecz. Lawinia... Księżna mówiła, że do Redbornu jedzie się stąd dwa dni i droga jest spokojna...

– Jeszcze jak! Dwa dni i dwie noce, ciągle lasem! Najwyżej spotkasz niedźwiedzia albo ryś skoczy ci na plecy – nic ponadto. Oczywiście, jeśli wiesz, gdzie i kiedy skręcić... – Biorri chytrze zerknął na Cymmerianina i znów napełnił kubki.

– Widzę, że znasz całą Nemedię jak swoje pięć palców. Czyżbyś był również w Redbornie?

– Gdybym nie był, siedziałbym cicho... Jednak stary Diss nigdy nie odważył się sam zagłębiać w te lasy. Ostatnio zawsze jeździł do

swego majątku wraz z synami i siostrami. To nie trakt na Belverus, lecz całkowite pustkowienie.

– Jakże więc tam zawędrowałeś? Pewnie zmyliłeś drogę i koń sam cię tam doniósł...

– Nie, jechałem jako honorowy gość z Dissem i jego synami, a towarzyszyła nam drużyna rycerzy i cała chmara sług. Piękne lasy otaczają Redborn! A jakie tam jelenie i dziki! Po prostu królewskie polowanie! – Oczywiście Biorriemu rozbłysły i zaczął wymachiwać rękami, prawie rozlewając wino z kubka. – Baron był gospodarzem, jakich mało. Zaledwie kilka wsi dokoła, a pola nie gorsze od tych w Menorze!

Umilkł na chwilę, by złapać oddech i mówił dalej:

– Jest tam zamek – niedostępna twierdza. Wysokie mury, baszty, głęboka fosa. Podobno dawniej często trzeba było bronić się od najazdów z północy, ale teraz zrobiło się spokojniej...

– Słuchaj, przyjacielu, co tak cię naszły te wspomnienia? Czyżbyś zatęsknił za niedźwiedzim matecznikiem? A może zostawił tam jakąś wdówkę?

– Widzisz, mam takiego niedomyślnego przyjaciela, który zamierza sam podróżować po lasach, nie bojąc się nocnych duchów ani niedźwiedzi... I w żaden sposób nie wpadnie na to, żeby wziąć mnie ze sobą. Dlatego próbuję temu upartemu barbarzyńcy podsunąć mądrą myśl...

Głośny śmiech wstrząsnął ścianami izby, aż zatańczyły strwożone płomyki lamp.

W drzwiach za ich plecami pojawiła się księżna i stanęła w milczeniu, oparta o ścianę.

– Twojej mądrości mógłby nawet pozazdrościć stary Diss, gdyby jeszcze żył – powiedział mistrz Klars, poklepując śpiewaka po kolanie.

– I co będziesz miał z tego, że się tam ze mną wybierzesz? Przecież lubisz sobie dobrze zjeść i wypić, a tam można stracić głowę. – Conan bezwiednie sięgnął ręką do tego miejsca na szyi, gdzie powinna być znajdować się szeroka blizna.

Z twarzy Biorriego w jednej chwili zniknęła cała wesołość, nachmurzył brwi, surowo spojrzawszy swymi przezroczystymi oczyma w niebieskie oczy Cymmerianina, uderzył mocno pięścią w stół i powiedział:

– Kochałem tego starego zrzędę, barona Dissa. Szczerze mówiąc, co roku przyjeżdżałem do Menory nie tylko po to, by zarobić, ale też

dlatego, by się z nim zobaczyć... I po święcie zawsze brał mnie do swego majątku, żebym u niego trochę pogościł. Kiedy dowiedziałem się, że umarł, przez dwa miesiące nie mogłem śpiewać... Potem zniknęli jego synowie i ich matka, szlachetna Enora... A książe, który tak wiele mu zawdzięczał, zapomniał natychmiast o swym wiernym słudze, zabawiając się z tym przeklętym Ferdinem... Teraz Ferdin został panem Redbornu, i czuje moje serce, że pomógł on przenieść się staremu baronowi na Szare Równiny. Jak również jego rodzinie... – Zamilkł, wpatrując się przed siebie nieruchomym wzrokiem.

– A więc i ty chcesz wyrównać swoje rachunki z nowym baronem Redbornu – rozległ się głos za jego plecami i księżna podeszła do stołu.

Usiadła w swoim fotelu i dała Conanowi znak, żeby nappełnił kubki.

– Ja też pragnę jego śmierci! Tylko ona może przywrócić księciu rozum, który utracił przez tego demona... – Księżna chciała mówić dalej, ale nagle jakby podmuch wiatru przeszedł przez izbę. Języczki płomieni zachybały, nieomal zgasły, ściany rozsunęły się, znikając w gęstej mgle. I w ciszy, która zapadła, rozległ się cichy, schrypnięty kobiecy głos:

– Kłębek nienawiści nawija się, nawija... Spotkanie, zwiastujące śmierć... Oni będą ze sobą walczyć... Płomień wszystko pochłania, wszystko zabiera... Zapanuje spokój, a książe odzyska rozum...

Jasno rozbłysły lampy, ściany powróciły na swoje miejsce. Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu, aż wreszcie Conan zapytał:

– Czyj to był głos? Wydaje mi się, że już go słyszałem kiedyś, chyba całkiem niedawno, we śnie...

– To jej lekarstwo uratowało ci życie. Ona też chce śmierci Ferdina, tak jak i my wszyscy. Tylko ty możesz rozciąć ten węzeł losu, Conanie! Zabij go i przywieź mi miecz ze znakiem Mitry! – Księżna zerwała się na nogi i, pochylona nad stołem, wbiła pociemniałe oczy w twarz Cymmerianina. Jej palce zacisnęły się, jakby trzymała w dłoni niewidzialny sztylet, odepchnęła fotel i szybko poszła w stronę drzwi.

– Zabiję go, przysięgam na Kroma, albo sam zginę! – Conan wstał i przeszedł się po izbie. – Wkrótce już ranek, czas ruszać w drogę. A więc jedziemy razem. No cóż, dobry towarzysz podróży bywa niezastąpiony.

Mistrz Klars zawinął w połę płaszcza ułamaną klingę i rękojeść miecza. Gdy skierował się do drzwi, w ślad za nim podążył Biorri.

Na progu czekał na nich ten sam przewodnik w czarnym płaszczu. Szli do wyjścia niekończącymi się schodami i korytarzami, ale teraz już się nie spieszyli.

Conan jako ostatni opuścił izbę, cicho zamykając za sobą drzwi. Zaledwie zrobił w ciemnościach kilka kroków, gdy usłyszał za sobą szelest sukni i poczuł na ramionach gorące ręce. Odwrócił się i przytulił do siebie płaczącą Lawinię, łagodnymi pocałunkami osuszył jej oczy. Księżna po raz ostatni chciwie wpiła się w jego usta i wyrwała się, popychając go w stronę wyjścia:

– Idź! I niech się spełni wola Mitry! A potem wróc tu, będę na ciebie czekała!

– Przysięgam, że go zabiję! – Powiedziawszy to, Cymmerianin szybko ruszył ciemnym korytarzem, by dogonić Klarsa i Biorriego.

XIV

Wczesnym rankiem na ulicy Płatnerzy skrzypnęła brama i wyjechali z niej dwaj jeźdźcy w podróżnych płaszczach. Pomachali rękoma na pożegnanie gospodarzowi domu i wolno ruszyli w stronę Placu Mitry. W słabym świetle budzącego się dnia plac wydawał się ogromny. Górowała nad nim bryła świątyni, której półkolisty mur ciągnął się wzdłuż ulicy prowadzącej do rogatek miasta.

Kopyta głośno postukiwały o kamienie, a od czasu do czasu słyhać też było turkot kół wozów. To mieszkańcy okolicznych wsi, którzy po święcie zatrzymali się w mieście, wracali teraz do domów.

Kiedy jeźdźcy podjechali do murów miasta, czekało tam już kilka krytych wozów. Strażnicy, rozmawiając ze sobą schrypniętymi głosami, otwierali barmę. Kopyta koni i koła wozów zadudniły dźwięcznie na deskach opuszczonego mostu. Szeroka droga wśród uprzątniętych pól prowadziła teraz prosto w stronę rzeki.

Jeźdźcy z łatwością wyprzedzili wolno toczące się wozy i puściwszy konie kłusem szybko dojechali do pierwszego rozstaju dróg. Brukowana droga schodziła w dół w stronę mostu, a druga, porośnięta na poboczach łopianami i piołunem, skręcała w prawo, wijąc się wzdłuż rzeki.

– Tędy powinniśmy jechać, przyjacielu Conanie – powiedział Rudy Biorri, skręcając z wyłożonej gładkimi kamieniami Drogi Kró-

lewskiej. Przed nimi, od strony wschodniej, zaróżowiły się już obłoki, a ostatnia poranna gwiazda słabo mrugała na południu.

Zobaczyli solidne domy podmiejskich wsi, z daleka dobiegał ryk krów, beczenie owiec i nawoływanie pasterzy, pędzących stado. Podróżni zatrzymali się, żeby przepuścić do rzeki spragnione zwierzęta.

Conan jechał szeroką ulicą bogatej wsi, nie rozglądając się na boki. Gdy znaleźli się w polu, popędził konia. Biorri starał się nie pozostać w tyle, ale widać było, że taka jazda nie sprawia mu przyjemności.

– Ej, Cymmerianie, pohamuj się trochę! – powiedział wreszcie, kiedy Conan kolejny raz spał swego konia. – Redborn z pewnością na nas poczeka, a i ten łotr nie ucieknie! Jeśli nie masz nade mną litości, to przynajmniej ulituj się nad cienkonogą Zoldą! No, wreszcie! Tak można jechać, bo już bałem się, że wytrzęsiesz ze mnie całe śniadanie.

Conan po raz pierwszy tego ranka uśmiechnął się, spojrzawszy na swego nie tracącego ducha towarzysza podróży. Rudy Biorri, z łukiem na plecach, który wepchnął mu mistrz Klars, z hełmem i tarczą Conana, umocowanymi do siodła, odziany w nowiutką koleczugę, wyglądał jak prawdziwy giermek.

Konie szły teraz spokojnie obok siebie i Cymmerianin, wdychając chłodne poranne powietrze, potrząsnął głową, by odpędzić ponure myśli. Faktycznie, ma rację ten wesołek Biorri: czekają ich jeszcze dwa dni drogi i nie ma sensu rozpalać w sobie gniewu. Jak dojdzie do walki, pojawi się również złość: utajona do tej chwili głęboko w piersi, wybuchnie niszczącym wroga płomieniem.

Biorri co jakiś czas popatrywał na Cymmerianina. Miał wrażenie, że na karym koniu jedzie teraz obok niego całkiem inny człowiek, nie ten, z którym zaledwie przed kilkoma dniami w szynku Starego Lisa śmiał się z niewybrednych żartów przyjaciół, nie ten, który wystukiwał dłonią takt na blacie stołu, słuchając jego pieśni u mistrza Klarsa. Niebieskie oczy Conana gorzały ponurym ogniem, mocno zaciśnięte usta jakby na zawsze zapomniały o uśmiechu, i cały czas rwał się do przodu, nie mogąc znieść tak wolnej jazdy... Chyba nigdy jeszcze Ferndin nie miał takiego wroga!

Głośny furkot skrzydeł odwrócił uwagę Biorriego od tych myśli. Mimo woli schwycił łuk, odprowadzając wzrokiem przelatującą kaczki.

– Tutaj obok jest takie jezioro, gdzie zaraz coś upolujemy!

Conan jednak niechętnie pokręcił głową:

– Po co nam to potrzebne? Zapomniałeś, ile wszystkiego dał Klars? Popatrz, Zolda aż się ugina pod ciężarem tych worków i flaszek. W porównaniu z tym moja tarcza po prostu nic nie waży.

Biorri poweselał na wspomnienie pękających flaszek z winem, ostatni raz z żalem spojrzął za kaczkami i znów zarzucił łuk na plecy.

Stara, zarośnięta trawą droga wiła się między rzadkimi zagajnikami z bogatymi w dzikie ptactwo jeziorcami.

– Baron Diss zawsze skręcał z drogi, żeby jego synowie mogli tutaj zapolować. Co prawda, są to tereny księcia, ale staremu baronowi Orgeld zawsze pozwalał trochę postraszyć kaczki, których wcale od tego nie było mniej...

Biorri zamilkł, jakby czekając, co powie na to Conan, ale on, nie zwracając uwagi na stada kaczek, ze świstem przelatujące nad głową, jechał w milczeniu, patrząc tylko przed siebie. Biorri ciężko westchnął i kontynuował tę konwersację z samym sobą:

– No tak... Ale potem, kiedy podano te kaczki upieczone, z chrupiącą skórką, we wspomniałem sosie, albo pierogi z nadzieniem z mięsa kaczek, można było zapomnieć o wszystkim... oczywiście oprócz kubka...

– Słuchaj, Biorri, od twojej gadaniny nawet nieboszczyk sięgnąłby po kubek i zapytałby: „A gdzie pieróg z kaczek?” – Conan rozchmurzył się, odwrócił i z uśmiechem spojrzął na swego towarzysza. – Widzę, że poczułeś głód i marzysz o tym, żeby spocząć na trawce. Uważam jednak, że jeszcze za wcześnie na obiad. Gdzie twój stary baron robił pierwszy postój?

Biorri westchnął, spoglądając na słońce, które nie doszło jeszcze do zenitu, i odparł ze smutkiem:

– Zatrzymaliśmy się w lesie... Zaraz skończą się te bagna, wyjedziemy na suche tereny i zobaczymy las na horyzoncie...

– A więc pocierp jeszcze trochę. Tak, taką drogą można jechać tylko latem – patrz, nawet teraz ziemia mlaska pod kopytami. A co będzie jesienią?

– Jest jeszcze inna droga, sucha, omijająca błota, ale to dodatkowy dzień jazdy. Słyszałem o niej, ale nigdy się tam nie wybrałem. O, już się kończą zarośla, teraz będzie bardziej sucho.

I rzeczywiście, droga zaczęła wspiąć się pod górę, ziemia pod kopytami już nie mlaskała, pozostały w tyle wierzby i niskie krzaki – wjechali na równinę, porośniętą wysokimi trawami. Gdzieniegdzie rosły drzewa z szeroko rozłożonymi grubymi konarami. Omi-

nąwszy niewysokie wzgórze, podróżni zobaczyli wreszcie w dali niebieską linię lasu. Jednak droga przy pochylonym kamiennym słupie rozdzielała się na dwie nitki, biegnące w różne strony.

– No i gdzie mamy teraz jechać – na prawo, czy na lewo? – Conan z uśmiechem spojrzął na Biorriego, który pieszcotliwie głaskał swój ukochany bukłak.

– Na lewo, przyjacielu Conanie, tylko na lewo! Niegdyś droga ta była wąską ścieżką, po której przejechali przodkowie barona Disa, żeby zbudować swe rodowe gniazdo. Szeroką drogę na prawo postanowili ominąć. Sami po niej nie jeździli i swym potomkom zabronili nawet patrzeć w tamtą stronę.

– Tak? A ja bym właśnie tam skręcił... Może mylisz się i właśnie tamta droga prowadzi do Redbornu? Zazwyczaj instynkt mnie nie zawodzi.

– Taki zuch, jak ty, któremu nawet śmierć nie jest straszna, oczywiście mógłby zaryzykować, ale sędzę, że lepiej najpierw skończyć jedną sprawę, a dopiero potem brać się za drugą... Baron Ferndin ucieszyłby się tylko, gdyby mu powiedziano, dokąd udał się jego wróg!

– Dokąd więc prowadzi ta droga? Popatrz, jaka udeptana, a ty mówisz, że nikt po niej nie jeździ...

– Dobrze, posłuchaj, co mi kiedyś powiedział przy winie starszy syn barona, bo inaczej ciągle będziesz zerkał w tamtą stronę... Tę opowieść przekazuje się z pokolenia na pokolenie i żaden z baronów Redbornu, zgodnie ze złożoną przysięgą, nigdy nie jeździł przekłętą drogą...

– Przekłętą? A któż ją przeklął? Powiedz to w końcu!

– A więc tak... I nie przerywaj mi, bo już nie pamiętam, na czym skończyłem...

– Jak zostawisz w spokoju bukłak, od razu sobie przypomnisz. Jeszcze nic nie powiedziałeś, a już się zaczynasz plątać! Nie, Biorri, nie poznaję ciebie!

– Przecież mówię – to przekłeta droga, ciągle jednak zwodzi podróżnych, szczególnie ludzi prostych, którzy usłyszeli o leżących tam, przez nikogo nie strzeżonych skarbach. Aha, i ciebie to zainteresowało, Cymmerianinie, widzę, jak ci oczy rozbłysły! Tak więc tam, daleko w głębi lasów, jest wielka polana, do której można dotrzeć wyłącznie tą drogą. A na środku polany – pomyśl sobie tylko! – gładka kamienna posadzka, jak w pałacu, ozdobiona różnymi deseniami. Po bokach ogrodzona jest niewysokim murem z czarne-

go kamienia i leży na niej cały stos błyszczących drogocennych rzeczy. Rubiny, szafiry, szmaragdy, naszyjniki z pereł, jak zwinięte w kłębek żmije. Ale to czarodziejski skarb: żadna trawka nie rośnie na tej polanie, ani jedna kropla wody nie kapnie tu, kiedy padają deszcze. A zimą, podczas ciemnych, długich nocy, skarb błyszczy, oświetlając swym blaskiem pokryte śniegiem drzewa... Znowu chcesz przetrwać? Daj mi skończyć, bo zbijesz mnie z pantałyku! To nie są zwykłe kamienie, lecz niegdyś żywi ludzie. Wystarczy przeleźć przez mur i dotknąć skarbu, żeby samemu zamienić się w drogocenny kamień, piękny naszyjnik lub złotą obręcz z diamentami...

– Ciekawe... A więc nikt teraz tam nie chodzi?

– Chodzą i nie wracają! Powinieneś się cieszyć, że tarfił ci się taki towarzysz podróży, jak Rudy Biorri! Bo inaczej gnałbyś już tam na złamanie karku... Ech, Conanie, widzę, że gotów jesteś zapomnieć i o Ferdynie, i o pani Lawinii, której zawdzięczasz życie, i o całym swoim gniewie! – Biorri rozzłościł się nie na żarty, widząc, z jakim żalem Conan spogląda na znikającą w dali tajemniczą drogę.

– Nie znasz mnie jeszcze, przyjacielu! Nie zdarzyło się, by Cymmerianin zapomniał o zemście! Lepiej popatrz na siebie: baron Diss, och, jak go kochałem – a sam najchętniej pobiegłbyś za kaczkami przy pierwszym napotkanym bagnie! No dobrze, nie bocz się, zapomnijmy o tym wszystkim. I nie pozostawaj w tyle, bo już niedaleko do lasu. Trzeba sprawdzić, co napakowali nam do juków chłopcy mistrza Klarsa. – Barbarzyńca uderzył piętami konia i nie oglądając się pogalopował w stronę lasu, który wyrósł przed nimi, tworząc nieprzenikloną ciemną ścianę.

Na skraju wśród zdeptanej trawy widać było ślady niedawnego biwakowania: resztki ognisk, ogryzione kości kaczek, chrust... Rozumiejąc się bez słów, Conan i Biorri minęli to miejsce i zatrzymali się koło niewysokiej, krzywej sosny, samotnie stojącej z dala od drogi. Zdjąwszy z koni derki, usiedli pod drzewem, nie rozpalając ogniska.

Było już południe i słońce piekło jak w środku lata. Podróźni z rozkoszą pozbyli się płaszczy.

Biorri zdjął również kolczugę i, odetchnąwszy z ulgą, rzucił ją na leżący na ziemi płaszcz.

– Aleś mi dogodził, stary Klarsie! – powiedział. – Nigdy nie nosiłem takiego żelastwa i, jeśli Mitra pozwoli, również teraz nie zamierzam tego czynić. Nałożyłem kolczugę tylko dlatego, żeby nie obrazić przyjaciela, i zaraz zapakuję ją do jakiegoś pustego worka.

– Czyżbyś znów zapomniał, dokąd jedziesz? Widocznie mistrz Klars lepiej zna od ciebie życie, chociaż tak włóczysz się po świecie... Jak tylko odpoczniemy, grzecznie nałożysz kolczugę, bo inaczej wszystkie bukłaki z winem zawieszę u swego siodła. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, rozumiałem! Nie mogę się uskarżać, bo sam się tu napraszałem. No to zobaczmy, co tam mamy w tym worku. Popatrz tylko, zaopatrzyli nas na drogę jak jakichś baronów! – I Biorri rozłożył na trawie wielki haftowany obrus. Potem wyjął chleb, ser, mięso na zimno, przyprawy w maleńkich podróżnych buteleczkach i nawet dwa połączone kubki. – Będziemy pić jak szlachetni ryccze. Dobrze, Klars, wybaczam ci tę kolczugę i piję za twoje zdrowie!

Kiedy dobrze sobie podjedli, znurzony Biorri położył się na ciepłej ziemi i zamknął oczy. Conan żuł jeszcze wolno rumianą skórkę chleba, popatrując na słońce przez przedziwne poplątane gałęzie. Opróżniwszy ostatni kubek, zawiązał wszystko, co zostało, w obrus i zapakował z powrotem do juków.

Biorri przez przymknięte powieki z uśmiechem obserwował Cymmerianina. Podobało mu się to jego niepohamowane dążenie do celu – wtedy, gdy walczył na turnieju, marzył o zdobyciu skarbów, tropił nienawistnego wroga... No, oczywiście, już przytroczył do siodła worek i bukłak, nałożył płaszcz i gotów jest do drogi... Biorri szczerzej zamknął powieki i zaczął lekko chrapać.

– Ruszaj się, czas wstawać! Przecież i tak nie śpisz. Widziałem, jak obserwowałaś mnie tymi swoimi chytrymi oczkami. Wyśpisz się w nocy, a teraz – w drogę! – I Biorri zerwał się, ledwie zdążywszy złapać rzuconą mu kolczugę.

Wkrótce las zamknął nad nimi swe ciężkie gałęzie, zamiast upału poczuli teraz wilgotny chłód i zapach żywicy. Wysokie paprocie, sięgające koniom do kolan, pochylały nad drogą jasne liście. Drzewa, splecione w górze rozłożystymi koronami, tworzyły ciemny korytarz, niemal nie przepuszczając światła słonecznego.

W milczeniu jechali wąską drogą, oczarowni głuchą ciszą gęstego lasu. Czas jak gdyby się zatrzymał, trudno było wyczuć, czy to jeszcze dzień, czy nastał już wieczór.

Kiedy zrobiło się tak ciemno, że drzewa po bokach zwały się ze sobą, tworząc jednolity mur, Biorri ożył:

– Patrz na prawo, Conanie, gdzieś tutaj na grubej sośnie powinien być znak. Gdy ujrzysz trzy szerokie nacięcia, będzie to znaczy-

ło, że dojeżdżamy do Polany Granicznej. To początek posiadłości barona, dalej ciągną się już lasy, należące do Dissa...

– Czy mówiłeś o tych nacięciach? – Conan zatrzymał się koło starego drzewa z pniem oszpeconym trzema głębokimi ranami, z których obficie sączyła się gęsta żywica.

– Wygląda na to, że nowy baron zaczął już robić porządku w pobliżu swoich włości! No, jedziemy!

W gęstym mroku cichy las nagle ożył: zachichotał puchacz, a w oddali, jak echo, rozległ się krzyk jakiegoś nocnego ptaka. Koń Cymmerianina spokojnie szedł naprzód, a i sam barbarzyńca, czujnie przysłuchując się odgłosom nocnego lasu, nie zauważył nic podejrzanego. Jednakże Biorriemu cały czas zdawało się, że za jego plecami w krzakach coś szeleści, jakby jakiś zwierz skradał się ich śladem. Ale rzecz dziwna: Zolda, jego wierna Zolda, wyczuwająca zawsze niebezpieczeństwo lepiej od swego niefrasobliwego pana, szła spokojnie za karym koniem Conana, jakby nie słysząc tych podejrzanych szmerów... Kilka razy Rudy Biorri miał wrażenie, że w zaroślach zaświeciły się zielone ogniki zwierzęcych oczu, i dopiero kiedy drżącą ręką namacał wiszący u pasa sztylet, nieco nabrał ducha.

Nagle Conan zatrzymał konia i ledwie dosłyszalnie szepnął:

– Popatrz, Rudy, nie jesteśmy sami w tym lesie! Kogo jeszcze Nargal niesie tą drogą? Dobrze, zaraz się przekonamy. Nie zostawaj w tyle! – Powiedziawszy to, wolno ruszył naprzód, nie spuszczać oczu z migających za drzewami odblasków ogniska.

Wolno wyjechali na skraj ogromnej polany i stanęli, przyglądając się. To, co z daleka wzięli za wielkie ognisko, okazało się małą kupką płonącego chrustu. Widać było, że za chwilę ogień całkiem zgaśnie, strzelając ostatnimi iskrami. Obok ogniska, chcąc się rozgrzać, przycupnęła skulona ciemna postać.

Księżyc, słabo widoczny przez prześwity w szybko pędzących obłokach, pozwolił podróżnym stwierdzić, że na polanie nikogo więcej nie ma.

Gdy podjechali bliżej, zobaczyli starą kobietę z prostymi kosmykami siwych włosów. Wydostawały się one spod nakrycia głowy, które mogło kiedyś należeć do wielkiej damy, i zwisały wzdłuż zapadłych policzków. Suknia, brunatna w niepewnym świetle ogniska, była wytarta i zmięta, ze śladami częstych noclegów w lesie. Kobieta siedziała przy gasnącym ognisku, ściskając kolana chudymi rękami. Nawet nie odwróciła głowy na odgłos kroków.

Conan zsiadł z konia, zdjął derkę i rozluźnił popręg. Dopóki Biorri zajmował się swą kobyłą, Cymmerianin wziął podróżną siekierę, przeszedł się wokół polany i uzbierał całe naręcze chrustu. Porąbał też kilka grubych gałęzi. Wkrótce ognisko zapłonęło wesoło. Usiedli przy nim, a kobieta po raz pierwszy podniosła głowę i spojrzała w ich stronę.

Wymizerowana twarz z zapadłymi policzkami i cienkimi, bezkrwistymi ustami mogłaby się wydawać całkiem bez życia, gdyby nie oczy – bystre i gorące jak węgle z ogniska. Kobieta popatrzyła na nich i znowu zamarła, jak zauroczona spoglądając w ogień.

Kiedy jednak Biorri zaczął wypakowywać z worka zapasy przeznaczone na kolację, kobieta znowu zwróciła się w ich stronę, obserwując gorejącymi oczami, jak na haftowanym obrusie rośnie góra jądła.

Conan przyniósł jeszcze suchych gałęzi, rzucił je obok ogniska, zerknął na chudą sakwę staruszki i powiedział cicho:

– Siadź, matko, bliżej, zapraszamy na kolację. Twój ogień – nasz poczęstunek. Siadaj, siadaj, noc długa, a droga jeszcze dłuższa.

Nie dając się długo prosić, kobieta uśmiechnęła się z wdzięcznością, pokazując całkiem dobre zęby. Od razu też znikł ponury blask jej czarnych oczu, a cała twarz złagodniała i jakby stała się młodsza.

Biorri podsunął jej pełny kubek, a sam jak zwykle przypiął się do podróżnego bukłaka. Staruszka wyciągnęła drżącą rękę po pajdę chleba, wzięła wielki kawałek pieczonego mięsa i chciwie zaczęła jeść. Chyba nieczęsto zdarzała się jej taka okazja.

Conan pił wino kubek za kubkiem, przeżuwał mięso i rozmyślał o czymś, nie odrywając wzroku od ognia. Biorri nie mógł znieść tej leśnej ciszy, zakłócającej jedynie potrzaskiwaniem palących się gałązek.

– Dokąd to wędrujesz, kobieto? – zapytał. – Powinnaś siedzieć w domu i niańczyć wnuki, a nie łązić po tych głuchych lasach, i do tego jeszcze z pustą sakwą! Doczekasz się, że ktoś cię samą zje na kolację, takie to są strony...

Na twarzy staruszki znów pojawił się młody uśmiech. Pokręciła głową i odpowiedziała nieoczekiwanie miękkiem głosem:

– W tych lasach nie ruszy mnie żadne zwierzę. Znam tu każdą ścieżkę. A wędruję tak jak wy do Redbornu. Dziękuję, że nakarmiliście mnie, teraz łatwiej będzie iść.

– A skąd wiesz, że zmierzamy do Redbornu? – Biorri przestał jeść i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Kobieta odchyliła się do tyłu i nagle wybuchnęła tak wesołym śmiechem, że Conan podniósł głowę i mimo woli też się uśmiechnął.

– Przecież jest tu tylko jedna droga i prowadzi właśnie do Redbornu!

– Ależ bałwan ze mnie! Tak, Conanie, twój współtowarzysz podróży nie zawsze może zaimponować rozumem, ale cóż na to poradzę?

– Nie udawaj prostaka. Kiedy trzeba, rozumiesz nie gorzej od książęcych doradców. Należ mi jeszcze, bo już całkiem przywłaszczyles sobie ten bukłak, nawet sięgnąć do niego nie mogę.

Conan napił się i zapytał:

– Jak się nazywasz, matko?

– Mergit... Tak mnie nazywaj, Cymmerianinie...

– No więc nalez też Mergit, mój doradco, mianowany teraz podczaszym. I zostaw już ten bukłak, bo wina nie starczy nam nawet na pół nocy!

Mergit, napiwszy się wina, zapytała:

– Po co jedziecie do Redbornu?

Conan zazgrzytał zębami i powiedział:

– Mamy tam sprawę... Ważną sprawę do nowego pana włości, barona Ferndina.

Biorri splunawszy potwierdził:

– Tak, musimy się z nim zobaczyć, i to jak najszybciej!

Gdy wspomnieli o baronie Ferdynie, kobieta gwałtownie odstawiła kubek, a w jej oczach, spoglądających gdzieś ponad ich głowami, błysnął gniew. I w tym samym momencie z głębi lasu, to narastając, to niemal całkiem cichnąc, doleciało wycie wilczej zgrai.

Podejrzliwie spojrzawszy na kobietę, która znów zaczęła jeść, Conan przysunął bliżej do siebie grubą, długą gałąź. Biorri zadrżał, nieomal upuszczając w ogień opróżniony do połowy bukłak.

Mergit, jakby nic się nie stało, znów zaczęła mówić:

– Wracam z Menory, bo miałam wielką ochotę popatrzeć na świąteczne obchody... Tym bardziej że w Redbornie jest teraz tak cicho i smutno bez gospodarza... bez barona Dissa... Czy znaliście barona i jego dzieci? – zapytała, spoglądając bacznie w oczy Rudemu Biorriemu.

– Tak... znałem go i nawet gościłem u niego kiedyś... Wszyscy umarli nagle w tak tajemniczy sposób...

Staruszka gorzko się zaśmiała i pokiwała głową:

– Masz rację – nagle i w tajemniczy sposób... Ale ja wiem, dlaczego odeszli na Szare Równiny! – Odwróciła się i znów zamarała bez ruchu, wpatrując się w ciemności nocnego lasu.

Conan podniósł głowę, jakby ocknąwszy się z głębokiego snu, sprężył, niczym zwierzę gotowe do skoku, ostrożnie dotknął jej ramienia i powiedział:

– Opowiedz, co się tam wydarzyło. Koniecznie muszę wiedzieć, w jaki sposób umarł stary Diss i gdzie się podziała jego rodzina... Czy wszyscy zostali zabici? Kto ich zamordował? Powiedz, jeśli wiesz!

Mergit strząsnęła z ramienia rękę Cymmerianina i głuchym głosem odparła:

– Opowiadać o czymś takim w nocy, to tylko niepokoić duchy Ciemności! Jeśli jednak koniecznie chcesz, opowiem w dzień. Pod jednym warunkiem: pomożesz mi dotrzeć do Redbornu. Masz takiego rumaka, że nie zauważy nawet dodatkowego ciężaru. W innym razie mogę wyciągnąć nogi gdzieś w lesie i nikt mnie nawet nie pochowa...

– To dlaczego powędrowałaś do miasta? – Biorri, nie zdając sobie z tego sprawy, kończył już jeść trzeci kawałek mięsa i ciągle z lękiem zerkał na dziwną staruszkę. A ona nagle gwałtownie odwróciła się do Cymmerianina i patrząc na niego pałającymi z gniewu oczyma, zaśmiała się chrapliwie:

– Dlatego, że bardzo chciałam zobaczyć, jak przeklętego Ferdina zrzucą z siodła na turnieju..., a może nawet przeszyją mu mieczem gardło!

Conan zakasłał zaskoczony jej słowami, a Biorri zadrżał, zapominając zamknąć usta. Nagle wytrzeszczył szeroko oczy i szcękając ze strachu zębami schwycił sękaty kij, który przygotował sobie na wszelki wypadek: na polanie, jak spod ziemi, pojawiło się siedem czarnych cieni, bezszelestnie zbliżających się do ogniska. Conan zerwał się, schwycił miecz i krzyknął do Rudego Biorriego:

– Weź głównię i odpędzaj je od ogniska, a ja zaraz się z nimi rozprawię...

– S-s-słuchaj, Co-o-onanie, przecież to nie wilki! – Biorri, ciągle dzwoniąc zębami, zauważył, że te zwierzęta wcale nie zwracają na nich uwagi i bez lęku podchodzą do ognia.

– Rzeczywiście, to psy! Tfu, zgiń, przepadnij! Skąd się wzięły w nocy w tym głuchym lesie?

Psy podeszły bliżej i spoglądając na ludzi mądrymi oczyma ułożyły się wokół ogniska. Były to ogromne, czarne pasterskie psy, z których każdy mógł bez trudu rozprawić się z wilkiem.

Konie, przywiązane niedaleko od ogniska, nie zwracały na nie żadnej uwagi: spokojnie parskając i podzwaniając trzylami szczypały trawę, od czasu do czasu przestępując z nogi na nogę.

Śmiech staruszki wyrwał ich obu z osłupienia.

– Nie bójcie się, moje pieski są łagodne, jeśli nic mi nie zagraża! Dlatego mogę śmiało sama chodzić po lesie, tylko sił już brak...

– No, Mergit, jeszcze nigdy nie spotkałem takiej niesamowitej kobiety! – Conan schował miecz do pochwy. – Dobrze, podwiozę cię do Redbornu, ale opowiesz mi wszystko o starym Dissie. I o Ferdinie, bo zdaje mi się, że wiesz coś o nim. Prawda?

Bez słowa skinęła głową, wzięła leżący z tyłu na trawie płaszcz, rozesała go koło ogniska, zakryła się z głowa i ucichła. Biorri ułożył się jak najdalej od psów, bliżej koni, i też wkrótce zasnął. Conan owinał się w płaszcz i oparty plecami o drzewo znieruchomiał, spoglądając w ogień.

Psy leżały spokojnie z ciężkimi pyskami na wyciągniętych łapach. Potrzaskiwał ogień, pochłaniając nową partię gałęzi, i w ciemności polany co jakiś czas rozbłyskiwały zielone punkciki psich oczu.

XV

– Ciekawe, kim ona była na zamku? Mamką? Niańką? Służącą? Dziwna staruszka... Z pewnością po tych wszystkich przejściach trochę przestawiło jej się w głowie – posłuchaj tylko, jak rozmawia ze swymi psami. – Conan kiwnął głową w stronę Mergit.

Skoro tylko wjechali na wielką leśną polanę, Mergit zręcznie zeskoczyła z konia i nie zwracając uwagi na swych towarzyszy pod róży odeszła na bok, omijając czerniejący na mchu ślad po ognisku. Psy natychmiast wyskoczyły z zarośli i ze skowytami zaczęły biegać wokół swej pani. Siedząc na ziemi i śmiejąc się cicho, Mergit bawiła się teraz z nimi jak z małąkimi szczeniaczkami: ciągnęła je za uszy, poszturchiwała, mówiła coś cicho, zwracając się do każdego po imieniu.

Psy, odpychając jeden drugiego, włożyły jej pod ręce, przewracały się na plecy, zadzierały w górę łapy i uśmiechały się, szczerząc zęby w strasznych paszczach.

– Nie, Conanie, to jakieś nieczyste sprawy... Skąd ona to wszystko wie? – z niepokojem szepnął Biorri, wytrząsając zapasy z ostat-

niego worka. – Można pomyśleć, że stała obok... Ale sam pomyśl, musiałyby potem iść za nimi krok w krok tak, żeby nikt jej nie zauważył. Nie mogę tego pojąć. A ten jej wzrok, kiedy o tym opowiadała... Aż dreszcze czułem na całym ciele, miałem wrażenie, że zaraz skoczy do gardła jak wściekła wilczyca! I jeszcze coś... Jakbym ją już kiedyś widział w zamku starego barona... Nie, nie przypominę sobie...

Conan, jednym uchem słuchając jego słów, nie mógł oderwać oczu od ogromnych czarnych psów, baraszkujących na szarym mchu. Cienkie ręce starej kobiety podobne były do gałązek chrustu, kiedy wkładała je w szkarłatne psie pyski, zdolne przegryźć żartem nie tylko słabą kobiecą rękę, ale równie dobrze nadgarstek wielkiego, silnego mężczyzny.

– Cieszysz się, Goci, że wracasz do domu? Ja też jestem z tego rada... A ty, Ojris, tylko byś się bawił! No, chodź tu, chodź, mój mały! I nie pchajcie się, wszystkich popieszczę, o żadnym nie zapomnę... A ty, zbójcu, jak zawsze musisz być pierwszy? Myślisz, że skoro jesteś najmłodszy, wszystko ci wolno? No dobrze, nie odwracaj głowy, połóż mi ją na kolanach! O, tak...

Biorri chciał coś powiedzieć, ale nagle zamarł z ręką zanurzoną głęboko w worku. Jego usta coś bezdźwięcznie szeptały, gdy wpatrywał się w staruszkę.

Uśmiechając się do swoich myśli, Conan zabrał Biorriemu worek i zawołał:

– Chodź, Mergit, zjemy ten ostatni raz, żeby przyjechać do Redbornu z pustymi jukami. Mówisz, że pod wieczór będziemy już we wsi?

Mergit ostrożnie zdjęła z kolan ciężką psią głowę i podeszła do nich.

– Tak, Cymmerianinie, nawet jeszcze nie zdąży się ściemnić... Mieszkam teraz nie w zamku, lecz w maleńkiej chatynce na skraj wsi. Jeśli nie obawiacie się, że całkiem postradałam zmysły – mówiąc to, uśmiechnęła się i spojrzała na Biorriego – przenocujcie u mnie, a raniem pójdziecie do nowego barona, skoro macie do niego tak ważną sprawę.

Usiadła naprzeciw Conana i sięgnęła po chleb. Teraz, kiedy na jej twarz padały promienie słońca, Mergit wyglądała całkiem inaczej niż w nocy, a nawet wczesnym rankiem. Zmarszczki na jej policzkach zniknęły, a cienkie wargi z lekka poróżowiały. Kiedyś musiała być bardzo piękna – dumny wyraz twarzy, orli nos, wysokie czoło... Biorri, w zadumie przyciskając do piersi bukłak, patrzył na

Mergit, nie odrywając od niej wzroku, i tylko potrząsał głową, jakby usiłując coś sobie przypomnieć.

Conan zjadł kawałek sera, popił winem i zapakował resztę jedzenia do worka. Rzucił go Rudemu Biorriemu i odwiązał karego konia, zamierzając wskoczyć na siodło. Psy wolno podnosiły się, przeciągając i ziewając, a potem jeden za drugim znikły bezszelestnie za pniami wielkich drzew.

Staruszka, która najwyraźniej nie po raz pierwszy podróżowała w ten sposób, uchwyciła się siodła i stając na podstawioną nogę Cymmerianina lekko wskoczyła na szeroki zad konia.

– Chwała Mitrze, że zesłał mi tak wspaniałych towarzyszy podróży – zaśmiała się zadowolona. – Możecie być pewni, że stara Mergit potrafi się odwdziżyć za okazane jej serce.

Konie szły żwawo wąską drogą i każdy krok przybliżał podróżnych do celu. Kołyszac się w siodle i mimo woli popędzając karego, Conan wspominał dzisiejszy poranek. Ochrypli z bezsilnej nienawiści głos staruszki, która siedziała teraz z tyłu cichutko jak myszka, ciągle jeszcze dźwięczał w jego uszach. I czuł, jak rozpała się w jego piersi płomień nieuniknionej zemsty. Tak jak rzeka na początku drogi wchłania w siebie maleńkie strumyki i potoki, niosąc do morza coraz więcej wody, podobnie też i jego nienawiść, łącząc się ze strumyczkami cudzego gniewu, gnała naprzód i nie sposób już było zawrócić z tej drogi.

Nad ranem Conan zdrzemnął się przy wygasłym ognisku. Kiedy otworzył oczy, zobaczył okutaną w podarty płaszcz Mergit, która siedziała w oddali, otoczona przez swoje psy. Jeden z psów, z czujnie uniesioną głową, leżał u samych nóg swej pani, a ona, spoglądając w stronę Cymmerianina, czule głaskała go po karku.

Conan wstał, wzdrygając się od porannego chłodu, i rozprostował zdrętwiałe przez noc członki. Obok, z twarzą zakrytą zmietym płaszczem, spał spokojnie jak dziecko Rudy Biorri. Conan mocno szturchnął go w bok i skierował się w stronę staruszki. Obudzony tak gwałtownie Biorri zerwał się na równe nogi, unosząc nad głową ciężki kij. Rozejrzał się i odetchnął z ulgą:

– Tfu, do licha! To ty mnie szturchnąłeś? Pomyślałem sobie, że w ciemnościach podkradają się te... – Kiwnął kudłatą głową w stronę psów. – I że już wczepiły mi się w bok! No, dzięki Mitrze, noc minęła szczęśliwie!

Narzucił na ramiona płaszcz i poszedł w krzaki za potrzebą, na wszelki wypadek nie wypuszczając z ręki kija. Psy wstały i odeszły

na bok, na sam skraj polany. Tylko jeden, ten, którego pieściła pomarszczona ręka staruszki, leżał w dalszym ciągu u jej stóp, z głową na kolanach swej pani. Conan usiadł obok i spojrzał wyczekująco na Mergit:

– No to mów, co wiesz. A potem ruszymy w drogę.

Biorri, który wrócił ze spaceru całkowicie już rozbudzony, odrzucił kij i poszedł do ogniska po bukłak i kubki. Mergit wypila kilka łyków wina i zagłębiając palce w gęstym, czarnym futrze psa powiedziała:

– Opowiem wam wszystko, i przysięgam na Mitrę, że nie usłyszycie ani słowa kłamstwa! Jeśli jednak któryś z was – spojrzała na nich groźnie – spróbuje mi przerwać lub zada jakieś pytanie, natychmiast wstanę, odejdę i nigdy już mnie nie zobaczycie! A nic gorszego nie mogłoby się wam zdarzyć na tej drodze!

„Ale nas przestraszyła!” – prawie powiedział głośno Rudy Biorri i natychmiast ugryzł się w język, kiedy zobaczył, że Conan spogląda na niego groźnie i zaciska pięści.

– Rok temu, tuż przed świętem Obfitości Mitry, baron Diss odbył niemiłą rozmowę z księciem Orgoldem. I to z jakiego powodu! Przez tego roztaka Ferndina! Postanowił on na jakiś czas opuścić Menorę, a księżę, niczym zakochana kobieta, nieomal chwycił go za poły kaftana, błagając, żeby jednak został... Baron Diss zdenerwował się wówczas nie na żarty i ośmielił się przypomnieć księciu, jaki był on jeszcze niedawno i co się z nim stało z winy tego przybłądy. – Mergit zamilkła, jakby na nowo przeżywając dawne wspomnienia. – Tak więc Ferndin odjechał, księżę zamknął się w swych pokojach, a baron Diss poszedł do przeznaczonej mu sypialni. Długo nie mógł zasnąć, rozmyślając o tym, co też stało się z księciem, którego kochał jak własnego syna... Nagle drzwi, zamknięte od wewnątrz na mocną zasuwę, otworzyły się bezgłośnie i na progu ukazała się postać w ciemnym płaszczu z kapturem. Baron chciał krzyknąć, zawołać służbę, ale język uwiązł mu w gardle.

Podszedłszy bliżej, nieproszony gość zsunął kaptur i Diss zobaczył przed sobą triumfujące oblicze Ferndina! Diss stał i milczał, zniewolony przez niego. Ferndin podszedł bliżej, poklepał barona po policzku, jak uczyniłby to z ładną służącą, i powiedział:

„Pozwalam ci usiąść, stary!”

Baron posłusznie podszedł do fotela, ale usłyszał gniewny okrzyk:

„Siadaj na łóżku, nie chcę, żebyś potem charczał i dusił się w tym fotelu! No, tak już lepiej. Masz, wypij za zdrowie przyszłego barona

Ferdina z Redbornu!” – I wyciągnął spod płaszcza wysoki kubek z winem.

Diss czuł zamęt w duszy, chciał przeszyć mieczem tego łotra, a jednak wyciągnął rękę po kubek.

„Pij, pij, to jeszcze nie śmierć! Śmierć przyjdzie do ciebie później, w zamku Redborn! Nie chcę żadnych plotek w Menorze. Umrzesz spokojnie w swoim majątku, we własnym łóżku. Wszystko odbędzie się, jak należy, obiecuję ci”.

Ze zgrozą słuchając jego słów, baron opróżnił kubek z gorzkosłodkim winem i bezsilnie opadł na poduszki.

„Doskonale! Ziarno nienawiści nie zdążyło jeszcze w pełni wykiełkować w twojej duszy i teraz jesteś mój! Jutro zażadasz, żeby odwieziono cię do Redbornu, i będą to twoje ostatnie słowa. To wszystko, stary, żegnaj, już nie jesteś dla mnie żadną przeszkodą”. – Podszedł do drzwi i zniknął tak samo cicho, jak się pojawił...

Conan, który słuchał Mergit, starając się nie uronić ani słowa, podniósł na nią oczy i otworzył już usta, by coś powiedzieć, ale kuksaniec Biorriego przywołał go do porządku. Nad polaną zapadła cisza.

– Poprzedniego dnia przybyli do Menory synowie barona, zamierzając wziąć udział w turnieju. Rano znaleźli ojca leżącego bez ruchu na zmiętej pościeli. Diss ledwo dosłyszalnie szeptał zbielełymi wargami: „Do domu! Chcę wrócić do Redbornu!” – a po jego policzkach toczyły się wielkie łzy.

Przywieziono go do zamku wieczorem i przez całą noc baronowa Enora nie odstępowała męża. Wpatrywał się w nią uporczywie, jakby się czegoś domagając, wargi mu drgały – chciał coś powiedzieć, ale nie mógł... Dopiero rankiem, kiedy wzeszło słońce, stary baron jak gdyby zerwał więzy kłępujące mu język. I opowiedział wówczas wszystko baronowej. Słyszałam to na własne uszy, ponieważ stałam obok... Tak, tuż obok...

Staruszka znowu zamilkła, spoglądając ze smutkiem na swe psy. Conan i Biorri czekali, kiedy zacznie mówić dalej; Cymmerianin gniewnie zaciskał usta, a Rudy ukradkiem ocierał wilgotne oczy.

– Tego dnia baron Diss umarł – ciągnęła Mergit, nie patrząc na swych słuchaczy, jakby rozmawiała sama ze sobą. – Gdy umarł, jego starszy syn, Digris, chciał natychmiast pędzić do księcia, by opowiedzieć mu o tej zbrodni. Jednak jego matka, baronowa Enora, wyperswadowała mu to. Wiedziała doskonale, jak księżę traktuje swego nowego faworyta, i zdawała sobie sprawę z tego, że to się na nic nie zda.

Dziewięć dni po śmierci barona, kiedy nastała pora pierwszych wypominków, tuż przed wieczorem do bramy zamku dotarł strudzony podróżny na spienionym koniu, mający ze sobą dwóch ciemnoskórych służących...

Głos staruszki zadrżał i zabrakło jej nagle tchu. Biorri nalał jej wina, które wypić chciała.

– Był to niemłody rycerz, chyba rówieśnik barona. Nikt go nigdy przedtem nie widział. Ocierał łzy spływające na siwą brodę i mówił, że kiedyś, dawno temu, znał dobrze barona i walczył z nim ramię w ramię. Zaprowadzono go więc do sali, gdzie przyłączył się do żałobnej ceremonii.

I wówczas zaczęły się dziać w zamku dziwne rzeczy: płomienie lamp przygasaly i znów się rozpały, albo migotały tak, jakby w sali hulały przeciągi, chociaż wszystkie okna były szczelnie zamknięte. Głośno trzaskały ciężkie drzwi, a przestraszeni słudzy, wnoszący jałdo, przysięgali, że deski podłogi i schody skrzypią tak, jakby chodził po nich ktoś wielki i ciężki. Nagle ze zbrojowni dał się słyszeć jęk i szczęk broni...

Kiedy synowie Dissa otworzyli drzwi i oświetlili pochodniami ogromne, mroczne pomieszczenie, zobaczyli, że stary puklerz Redbornu roztraskany został na kawałki, a cała broń leży bezładnie rozrzucona na ziemi... To dusza barona Dissa nie mogąc zaznać spokoju wzywała do zemsty. Baronowa i jej siedmiu synów natychmiast więc, nad szczątkami puklerza, przysięgli, że się zemszą.

Stojący w drzwiach za ich plecami gość zapytał, za co i na kim chcą się mścić. Odpowiedziało mu milczenie. Nikt więcej nie powiedział ani słowa. Wszyscy rozeszli się do swoich pokojów. Nieznajomego również zaprowadzono do pokoju gościnnego.

Słudzy, ciągle jeszcze przysłuchując się każdemu szmerowi, pochowali się po kątach jak przestraszone myszy. Wkrótce w zamku zapadła cisza – niepokojąca, groźna...

Baronowa Enora natychmiast zasnęła twardym snem, ale w środku nocy nagle się ocknęła, jakby ktoś ją obudził. Szybko wstała, ubrała się, wzięła pochodnię i cicho wyszła z sypialni. Mijając puste ciemne komnaty, skręcając w wąskie korytarze, bez wahania kierowała się do zachodniego skrzydła zamku. Zazwyczaj nikt tam nie mieszkał. W tych paradnych komnatach umieszczano tylko księcia, gdy przyjeżdżał z Menory na polowania. Baronowa szła i szła, jakby słyszała przywołujący ją głos, a pochodnia złowieszczo oświetlała ciemne wnętrza pustych galerii.

W jednym z korytarzy ujrzała niewielkie uchylone drzwi. Za nimi zaczynały się strome schody, prowadzące do starej piwnicy na wino, z której nie korzystano co najmniej od stu lat. Zazwyczaj drzwi te były zamknięte, ale teraz bezgłośnie otworzyły się przed nią szeroko. Baronowa, jakby wcale się temu nie dziwiła, zaczęła śmiało schodzić, przytrzymując się przegniłej poręczy. Nagle dostrzegła słabe światło... Kilku ludzi z pochodniami stało w milczeniu, jakby czekając na nią. I oto znalazła się na szerokim podeście, obok swoich synów. Nieco z boku stał ich wczorajszy gość, a za jego plecami ciemniały posągowe sylwetki sług.

Głosem nie znoszącym sprzeciwu, jakby on był tu gospodarzem, nieznajomy rozkazał odsunąć ciężką płytę, zakrywającą wejście do piwnicy. Synowie Dissa, z nieruchomymi jak maski twarzami, bez szemrania spełnili jego polecenie. Wtedy kazał im zejść na dół. Nie patrząc na matkę, zeszli wąskimi schodami do podziemi i umocowali pochodnie w starych stojakach. Po zniszczonych wilgocią ścianach sączyła się woda, czuć było zapach pleśni i zgnilizny. Nikt nie spytał, dlaczego tu przyszli i czemu nieznajomy wydaje im rozkazy jak prostym sługom... Baronowa tak samo bez słowa zeszła w ślad za nimi i stanęła przy drzwiach.

Obok, nieczym wilgotna pieczara, ział otwór jednej z głębokich nisz, w których niegdyś przechowywano ogromne beczki z winem. Na znak dany wzrokiem przez nieznajomego słudzy szybko wbili w ścianę niszy stalowe haki z łańcuchami i zaprowadzili tam milczącą baronową. Chwilę później była już mocno przykuta do ściany, a jej synowie, stojąc obok, przyglądali się temu obojętnie.

Nieznajomy podszedł bliżej, zajrzał jej w oczy i zaśmiał się zło-wieszczo. A potem wyjął z kieszeni kawałek srebrzystej tkaniny i otarł nią twarz. Kiedy opuścił rękę, baronowa ujrzała przed sobą triumfująco uśmiechniętego Ferdina, zabójcę jej męża. W tym momencie Enora ocknęła się, krzycząc straszliwie, zaczęła się szamotać. Jednak stalowe łańcuchy mocno trzymały jej ręce, nie pozwalając ani na krok oderwać się od mokrej ściany...

„Na kim więc chcesz się mścić, stara wiedźmo?! No, zaczynaj, jestem tutaj! A może oczekujesz, że twoi synowie, wierni przysiędze – doprawdy, uśmieć się można! – przyjdą ci na pomoc? – Jego oczy błyszczały w półmroku, wargi drgały w drapieżnym uśmiechu, a ręka wyciągnęła już do połowy z pochwy ciężki miecz. – A teraz patrz, niepokieszona wdowo, jak zniknie z powierzchni ziemi ród starego Dissa! Krzycz, wyj, szarp się – jedynie sprawisz mi tym przy-

jemność! No, ty, najstarszy, chodź do mnie! Pomału, bez pośpiechu, bliżej, jeszcze bliżej! Dobrze! Masz!”. – I miecz wbił się w pierś Digrisa, najstarszego syna barona...

Ferndin odsunął nogą ciało i znów zawołał:

„A teraz ty, Eringu, ulubieńcu starego Dissa, twoja kolej, żeby umrzeć!”.

Młodzieniec oderwał się od stojących w milczeniu braci. Szedł obojętnie na spotkanie śmierci, patrząc przygasłym wzrokiem w płonące szaleńczą radością oczy Ferndina. Enora szarpała łańcuchy, jej krzyki wstrząsały piwnicą, huczały echem w ciemnych zakamarkach. Zdawało się, że to wyje ranna wilczyca, gdyż nic ludzkiego nie było już w tym dzikim krzyku...

Na podłodze przed nią rosła sterta ciał. Oto i Girej, przedostatni syn, zrobił krok w stronę Ferndina, wystawiając pierś na uderzenie miecza pokornie jak baranek nie znający lęku... Pozostał tylko Ojris, najmłodszy syn, niemal jeszcze dziecko, ulubieniec matki. Barono-wa z pianą i krwią na pogryzionych ustach krzyczała chrapliwie:

„Nie idź tam! Zostań, moje dziecko! Dzieci moje! Dzieci! O, Mitro, tobie powierzam moją zemstę!”.

Ostatnie słowa zagłuszył śmiech Ferndina, ocierającego miecz.

„Wzywaj, wzywaj mściciela! Przyjdzie, kiedy promienie słońca oświetlą tę piwnicę! Ale i ty nie ujrzysz już więcej światła! Powy-jesz jeszcze trochę w ciemności, a potem udasz się w ślad za swoim potomstwem...”.

Machnął ręką i nie wiadomo skąd pojawiła się przed nim cała kupa ociosanych kamieni. Słudzy szybko zaczęli zakładać nimi wy-lot niszy i wkrótce już nie było słycać jęków i przekleństw opadłej z sił kobiety. Tylko szmer spływającej po ścianach wody naruszał martwą ciszę podziemi...

Ferndin pchnął czubkiem buta głowę najstarszego syna i powiedział:

„Wrócę tutaj za rok, już jako pan tych włości, a tymczasem niech szcjury zatroszczą się o szlachetnych synów starego Dissa!”.

Nie oglądając się, wszedł na górę, słudzy położyli na miejsce ciężki kamień i rano ani Ferndina, ani jego ludzi nie było już w Red-bornie...

W dzień w zamku wybuchł popłoch, nikt nie mógł pojąć, gdzie się podziła rodzina barona i ich tajemniczy gość. Nikt niczego nie widział ani nie słycał. Tylko ja... A wy jesteście pierwszymi, którym o tym opowiadam...

Mergit wstała, narzuciła na ramiona płaszcz i patrząc na Conana bezgranicznie zmęczonym wzrokiem, powiedziała cicho:

– Czas ruszać w drogę, Cymmerianinie! Słońce już wysoko i konie dobrze odpoczęły...

XVI

Gęsty mrok ogarnął już las, kiedy wreszcie droga skręciła gwałtownie, drzewa zaczęły rzednąć i wyjechali na szeroką równinę, schodzącą łagodnie ku porośniętej wierzbami i szuwarami rzeczce.

Za rzeczką, na wzgórzu, czerniała wielka bryła zamku Redborn. Conan aż gwizdnął z podziwu, widząc na tle jasnego nieba jego groźne kontury. Takiej twierdzy nikt nie zdobędzie gołymi rękami. Gdyby nawet chciała tego dokonać setka dobrze uzbrojonych rycerzy, obrońcy zamku mogliby się niczego nie lękać – żaden szturm nie jest groźny, gdy się siedzi za takimi niedostępnymi murami. Tylko głodem można by pokonać obrońców.

Droga, ledwie widoczna w coraz gęstszym mroku, prowadziła nie do zamku, lecz w stronę niewielkiej wioski, niewyraźnie majaczącej w oddali. Otoczona częstokołem, wydawała się wymarła, ale Conan i Biorri doskonale wiedzieli, że skoro tylko zaróżowi się niebo na wschodzie i zapieją pierwsze koguty, obudzi się życie również w tym maleńkim światku, odgradzonym zaostrozonymi palami od dzikiego lasu.

Brama była już zamknięta, ale Mergit wskazała ręką ledwie widoczną ścieżynkę, idącą wzdłuż częstokołu. Wkrótce kary zatrzymał się przed gęstymi zaroślami olszyny, wśród których zniknęła ścieżka. Staruszka lekko zeskoczyła z konia, bez wahania rozgarnęła krzaki, skinęła na Conana i skryła się w zaroślach. Kary, ostrożnie stawiając nogi, wolno ruszył za nią.

Odsuwając od twarzy uparte gałązki, Conan dotarł do samego częstokołu. Mergit wymacała coś w ciemności i część ogrodzenia odsunęła się cicho, wpuszczając ich do wsi. Biorri mruknął z podziwem: „Ale sprytna ta starucha!”

Tymczasem Mergit, cicho idąc ledwie widoczną ścieżką, doprowadziła ich do niewielkiego, ciemnego domu. Jego drzwi podparte były grubą żerdzią, a okna zasłonięte deskami.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała starszuszka, chowając żerkę pod ganek. – Zaprowadźcie konie do szopy, tam za domem, koło krzaków, widzicie? Znajdziecie w niej i wodę, i siano. Potem wróćcie do domu, ale zachowujcie się cicho.

Zniknęła za drzwiami, a Conan i Biorri poszli do szopy.

– O, znalazłoby się tutaj miejsce jeszcze dla kilku koni! – Biorri rozsiadł Zoldę i rzuciwszy jej garść pachnącego siana stanął w drzwiach, czekając na Conana. – Choć ta Mergit jest trochę niespełna rozumu, mieliśmy szczęście, że ją spotkaliśmy. Żebyś wiedział, jak na początku bałem się jej psów! Ale potwory! Nie chciałbym wejść im w drogę! No to co, idziemy?

Conan wyszedł z szopy i ostrożnie zamknął skrzydło wierzei. Biorri, przyciskając do piersi ostatni bukłak, szedł do domu, wyrzekając po drodze:

– Ech, Klarsie, że też nie dałeś jeszcze jednego worka! Wina mamy w bród, ale jedzenie już się skończyło...

Ciągłe wdychając, otworzył niskie drzwi i wszedł do domu.

Ogień palił się już w okopconym palenisku, a Mergit kłęzała koło niego, grzejąc zziębnięte ręce. Biorri rzucił bukłak na stół i rozejrzył się: puste ściany, nad paleniskiem półka z naczyniami, prosty drewniany stół, niska leżanka, zasłana wzorzystą kapą, dwie ławki koło stołu – i to wszystko. Naprzeciw paleniska ciemniała przybudówka, w której dawniej trzymano w zimie bydło. Teraz leżało tam, podobnie jak w szopie, mnóstwo wspaniałego siana. Stanowczo nie było to najgorsze miejsce na nocleg, szkoda tylko, że trzeba iść spać na głodno... Nagle Conan zawołał za jego plecami:

– Na Kroma, czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Popatrz, Rudy, co przyniosły te psy! Tak, Mergit, nie zginiesz z nimi – i same się wyżywią, i ciebie nakarmią.

Biorri wyjrzał zza szerokich pleców Cymmerianina i zdumiony wytrzeszczył oczy: wszystkie siedem psów zdążyło już wejść cichcem do domu i położyć się przy progu; przyniosły Mergit dwa zające i młodego dzika.

Gospodyni uśmiechnęła się.

– Tylko dzięki temu żyję. No, moje dziatki, dziękuję wam, teraz będziemy mieli wspaniałą kolację.

Biorri, nabrawszy śmiałości, wyszedł naprzód, poządliwie spoglądając na dziczyznę.

– Jeśli macie ochotę spróbować pieczeni godnej samego króla, to pozwólcie mi, staremu włóczędze, przygotować kolację.

– Co ty na to, Mergit? Dopuszczisz tego samochwałę do swojego ogniska? – zapytał z uśmiechem Cymmerianin. – Niezbyt mu ufam, ale miejmy nadzieję, że nie spali wszystkiego na węgiel.

Mergit wstała, zdjęła z półki dzban, dwa wielkie półmiski i wyciągnęła dwa poczemiale rożny.

– Do roboty, Rudy, pokaż, na co cię stać – powiedziała. – Kiedyś, dawno temu, słyszałam, jak śpiewasz, a teraz będę miała okazję spróbować twojej pieczeni. Jestem pewna, że wszystko będzie tak, jak powiedziałeś – przygotujesz kolację godną samego króla!

– W takim razie, Conanie, usiądź z boku i nie przeszkadzaj. Patrz i podziwiał, jak Rudy Biorri przygotowuje dziczyznę!

Gadając bez przerwy, zręcznie ściągnął skórę i wypatroszył zające i prosiaka, sięgnął do małego skórzanego woreczka, który stale nosił u pasa, i ostrożnie wy dostał jakieś przyprawy.

– Nawet z żab mogę ci przyrządzić takie danie, że nie będziesz już chciał jeść nic innego. Teraz, kiedy mięso nadziałem na rożen, najważniejszą sprawą jest podtrzymywanie ognia.

Biorri rozgrzał palone polana, ułożył z góry nowe i, nie odrywając oczu od ognia, zaczął wolno obracać rożen. Wkrótce aromat pieczonego mięsa rozszedł się po całej izbie i nawet psy zaczęły go chciwie wietrzyć, oblizując się i śliniąc.

– A oto już i zarumieniona skórka, największy przysmak na świecie! Teraz trzeba trochę zwiększyć ogień. – Biorri jakoś inaczej ułożył polana pogrzebaczem. – Jeszcze chwilę poczekajmy i będziemy mogli zabrać się do jedzenia. Na twoim miejscu, Conanie, dawno już przelałbym wino do tego dzbana. Dziś twoja kolej pełnić rolę podczaszego!

Conan uśmiechnął się i wziął do ręki bukłak. Wino strugą poleło się do glinianego dzbana, a staruszka wydobyła trzy ogromne kufle.

– Chyba lepsze będą od waszych podróży kubków.

– W sam raz! Ale popatrz, Rudy niesie już zające, dawaj szybciej półmisek.

Biorri sztyletem zsunął upieczone mięso z pierwszego rożna i wrócił do ognia po prosiaka. Stół z dwoma półmiskami, pełnym dzbanem i wielkimi kufkami kuścił zgłodniałych podróży, ogień w palenisku potrzaskiwał kójając, a przy drzwiach leżały spokojnie psy. Conan wyciągnął z pochwy sztylet, żeby wbić go w rumiany bok prosiaka.

– Powiedz, Cymmerianinie, czy to nie ciebie ściał Ferndin na Świętym Turnieju? Czy to nie twoją nagrodę otrzymał ten demon, nikczemny sługa Czarnego Seta?!

Wbity w soczyste mięso sztylet zastygł w rękę Conana. Nie znajdując właściwych słów, wbił gniewny wzrok w twarz staruszki. Jednakże ona, z opartą na rękach głową, patrzyła na niego z takim matczynym współczuciem, że nieoczekiwanie dla samego siebie zaczął jej wszystko opowiadać. Na próżno Biorri kopał go pod stołem i ostrzegawczo pokasływał – Conan spoglądał w pełne zrozumienia oczy tej starej kobiety i mówił, mówił...

Rzecz dziwna: słuchając z ogromną uwagą słów Cymmeriana, Mergit zmieniała się z każdą chwilą. Znowu, jak we dnie, zniknęły zmarszczki z jej policzków, krew napłynęła do białych warg, a włosy, jeszcze niedawno opadające żalosnymi kosmykami, utworzyły na jej ramionach piękną falę... Conan miał wrażenie, że również psy leżące przy drzwiach stały się jeszcze większe, a ich czarne grzbiety połyskiwały w jasnym świetle ognia. Jakby i one chciały łowiły każde słowo Cymmerianina, a sierść groźnie się na nich jeżyła.

Wreszcie Biorri uspokoił się i zaczął jeść. Conan opróżnił kufel i zamachnął się szyletem, odcinając rumianą nóżkę prosiaka.

– Oho, Biorri, wychodzi na to, że jesteś nie tylko królem śpiewaków, ale i kucharzem królów! Nic lepszego, jak zakąsić tę opowieść twoim pieczytym!

Mergit w zadumie odłamała apetyczną zajęczą nogę, spróbowała i z zachwytem pokręciła głową.

– Nawet w zamku barona, w aromatycznym dymie z wendyjskich polan, dziczyzna nie wychodziła tak dobrze – zauważyła – a ty na prostym palenisku, na smolistych szczapach, niemal bez przypraw stworzyłeś prawdziwe чудо. Jeśli kiedyś ochrypniejesz i nie będziesz już mógł śpiewać, uszczęśliwisz każdy szynk swoją sztuką kulinarną!

Biorri skromnie zauważył:

– To dlatego, że Stary Lis niekiedy zdradza przyjaciółom swe sekrety. Nalej mi wina, Conanie, i nie zapomnij o was, czas już coś wypić, a nie tylko strzepić języki...

Rzuciwszy psom kość, Mergit tak mocno zacisnęła palce, że aż jej stawy pobieleły, i spoglądając gdzieś przed siebie, jakby rozmawiając z kimś niewidocznym, mruknęła:

– Wiedziałam, czułam, że on przyjdzie, i oto przyszedł... Teraz nie jesteśmy już sami, słyszysz, nie jesteśmy sami... I potrafimy mu pomóc. – Zwróciła w stronę Conana twarz z gorączkowo płonącymi oczyma. – Wyciągnij Ferndina z zamku, a wtedy ci pomogę! Nie

myśl, że jestem stara i słaba. Moja nienawiść nie ustępuje twojej, a pragnienie zemsty pali mi serce!

Zasepiony Cymmerianin, mimo woli ściskając rękojeść miecza, spoglądał w jej pałające oczy.

Obiecywała pomoc i Conan był przekonany, że nie rzuciła słów na wiatr. Teraz zawarłby przymierze z każdym demonem, byle tylko móc się zemścić... Staruszka, jakby czytając jego myśli, ukazała w drapieżnym uśmiechu równe zęby.

– Widzę, że mnie zrozumiałeś! Rankiem przekradniesz się ogrodami do trzeciego stąd domu. Mieszka w nim Algras, którego słuchają mieszkańcy wszystkich wsi w okolicy zamku. Zapamiętaj: dom z wysokim kominem i wielkim kamiennym spichlerzem. O mnie nic nie mów, jakbyś w ogóle mnie nie widział, i nie wspominaj też o moich dzieciaczkach... tak będzie lepiej!

Przeniosła wzrok na Biorriego, który ze strachem spoglądał na jej zarumienioną, odmłodzoną twarz, coś szeptał i czynił pod stołem dziwne gesty, jakby odganiając siły nieczyste.

– Nie trzęś się, Rudy, i nalej mi wina! Jeszcze nie wszystko powiedziałam. Ferndina i jego sforę trzeba odciągnąć jak najdalej od zamku, a wtedy będę mogła wam pomóc. Jak najdalej, żeby nie zdołał skryć się za murami, bo inaczej nic z tego nie będzie! Zrozumiałeś mnie, Cymmerianinie?

Na jej twarzy pojawił się grymas nienawiści; psy przy drzwiach zerwały się na równe nogi, warcząc i szczerząc zęby, gotowe rzucić się na nienawistnego wroga.

– A więc mamy szczęście, że spotkaliśmy się z tobą i twoimi pieskami – uśmiechnął się Conan. – Przyjmuję twą pomoc i uczynię tak, jak mówisz. Chyba najlepiej będzie ściągnąć Ferndina w pobliże wsi, na szerokie pole nad rzeczką?

– O, widzę, że dobrze się rozejrzałeś w ciemności. Masz rację, z tamtego miejsca nie zdąży wrócić do zamku... A teraz kładźmy się spać, bo Rudy szczeka już zębami ze strachu! Nie bój się, jesteśmy sojusznikami, nie wrogami!

Z uśmiechem dopiła wino, wstała z ławki i podeszła do leżanki. Psy znów położyły się przy drzwiach, zwinęte w czarne kłębki.

Biorri potrząsnął głową, jakby odganiając czary, chciwie opróżnił kubek i chwycąc się na niepewnych nogach poszedł w stronę kupy siana. Conan jeszcze trochę posiedział, wpatrzony w iskrzące się węgle, a potem skierował się w ślad za swym przyjacielem. Rozesłał płaszcz i legł na miękkim sianie. Usiłował zrozumieć coś z tego, co

umykało jego świadomości, ale nie wiadomo kiedy zasnął, zmorzony ciepłem i aromatycznym zapachem traw.

...Przenikliwy krzyk, który wdarł się z zewnątrz w senną ciszę chałupki, natychmiast obudził Cymmerianina. Conan w jednej chwili przypomniał sobie wszystko, co działo się wczoraj. Skoczył na równe nogi, schwycił obnażony miecz i podbiegł do uchylonych drzwi. Kątem oka zobaczył, że nie ma już ani Mergit, ani jej psów.

Z ulicy słyhać było tętent kopyt, śmiechy i pokrzykiwania jeźdźców, gniewne głosy mężczyzn i lamentowanie kobiet. Przez wąską szparę prócz krzaków i burzanów nic nie było widać, ale Conan i bez tego doskonale wiedział, co się dzieje. Beczenie przestraszonych owiec, rozpaczliwe gdakanie kur, pisk kobiet – wszystko wskazywało na to, że oddział uzbrojonych jeźdźców grabi wieś. Nagle tuż obok zadźwięczała broń i rozległy się gromkie głosy:

– Popatrz, ona zamyka chlew! Widziałeś, jakie ma tłuste owce? No, otwieraj, stara wiedźmo, bo jak nie – źle z tobą będzie!

Zatrzeszczała zerwana z zawiasów brama i jeźdźcy wdarli się na sąsiednie podwórze. Conan poczuł na głowie oddech Biorriego, który też usiłował wyrzucić na zewnątrz. Cymmerianin odwrócił się do niego i szepnął:

– Zaraz zobaczę, ilu ich tam jest, a ty zamknij się i nie wystawiaj nawet nosa. Otworzysz, kiedy trzy razy cicho zapukam. Zrozumiałeś?

Pochylony wyskoczył za próg i natychmiast zniknął w gęstych zaroślach.

Siedząc w ciemnościach przy zamkniętych drzwiach, Biorri z drżeniem serca słucał, co działo się w pobliżu.

– Ach, ty, suko, gryziesz?! – zawołał jeden z grabieżców. – Zaraz cię nauczę! – Rozległ się świst miecza i zdławiony krzyk.

Nagle Biorri usłyszał wściekły ryk:

– Zabiję was, plemię Nergala! A masz, a masz!

Zarżał i ciężko zwałił się na ziemię ranny koń, a potem raz za razem słyhać było potężne ciosy: ktoś dobijał wroga. Biorri wsłuchiwał się, chcąc rozpoznać głos, ale najwyraźniej nie należał on do Cymmerianina. To zapewne gospodarz domu przybiegł na ratunek swej rodzinie.

Napastnicy szybko się opamiętali i z krzykiem natarli na nieoczekiwanego przeciwnika. Po chwili było już po wszystkim. Jeźdźcy o czymś głośno rozmawiali; nagle rozległ się rozpaczliwy pisk i błagalne wołanie dziewczyny:

– Zostawcie mnie, oszczędźcie! O, Mitro! Zabiliście mego ojca! Co zrobiliście z moją matką? Puśćcie mnie, puśćcie!

– Daj płaszcz, zawiniemy jej głowę, żeby nie wrzeszczała – usłyszał Biorri schrypnięty głos. – Jeszcze mi ona zatańczy! Zemszczę się za Silkera! Będzie mnie błagać, żebym ją wysłał w ślad za jej rodzicami na Szare Równiny! Jedźmy, bo nasz pan czeka. Żal Silkera, tych ludzi nie można ani na chwilę spuścić z oka... Jazda! – I odział pomknął przez wieś, odprowadzany wściekłym ujadaniem psów.

Stopniowo wszystko ucichło, jakby wieś całkiem wymarła. Biorri, siedząc w ciemnościach i usiłując coś dostrzec przez wąską szczelinę w rozeschniętych okiennicach, ciągle się przysłuchiwał, mając nadzieję, że lada chwila rozlegnie się szmer kroków i delikatne pukanie do drzwi. Jednak wokół było cicho, tylko liście szeleściły na dworze w porywach ciepłego wiatru i myszy harcowały w sianie.

W końcu Biorri miał dość takiego czekania – jego natura nie znosiła bezczynności. Ostrożnie zaczął przeszukiwać półkę nad paleniskiem. Jak zwykle przeczucie go nie zawiodło: za poszczerbioną misą wymacał lampę. Nie licząc na to, by pozostała w niej choć kropla oliwy, wyciągnął ją jednak i postawił na stole. „W najgorszym razie zapalę łuczywo, lepsze to niż siedzieć po ciemku” – pomyślał, sięgając po hubkę i krzesiwo. Słaby ogieniek zatańczył w jego rękach, oświetlając starą, pogiętą lampę, do połowy napełnioną oliwą, z pływającym w niej knotem.

– No, Biorri, jednak bogowie ciebie kochają! Żeby wszystko tak się udawało w życiu! – Zapalił lampę i zaczął się rozglądać w nadziei, że znajdzie coś, co skróci mu czas oczekiwania. Długo nie musiał szukać – resztki dziczyzny i całkiem nie pusty bukłak same wpadły mu w ręce. Rudy Biorri znów się ucieszył, że ma takie szczęście, usiadł przy stole i właśnie podnosił do ust kawałek apetycznie pachnącego mięsa, kiedy zapukano trzy razy do drzwi.

– Jak zwykle przychodzisz w samą porę – szepnął do Conana, który cicho wśliznął się do chaty. – Popatrz, co znalazłem! Nie potrzeba rozpalać w palenisku i dymić na całą okolicę. Niech myślą, że nikogo tutaj nie ma... Siądź, zjedz coś i opowiadaj.

– Jedz sam, ja nie mam teraz ochoty. Ten drań ze swymi sługusami najwidoczniej postanowił całkiem ograbić wieś. Potem weźmie się za inne w okolicy... Cała zamkowa czeladź została uwięziona. A te łotry – skinął w stronę drzwi – już trzeci dzień przyjeżdżają tutaj i biorą, co im wpadnie w łapy: kury, świnie, owce... Dzisiaj – może słyszałeś? – zarabali jedną kobietę i jej męża, a potem porwali ich córkę... Na drugim

końcu wsi też zabrali dziewczynę... – Conan przysunął sobie dzban i napełnił kubek. – Widziałem tego, którego ojciec dziewczyny zabił pałką. Pewnie dawniej zajmował się rozbojem, a inni też nie są lepsi.

Cymmerianin w zadumie żuł mięso, chmurnie spoglądając na falujący płomyk lampy.

– A gdzie się podziała nasza staruszka? – zapytał wreszcie Biorri. – I te jej okropne psy? Szczerze mówiąc, lepiej się bez nich czuję. Wiesz, patrzyłem na nią, patrzyłem i w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć... Twarz taka znajoma, jakbym z nią kiedyś rozmawiał, a zarazem prawdziwa z niej wiedźma! Nie, w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, kim była na zamku...

– Dobrze, siedź sobie tutaj i przypominaj, tylko trzymaj się z dala od wina, a ja pójdę do tego, jak mu tam... Algrasa, zobaczę, co to za jeden. Jeśli trzeba będzie, przyprowadzę go tutaj. Żebyś tylko nie zasnął, bo będę musiał wyłamywać drzwi. – Conan wstał żwawo, przyjaźnie klepnął Biorriego po ramieniu i znów bezszelestnie wymknął się na dwór.

Zamknąwszy drzwi na zasuwę i pocierając to miejsce, gdzie Cymmerianin przyłożył swą potężną pięść, Rudy usiadł na ławie.

„Patrzcie go, mam się trzymać z dala od wina i nawet spać mi nie wolno – rozmyślał niewesoło. – A co ma robić człowiek w takiej ciszy i ciemnościach? No trudno, muszę pocierpieć. Szkoda, że nawet na ercie pograć nie można – zaraz zajrzy tu jakiś ciekawski. Ech, ten Conan, przecież mogę nie gorzej od niego pełzać po krzakach! Kiedy jednak już się w to wplątałem, muszę go słuchać. Ostatecznie to jego sprawa, a ja w razie czego będę mu osłaniał tyły. Rudy Biorri też umie miecz trzymać w ręku, nie tylko bukłak i ertę!”

Długo jeszcze snuł się z kąta w kąt, mrużąc pod nosem i spoglądając na stół, gdzie obok resztek dziczyzny widniał pękaty bukłak. Kiedy wreszcie rozległo się pukanie, Biorri podbiegł do drzwi, niczym kochanek nie mogący się doczekać damy swego serca.

Drzwi otworzyły się i do słabo oświetlonej chaty wszedł z wahaniem krępy siwy mężczyzna. Miał już sporo lat, ale w żadnym razie nie można go było nazwać starcem – potężne ramiona, niemal nie ustępujące barkom Cymmerianina, ogromne silne ręce, nawykłe do ciężkiej pracy, nogi, mocno stąpające po ziemi – wszystko to mówiło, że nie zawsze czas ma władzę nad człowiekiem, a prawdziwa siła niechętnie poddaje się starości.

– Wejdz, Algrasie, posiedzimy, pogadamy... To mój przyjaciel, Rudy Biorri, znakomity śpiewak i muzykant, ulubieniec królów i kucharz. I w dodatku najlepszy kucharz, jakiego znam!

Algras, ciągle jeszcze nieufnie trzymając rękę na pasie koło sztyletu, bacznie przyjrzał się Biorriemu i nagle twarz mu pojaśniała.

– Przecież to ten sam Rudy Krzykacz, którego niegdyś przywoził do Redbornu stary baron! Pamiętam, pamiętam, jak kiedyś w nocy... Cha-cha-cha! – Zaśmiał się serdecznie, przypomniawszy sobie jakąś dawną historię. Biorri, wcale nie zachwycony taką reakcją Algrasa, zmarszczył brwi i powiedział:

– Za to ja sobie ciebie nie przypominam. A w ogóle to śpiewałem dla lepszych gości, a w nocy... w nocy spałem jak należy. Oczywiście, jeśli nie piłem w dobrej kompanii!

– Otóż to – w dobrej kompanii! – znów zaśmiał się Algras. – Teraz, Cymmerianinie, wierzę, że nie jesteś szpiegiem tego przekłętogo Ferdina... Język by mi kołkiem w gardle stanął, gdybym miał go nazwać baronem Redbornu! Nie był baronem i nigdy nim nie będzie! A co też tutaj wyczynia ten drań! Własnymi rękami skrzyłbym mu kark, zacząłbym się i napadł z zasadzki, ale siedzi on w zamku jak borsuk w norze, i tylko jego słudzy, przekłete plemię Nergala, myszkuje po wsiach... Już im mało bydła, zaczynają porywać dziewczęta! Przekleństwo na ich głowy!

– Słuchaj, Algrasie, o ile pamiętam, w zamku zawsze było dużo owiec, świń, ptactwa... Co za gęsi, co za kaczki – palce lizać! – Rozmarzony Biorri przymknął oczy i poklepał ręką bukłak. – Nie mówiąc już o leśnej zwierzynie...

– Rudy ma rację: po co grabić wieś, jeśli w zamku tyle bydła? – Conan przysiadł obok i podsunął przyjacielowi dzban. – Przelej wino, bo głaskasz ten bukłak, jakby to była pierś jakiejś ślicznotki!

Algras zajął miejsce naprzeciw i opuściwszy silne ręce na kolana powiedział:

– Było bydło i ptactwo, ale teraz nic nie ma... Kiedy umarł stary baron Diss i zniknęła baronowa Enora z synami – jeden Mitra wie, co się z nimi stało i gdzie są teraz! – w zamku zaczęły się dzieć dziwne rzeczy...

Zmarszczył brwi i rozejrzał się, jakby się bał, że swymi słowami ściąganie nieszczęście, a potem zaczął mówić dalej:

– Skoro tylko w zamku zabrakło gospodarzy, w okolicy pojawiło się stado czarnych wilków. Wilki te każdej nocy przemukały się do zamku i zabijały bydło. Nie wiadomo, którędy się tam dostawały, ale co rano na środku podwórza znajdowano kilka rozszarpanych owiec, swinię lub dziesiątki kur. Przestraszeni słudzy bali się w nocy

wysunąć nos ze swych pokoi, zastawiając drzwi kuframi, a wilki gospodarzyły sobie przed zamkiem...

– I nie znaleźli się odważni ludzie, żeby urządzić na nich obławę? Wszyscy tutaj to myśliwi, choćby ty sam – jesteś tak silny, że pewnie i na niedźwiedzia chodziłeś. Widzę na twych rękach ślady niedźwiedziach pazurów. A wilki, w dodatku na podwórzu... Gdzie uciekłyby, jeśli dziesięciu myśliwych wyskoczyłoby z zasadzki?

– Ech, Cymmerianinie, nie wszystko ci jeszcze powiedziałem! Młody jesteś i zapalczywy, ale i my nie jesteśmy głupi! Tak właśnie uczyniliśmy któreś nocy: uzbroiliśmy się, przygotowaliśmy pochodnie...

Biorri, który słuchał Algrasa z wielką uwagą, zapytał nagle:

– A psy?! Przecież w zamku było mnóstwo psów! Czy nie szczekały, kiedy przychodziły te... wilki? – Z łękiem zerknął na drzwi, jakby bojąc się, że psy starej Mergit znów pojawią się na progu.

– W tym właśnie rzecz, że wszystkie psy zniknęły z zamku, kiedy przyszły te potwory. Bez żadnego dźwięku, nie pozostawiając po sobie ani kawałeczka skóry, żadnej obgryzionej kości... Zniknęły tak, jakby nigdy ich tu nie było. A czarne potwory robiły, co chciały. Tak więc urządziliśmy zasadzkę i czekaliśmy. Była właśnie pełnia księżyca i widzieliśmy każdy kamyczek na podwórzu. Siedzimy, patrzymy, aż tu nagle od strony stajni rozlega się wycie – żałosne jak płacz dziecka... Z ogrodu odpowiadają mu inne głosy, a także od głównej bramy. Dźwięki te przybliżają się i oto już na środku podwórza zamajaczyły czarne cienie. Wycie ucichło i wilki, całkiem tak, jak zrobiliby to ludzie, skryły się w cieniu, zostawiając jednego na straży. Wilk siedział bez ruchu pośrodku podwórza, sam go widziałem – ogromny, czarny, ze straszłą paszczą! A tymczasem w chlewie beczwały przestraszone owce. Z krzykiem wyskoczyliśmy z zasadzki, pięciu z nas pobiegło do chlewu, a trzech odcięło wilkom drogę odwrotu... Strzeliłem do tego wilka z pięciu kroków, nie sposób było nie trafić, ale strzała przeszła przez niego jak przez dym ogniska. To nie były wilki, lecz wilkołaki, które zgubiły rodzinę starego Dissa i rozgrabiły jego majątek! Ktoś nasłał je na Redborn, a teraz jeszcze ten Ferdin... – Algras w gniewie stuknął pustym kubkiem o stół.

– No i co, te bestie... czy też wilkołaki, uciekły wtedy? – zapytał Conan, usiłując pojąć coś, co niejasno snuło mu się po głowie.

– Ogromny strażnik rzucił się do kurnika, skąd nie było drugiego wyjścia, a więc znalazł się w pułapce. Ci myśliwi, którzy wbiegli do chlewu, oświetlając wszystkie kąty znaleźli tylko trzy rozszarpa-

ne owce – i nikogo więcej. Wilki zniknęły, jakby zapadając się pod ziemię. I w kurniku również nikogo nie znaleźliśmy. Po tym wydarzeniu nie było już chętnych na takie obławy.

– Czy rzucają się one również na ludzi? – Biorri z lękiem spoglądał w stronę drzwi.

– Nie, nigdy się to nie zdarzyło. Ani razu nie ruszyły też bydła we wsi. Rozprawiły się ze stadem barona Dissa i zniknęły. Dawno już nikt ich nie widział w naszych stronach, ale czeladź z zamku w dalszym ciągu mocno zamyka na noc wszystkie drzwi...

Algras zamilkł, bacznie spoglądając na Cymmerianina. Biorri pospiesznie napełnił kubki i chcąc przerwać ciężką ciszę, która zawisła w powietrzu, leciutko musnął struny erty. Dźwięki starej ballady sprawiły, że wygładziło się nachmurzone czoło ich gościa. Algras napił się wina i zaczął przytupywać w takt melodii. Conan, nie zwracając uwagi na Biorriego, spoglądał w ciemny kąt i coś sobie obmyślając postukiwał o stół ręką sztyletu.

– Ile jest wsi wokół Redbornu? – zapytał nagle.

– Dawniej były cztery, teraz zostały trzy – odpowiedział Algras. Ulir był stąd zbyt daleko, na samym skraju lasu. Dziki deptały zasywy, a wilki zabijały bydło... Nawet niedźwiedzie podchodziły do samych domów. Baron Diss kazał ludziom przenieść się bliżej zamku i teraz zostały tylko trzy osady: Odler, Chłank i nasza wieś – Benta. Czy coś wymyśliłeś, Cymmerianinie?

– Oczywiście, że wymyśliłem, w innym razie po co bym się do ciebie zwracał? Jeśli dobrze rozumiem, wszyscy tu szanują cię i słuchają twych słów.

– Tak, przyjacielu, długo już żyję i ludzie często pytają mnie o radę... Sam baron mówił, że nikt jak ja nie potrafi pogodzić poróżnionych chłopów.

Dumnie podkręcił wąsa i drwiąco spojrzął na Conana. Biorri, nie roniąc ani słowa, z udaną obojętnością siedział z boku, brzdąkając na ercie.

– A więc i ja coś wymyślę, jeśli już przyprowadziłem cię tutaj. – Conan szeroko się uśmiechnął, błyskając niebieskimi oczami.

Algras zapytał nagle:

– Masz chyba z Ferdinem własne porachunki, prawda Cymmerianinie? No bo dlaczego chowasz się w chacie starego Jurisa? I popatrz tylko, już minął rok, jak nikt tutaj nie mieszka, a tak tu czysto...

Biorri mimo woli drgnął, a Conan wskazał na niego ręką:

– Rudy nie lubi bałaganu, całą noc ciężko pracował, wynosząc śmieci. Masz rację, przyjacielu, to ja powinienem zabić Ferndina, ja i nikt inny! Dlatego potrzebna mi jest twoja pomoc. Posłuchaj, co wymyśliłem...

Pochyleni nad stołem, mówiąc to szeptem, to znów podniesionym głosem, zastanawiali się, jak wywabić z zamku Ferndina i jego sługi, a erta, posłuszna gibkim palcom Rudego Biorriego, śpiewała rzewnie o dawnych zwycięstwach...

XVII

Cichy i ciemny, przez cały rok pozbawiony gospodarzy zamek Redborn znów ożył – ale jakże to życie było niepodobne do tego, co działo się tu dawniej! Słudzy, drżąc ze strachu, bez sensu snuli się po korytarzach, jakby w każdej chwili oczekując kary. Kiedy przybył nowy pan Redbornu, zapomniano nawet o wilkach, które napawały takim lękiem czeladź i mieszkańców okolicznych wsi.

Znów jak dawniej wieczorami gwarно było w ogromnej sali bankietowej, mogącej pomieścić setkę gości, ale krzyki pijanych przyjaciół barona Ferndina nie przypominały tej szczerzej wesołości, obecnej na ucztach wydawanych przez starego barona Dissa.

Ferndin sprowadził z Menory mnóstwo zubożałej szlachty i rycerzy, którzy, ciesząc się, że mogą dobrze pożyć na cudzy koszt, wynosili pod niebiosa nowego barona. A Ferndin, choć wiedział, że wszystko to kłamstwa, chętnie słuchał hymnów pochwalnych pod swoim adresem, upijając się nimi jak naiwny młodzieniec.

Ta sfera gości, zawsze gotowych sławić barona Ferndina, którzy ucztowali przy stołach uginających się od wszelakiego jadła, popijając swe słowa wspaniałym winem z bogatych piwnic zamkowych, mogła w przyszłości, dobrze odkarmiona, stanowić niemałą siłę w walce z księciem.

Na to właśnie liczył, ściągając ich do Redbornu, ale przeklęty przypadek sprawił mu przykrą niespodziankę... Z bogatego majątku po roku pozostał jedynie potężny kamienny zamek, jak dawniej wspaniale urządzone, z cennymi meblami i ogromnymi piwnicami na wino. Ani bydła, ani ptactwa, ani żadnych zapasów nie znalazł nowy gospodarz, obejmując swe rządy... Nic też dziwnego, że wpadł we wściekłość.

Co gorsza, nie można było ukryć tego przed gośćmi, którzy zawistnymi oczyma sprawdzając każdą szparkę, każdy kąt, wszystko widzieli: puste chlewy, kurniki i spichrze. Tylko stajnia mogła się poszczycić kilkoma kłaczami, ale te zresztą ledwie stały. I to było wszystko...

Pierwszego wieczora, rozkazawszy zamknąć bramę i odprowadziwszy gości do ich pokoi, rozwścieczony Ferdin spędził czeladź do niewielkiej sali obok jadalni, kazał strażnikom stanąć wokół sług i wyładował na nich całą swą złość. Pełzając na kolanach wokół nowego pana i rozmazując krew ciekącą z rozbitych ust i nosów, słudzy usiłowali powiedzieć mu o wilkach, wzbudzających przerażenie w całej okolicy. Ale nie wywarło to na Ferdinie większego wrażenia, kazał wszystkim wygarbować skórę, prócz dwóch ładniutek dziewczek, a potem, uspokojony nieco, posłał do wsi wiernych strażników.

Uczując i słuchając fałszywych pochlebstw, każdego wieczora myślał teraz, że nie wytrzyma dwóch miesięcy w Redbornie. Jednak i księżę nie wytrzyma tak długo bez niego, ta maleńka nie da mu spać spokojnie! Ostatecznie Ferdin przekonał sam siebie, że wszystko układa się dobrze, trzeba tylko potrząsnąć wsiami – niech poczują pańską rękę, bo zbyt się rozpuścili u starego Dissa!

– Hej, nie spać tam! Dlaczego kubki są puste? – Głos barona Ferdina zahuczał pod sklepieniem starej sali.

Słudzy biegali od jednego gościa do drugiego, napełniając kubki, które już po chwili znów były puste. Długi stół, w przy którym na wysokim starym fotelu baronów Redbornu z godnością zasiadał Ferdin, uginał się po ciężarem najprzeróżniejszych potraw i goście nie skąpili mu pochwał:

– Jeszcze nie spotkałem takiego szczodrego gospodarza jak baron Ferdin! Wznoszę toast za to... za to, żeby zawsze towarzyszyły mu sukcesy i orędownictwo Mitry, tak jak na Turnieju! Kto jak kto, ale ja jestem jego najwierniejszym przyjacielem! – I chudy rycerz, którego jedynym majątkiem był walący się ojcowski dom koło Menory, a para sług stanowiła największy luksus, na jaki mógł sobie pozwolić, uroczyście opróżnił swój kubek. W odpowiedzi rozległy się okrzyki:

– Wszyscy jesteśmy jego oddanymi przyjaciółmi! Też chcielibyśmy mieć takiego pana! Jest prawdziwym rycerzem, nie to, co księżę Orgeld!

Z rozkoszą po raz już któryś słuchając tych słów, Ferdin pokręcił głową i rzekł:

– Nie, przyjaciele, powinniśmy wznieść toast za naszego pana, księcia Orgelda! Jest człowiekiem dobrym, szczodrym i sprawiedliwym, choć brak mu twardej ręki... Baron Diss spisywał się całkiem nieźle, ale umarł. Kto go teraz może zastąpić? Bez dobrego doradcy nasz wspaniały książę nie zdoła pokierować krajem. Chcę więc wypić za księcia i za to, żeby Mitra nie skąpił swych łask Berghheimowi i dał naszemu władcy dobrego doradcę!

– Barona Ferndina! Barona Ferndina z Redbornu! Tylko on godzien jest tego zaszczytu!

Plączące się języki z trudem wypowiadały pochlebstwa, z osłabłych rąk wypadały na pół obgryzione kości, a powieki opadały sennie.

– M-m-muzyka gra-a-ać! Cz-e-emu nie ma mu-uzyki! Wczoraj nie było mu-uzyki i dziś nie będzie? A gdzie piękne dziewczki? U barona Re-edbornu wszystkiego musi być w bród: wina, muzyki, dzie-ewek...

Siedzący po prawej ręce Ferndina grubas, ten sam, który marzył o zdobyciu sławy i nagród na Turnieju, a powrócił z niego z pokiereszowanym tyłkiem, spojrzął na gospodarza maślanymi oczkami i bełkocąc rzekł:

– Ta-ak... Bez muzyki nie można... Nawet w szynku jest muzyka... I dziewczki! I w Red... Red... bornie też muszą być!

– Czy u starego Dissa mogą być muzycanci? – Ferndin przenikliwymi żółtymi oczyma przyjrzał się pijanym gościom, ale jego twarz wyrażała jedynie dobrotliwe zdziwienie. – W takiej ciszy nawet dźwięk waszych kubków może uchodzić za muzykę! Chociaż zresztą można spróbować. Ej, Egist! – Groźnie spojrzął na podającego do stołu sługę. – Chyba widziałem wczoraj na chórze harfy i flety. Znajdź mi natychmiast kogoś, kto choć trochę umie grać! Bo inaczej... – Pochylił się w stronę oniemiałego z przerażenia sługi i zmrużył oczy. – Bo inaczej każę zrzucić z wieży do fosy najpierw twoją głowę, a potem całą resztę! Podejdź bliżej, chcę ci coś jeszcze powiedzieć... Przyprowadzisz tutaj dwie służące i te dziewczyny ze wsi, ale najpierw... – I szepnął coś do ucha drżącemu Egistowi.

Sługa skinął głową i zgięty w ukłonie pobiegł do bocznych drzwi. Dla podtrzymania wesołego nastroju baron Ferndin, ledwie umoczywszy usta w winie, zaczął obsypywać komplementami gości, którzy zaszczytili Redborn swym przybyciem. Byстрыm okiem śledząc to, co działo się przy stole, we właściwym momencie rzuconym żartem lub protekcyjną uwagą zażegnywał w zarodku pijackie kłótnie.

„Tak, zdołałbym utrzymać w ręku nie tylko Bergheim, ale i całe królestwo!” – pomyślał zadowolony z siebie, czując się jak potężny władca, gdy siedział tak u szczytu stołu, spoglądając na ściany ozdobione fantazyjnymi rzeźbami i gobelinami przedstawiającymi sceny z polowań sławnych rycerzy na niedźwiedzie, dziki i sarny. Ktoś nieśmiało podszedł do niego i baron Ferndin, nie odwracając głowy, usłyszał cichy, drżący głos Egista:

– Mój panie, znalazłem takich dwóch, co trochę umieją brzdąkać na strunach... A dziewczęta są gotowe, czekają za drzwiami!

– Dobrze, wezwij tych swoich muzykantów, a sam bądź w pobliżu, bo może goście jeszcze czegoś zechcą.

Bocznymi drzwiami weszło dwóch młodych służących z pozłocanymi harfami w ręku, ze strachem spoglądając na nowego pana. Goście powitali ich radosnymi okrzykami:

– No, wreszcie! Hej, dawajcie wina! Ale szybko!

Ferndin, bezgłośnie poruszając ustami, kolejno zajrzał w oczy obu młodzieńcom, którzy drżącymi rękoma ściskali harfy, i odwrócił się, straciwszy dla nich wszelkie zainteresowanie. Ale muzykantów jakby ktoś w jednej chwili odmienił: twarze ich zastygły, niczym wyrzeźbione z drewna uśmiechnięte maski, a palce zręcznie zaczęły przebierać struny, ciesząc gości starodawnymi biesiadnymi pieśniami.

Podzwanianie kubków, śmiechy i niedwuznaczne okrzyki świadczyły o tym, że prócz poczęstunku i muzyki goście jeszcze na coś niecierpliwie czekają. Gospodarz wstał więc z wysokiego fotela, zagadkowo uśmiechnął się i trzykrotnie klasnął w dłonie. Natychmiast otworzyły się szerokie paradne drzwi, po obu stronach których stali nieruchomi strażnicy, i na środek sali wbiegli służcy, niosący ogromny, zwinięty dywan. W jednej chwili rozłożyli go na kamiennej podłodze i, bez przerwy kłaniając się przycichłym gościom, skierowali się do wyjścia.

Muzykanci nagle umilkli i zrobiło się całkiem cicho. Goście zamarli z kubkami w rękach i wpatrywali się w otwarte drzwi, czekając na dalszy ciąg przedstawienia.

Do sali weszło, podzwaniając orzędem, kilku potężnych strażników. Rozstąpili się i goście ujrzeni cztery młode dziewczyny, tulące się do siebie ze strachu. Gdy jednak Ferndin ledwie zauważalnie skinął dłonią i spojrzął na nie bacznie, drgnęły, jak porażone błyskawicą, i lekkim krokiem, kusząco falując biodrami, podeszły do dywanu.

Wszystko było tak, jak rozkazał Ferdin: zamiast zwykłych sukienek dziewczęta miały na sobie luźne szaty z cienkiego jedwabiu, związane w talii srebrnymi sznurami; ich rozpuszczone włosy, opadając falami na ramiona, sięgały do pasa. Twarze dziewcząt, podobnie jak twarze obojętnie stojących na uboczu muzykantów, przemieniły się w nieruchome, uśmiechnięte maski. Maleńkie bose stopy uczyniły ostatni krok i cztery zgrabne figurki zamarły w rogach ogromnego wzorzystego dywanu z uniesionymi nad głową szczupłymi rękami.

Ferdin z lekka zwrócił się w stronę muzykantów, którzy, posłuszni jego ciężkiemu spojrzeniu, zaczęli grać jakąś nieznaną melodię. Goście, słysząc jej pierwsze dźwięki, zaczęli szemrać rozczarowani, stukać o stół pustymi kubkami i tupać nogami. Jednak powtarzające się frazy zniewalały, uspokajały, i po chwili oczy pijanych mężczyzn nic już innego nie widziały prócz na wpół obnażonych kobiecych postaci, stojących na dywanie.

Muzyka zagrała szybciej i ręka barona Ferdina, leżąca do tej pory nieruchomo na stole, drgnęła. Dziewczęta, posłuszne temu gestowi, kołysząc biodrami w takt muzyki, rozpoczęły dziwny taniec. Palce ich pana, połykując zielonymi i niebieskimi kamieniami grubych pierścieni, poruszały się po stole, jakby przedstawiając niewidoczne figurki, a cztery młode tancerki to schodziły się ze sobą, to rozchodziły, krążąc i wyginając się, kuszącymi ruchami swych ciał doprowadzając gości do szaleństwa.

– Coś podobnego! Skąd na tym odludziu takie tancerki? Nawet na ucztach u króla nic takiego nie widziałem! Ależ ten baron Ferdin przez trzy dni ukrywał swe ślicznotki i dopiero teraz zdecydował się je pokazać! – szeptał hrabia Woller, rękawami sfatygowanego kaftana ocierając bezwiednie zalany winem stół. Jego sąsiad, wcale go nie słuchając, wbił chciwy wzrok w jedną z dziewczyn i drżącą ręką usiłował namacać stojący obok kubek. Wreszcie go odnalazł, jednym haustem wypił całą zawartość i wychrypiał:

– Ty gaduło, zapamiętaj sobie: ta ruda, w zielonym stroju, należy do mnie! Jeśli ktoś do niej podejdzie, zabije!

– Dobrze, dobrze, Gertranie, ja upatrzyłem sobie blondynkę, spójrz tylko, jakie piersi widać, gdy się pochyla! Klnę się na wszystkie demony, które buszują teraz w mojej krwi, że jeszcze trochę i ja... i ja... – Gwałtownie opróżnił swój kubek, a potem, nie odwracając oczu od tancerki, krzyknął: – Wina, szybko! A jednak skąd tutaj takie tancerki? I muzykanci grają coś nieznanego... Od tej muzyki czuję

się bardziej pijany niż od wina... Popatrz tylko, co się dzieje! Nie, dłużej nie wytrzymam! – Głośno odstawił kubek i uniósł się z fotela.

Inni rycerze, zapominając o jedzeniu i piciu, też nie mogli spokojnie usiedzieć na miejscu: ten dziwny taniec rozpałał namiętności, tumaniał głowy, i wkrótce już wszyscy goście tupali nogami i ryczeli opętani pożądaniem.

Muzyka grała coraz szybciej, dziewczęta krążyły i wyginały się jak różnokolorowe węże. Lekkie tkaniny, nie nadążając za szybkim ruchem tancerek, co chwila obnażały zgrabne nogi i podrygujące piersi...

Nagle jedna z dziewczyn, czarnowłosa piękność, szarpnęła srebrzysty sznur, opasujący jej szatę, i gwałtownym ruchem odrzuciła go na bok. Trzy dziewczyny w dalszym ciągu krążyły za jej plecami, a ona zatrzymała się, poruszyła ramionami i szkarłatny jedwab jak lekki obłok spłynął do jej nóg. Czarnowłosa dziewczyna stała, niewidzącymi oczyma spoglądając w stronę Ferdina, a goście aż umilkli, podziwiając jej smukłe ciało.

W tejże chwili rozległ się łoskot przewracającego się fotela i jeden z gości, rzuciwszy na podłogę niedopity kubek, rycząc i szczerząc zęby, jak ogłupiałe z namiętności zwierzę, rzucił się do niej, roztrzaskując mniej sprytnych konkurentów.

Dziewczyna uczyniła krok w jego stronę, schodząc z dywanu na kamienną podłogę, a on pożądliwie schwycił w objęcia jej bezwolne ciało, przycisnął do siebie jak cenną zdobycz i rzucił się do otwartych drzwi. Strażnicy odprowadzali go złym, zawistnym wzrokiem, ściskając halabardy w spotniałych rękach.

Muzykanci znów zagrali swą melodię: najpierw wolno, potem coraz szybciej i szybciej... Dziewczęta zawirowały. Ale oto następna wyszła naprzód, rozwiązując srebrny pas. Rude włosy okrywały jej śnieżnobiałe ramiona. Nie zdążyła jeszcze zrzucić z siebie zielonego jedwabiu, gdy rozległ się dziki wrzask Gertrana, który odrzucił fotel i wyciągnął z pochwy sztylet:

– Ona jest moja! Nie podchodzić, bo każdego zabiję! Ty, smarkaczu, dokąd leziesz?! – Dał w ucho młodemu rycerzowi, który już rwał się w tamtą stronę, i ostrzegawczo wymachując sztyletem wyskoczył na środek sali.

Ferdin z pogardliwym uśmiechem w milczeniu spoglądał na szalejących gości. Ledwie dostrzegalnie poruszył palcem i muzyka przestała grać, a dziewczyna posłusznie wyszła naprzeciw Gertranowi. Gertran odrzucił sztylet, który z brzękiem upadł na czarne

kamienie podłogi, chciwie powiódł drżącymi rękoma po ramionach i piersiach nieruchomej tancerki, a potem z okrzykiem: „Moja!”, schwycił ją i pobiegł do drzwi. W tejże chwili znów zagrała muzyka.

Jasnowłosa tancerka o delikatnej, nieco piegowatej twarzyczce, z ustami jak u bezbronnego dziecka, stała zrzuciwszy niebieski jedwab i czekała, któremu z tych pięciu bijących się ze sobą rycerzy ma przypaść w udziale... Tymczasem szczupły młodzieniec doszedł do siebie po mocnym ciosie, korzystając z zamieszania podbiegł do dywanu, złapał ją za rękę i szybko pociągnął do drzwi. Kiedy walczący oderwali się od siebie, zawyli ze złości i rozczarowania: na dywanie została tylko jedna dziewczyna. Z przymkniętymi piwnymi oczyma uwodzicielsko wyciągała do nich ręce, falując w słodkim tańcu; na maleńkich stópkach, ledwie dotykając miękkiego dywanu, fruwała niczym złocisty motyl. Muzyka popędzała ją, każąc wirować coraz szybciej, a jednocześnie powstrzymywała rozpalonych żądzą mężczyzn, którzy murem stali wokół niej.

Tłuścioch, siedzący po prawej ręce Ferndina, chciał biec za każdym razem, gdy któraś z dziewcząt zrzuciła odzienie. Teraz, widząc przed sobą plecy gości, gotowych schwytać upragnioną zdobycz, porwał ciężki fotel i rzucił się naprzód.

Ferndin odprowadził go wzrokiem, uśmiechnął się i poruszył ręką. W ciszy, która nastąpiła, młodzieńcy, nie wypuszczając harf z kurczowo zaciśniętych palców, z cichym jękiem zwalili się na podłogę.

Tłuścioch z rozmachem uderzył fotelem kogoś w głowę, kopniakiem odrzucił jednego, a drugiego powalił pięścią; potem schwycił swą zdobycz, zarzucił na plecy jak worek i wybiegł z sali. Strażnicy oblizali zaschnięte usta, z hukiem zamknęli wysokie drzwi i znów zamarli bez ruchu, ze złośliwą satysfakcją spoglądając na pozostałych biesiadników.

Gospodarz dopił wino ze złotego kubka i oglądał salę, która wyglądała jak pole bitwy po walce, kiedy lada chwila zlecą się żarłoczne kruki. Któryś z gości zasnął przy stole z twarzą w nie dojezdnym pasztecie, ze zwieszoną bezwładnie ręką, ktoś zwałił się na podłogę i płaczącym się językiem żądał więcej wina...

Na wspaniałym dywanie pozostali bez kobiet rycerze okładali się pięściami. Gdy już wreszcie mieli dość tej bezcelowej walki, chwając się na nogach, podtrzymywani troskliwie przez służbę, zaczęli rozchodzić się do swoich pokojów.

Znudzony Ferndin jeszcze raz zerknął na gości zimnym wzrokiem i bez słowa wyszedł z sali przez małe drzwi. Natychmiast pojawił się jak spod ziemi Akrus i ruszył za nim niczym cień.

Gdy rano Ferndin obudził się w sypialni barona Dissa, zaklaskał w dłonie i natychmiast obok wspaniałego łóżka pojawił się pochylony z szacunkiem sługa. Spoglądając na swego pana z oddaniem, skrzyżował na piersi ręce w oczekiwaniu rozkazów.

– Ci szakale są wyjątkowo żarłoczni, Akrusie... Chyba wczoraj zjedli wszystko, co zdobyliście.

– Coś niecoś zostało, ale oni rzeczywiście podobni są do wygłodniałych psów, żrą tak, jakby cały rok karmiono ich suchymi skórkami chleba.

– Nikczemna zgraja, ale bardzo mi się przydadzą w Menorze. Tak więc zbierz ludzi i jedźcie do wsi! Żeby dzisiejszy obiad był nie gorszy od wczorajszego! No i najważniejsze: sprowadźcie do zamku wszystkie ładne dziewczęta, bo cztery to stanowczo za mało... Tylko patrzeć, a ci wspaniali rycerze zaczną o nie walczyć na środku podwórza! No, szybko!

– Tak jest, panie baronie! – Akrus skłonił się z szacunkiem i zauważył, jak pojaśniało z zadowolenia oblicze jego pana.

Wkrótce na podwórzu rozległy się głośne nawoływania, tupot kopyt i niewielki oddział pośpiesznie opuścił zamek.

I oto nadeszła pora obiadu. Wysłani goście zebrali się na szerokim tarasie, cicho rozmawiali ze sobą i niechętnym okiem spoglądali na wczorajszych szczęśliwców...

Oddział, który pojechał do wsi wczesnym rankiem, jeszcze nie wrócił i Ferndin, uprzejmie uśmiechając się do gości, z niecierpliwością zerkał w stronę bramy, aż wreszcie kazał nakrywać do stołu... Liczne srebrne dzbany z winem powinny wynagrodzić gościom skromny posiłek.

„Gdzie oni się podziali? No, Akrusie, łotrze jeden, jak się tylko zjawisz, zostanie z ciebie mokra plama! Zapewne dorwali się do dziełek, widziałem wczoraj, jak ci zbóje się oblizywali...” – Ferndin, kątem oka spoglądając na podwórze, nie spieszył się z zapraszaniem gości do sali bankietowej.

Wściekłość kipiała mu w piersi, przekleństwa same cisnęły się na usta. Pod pretekstem, że musi wydać jakieś polecenie, Ferndin zostawił gości i szybkim krokiem skierował się do wieży obserwacyjnej. Idąc mrocznymi korytarzami starego zamku nie mógł się już powstrzymać i mruczał ze złością:

– Akrusie, ty łotrze! Zapłacisz za to spóźnienie! I niech będzie przeklęty ten bałwan Orgeld, który zesłał mnie na to ohydne pustkowie! Nie, nie zamierzam udawać dbałego gospodarza. Wycisnę z tego majątku wszystko, co się da, a potem wrócę do Menory! Zostawię tutaj silny oddział swych ludzi, i żeby wszystko kwitło, jak przyjadę następnym razem! Ci lenie zapomnieli u starego Dissa co to strach – ale teraz przypomną sobie! Set mi świadkiem, że przekonają się, jak powinien postępować prawdziwy gospodarz!

Ferndin zaczął już wchodzić na strome schody wieży, kiedy nagle usłyszał łoskot opuszczanego mostu i skrzywienie ciężkiej bramy. Gwałtownie się odwrócił i szybko poszedł z powrotem. Przez wąskie okno wychodzące na podwórze zobaczył swój oddział – jeźdźcy, zakurzeni i zmęczeni, ciężko zsiadali z koni. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby poznać prawdę: wrócili z pustymi rękami...

Akrus rzucił koniuchowi wodze i pobiegł na pokoje swego pana. Ferndin, zagryzając wargi i groźnie mrużąc oczy, czekał u drzwi. Gdy Akrus go zobaczył, skulił się, oczekując bicia, i szybko zaczął mówić urywanym głosem:

– Och, nie gniewaj się, nie gniewaj się, mój panie! Objechaliśmy wszystkie trzy wsie – Bentę, Chłank i Odler – i wszędzie pusto, ani żywego ducha, nie ma nic...

– Co?! Co ty pleciesz?! – Ferndin zamachnął się i Akrus cofnął się o krok, ze strachu wtulając głowę w ramiona.

– Panie baronie... Litości, panie baronie... Nie wrócilibyśmy z pustymi rękami, ale tam naprawdę nic nie ma – ani ludzi, ani bydła, nawet nędznej kury. Ci dranie uciekli do lasu, pozostawiając swe domy, żeby tylko nic nie dostało się panu baronowi!

– Znowu prześladowa mnie pech! Potężny Secie, czyż nie składałem ci bogatych darów, czyż nie przysięgałem, że podporządkuję Bergheim twojej woli?!

Wściekły Ferndin miotał się z kąta w kąt.

– I oto wszystko, co osiągnąłem z takim trudem, może rozsypać się w proch tylko dlatego, że nie mam czym nakarmić sfory żarłocznych i sprzedajnych łotrów, gotowych za rzucane ochłapy i obietnice pozbawić władzy, a może nawet życia, swego księcia! Co to za siła kolejny raz staje mi na drodze? Secie, Czarny Secie, władco, pomóż mi!

Po raz pierwszy Ferndin poczuł własną słabość, nawet przy użyciu czarodziejskiej siły nie mógł nic zmienić. Nieoczekiwanie strach cienką, zimną igłą przeszył mu serce, a dłonie pokryły się lepkiem potem.

„Co robić?! Co to wszystko znaczy i czym się dla mnie skończy?“. – Gorączkowo szukał wyjścia i nie mógł go znaleźć. Czuł się jak szczur zapędzony do kąta. – „Och, gdyby był tutaj stary Barch, który zapoznał mnie zaledwie z małą cząstką niezmierzonej mądrości Seta! O, wtedy jasno widziałbym swą przyszłość i uniknąłbym tego okropnego potrzasku!“.

Zgrzytając zębami, wysiłkiem woli odegnał trwożne myśli i rozkazał:

– Zbierz ludzi i posperajcie w lesie koło wsi! Nie mogli daleko uciec, szybko ich znajdziecie! Odszukajcie ich i jak bydlę przyćdźcie tutaj! Wszystkich! – Odepchnął Akrusa i poszedł na taras.

Z uprzejmym uśmiechem zaprosił gości do stołu i starał się żartami stworzyć miłą atmosferę, ale goście, ponuro spoglądając na pustawę półmiski, cicho wymieniali między sobą złośliwe uwagi i tylko pili na umór.

Już nie było słychać hymnów pochwalnych, nikt nie zachwycał się szczodrobliwością barona Redbornu. Szybko rozprawiwszy się ze wszystkim, co było na stole, goście rozeszli się po zamku, szukając jakiejś rozrywki.

Pod wieczór wrócił oddział, prowadząc dwa konie. Akrus wbiegł na komnaty Ferndina.

– Są w lesie! – zaczął już od progu. – Ci dranie śmieli urządzić zasadzkę i zabili dwóch naszych... Ledwie wjechaliśmy do lasu i zatrzymaliśmy się, nasłuchując, czy nie zabeczy gdzieś owca lub nie zaszczeka pies, gdy nagle Charis krzyknął i spadł z konia: strzała wbiła mu się z tyłu po hełm i wyszła gardłem! Nie zdążyliśmy jeszcze ustalić, skąd strzelano, gdy Dżabbi zachrypiał i jak worek zwałił się na drogę. Strzała przebiła mu kolczugę i przeszła serce! Natychmiast rzuciliśmy się w zarośla, ale nikogo nie znaleźliśmy – ci, którzy na nas napadli, zniknęli jak zjawy! Żadnego śladu, zmiętej trawy, złamanej gałązki!

Ferndin, nie patrząc na niego, powiedział głuchym głosem:

– Dobrze, odejdz... Jutro rano zobaczymy, co robić dalej. Powiedziałem, żebyś się wynosił! – krzyknął wściekle i Akrus ledwo zdążył uskoczyć za drzwi: ciężki, rzeźbiony taboret, rzucony przez Ferndina, rozleciał się w drzazgi, uderzając o futrynę.

– Nie sądziłem, stary Dissie, że sprawisz mi tyle kłopotów! – mruczał nowy baron, stojąc w oknie sypialni. – Z jaką łatwością rozprawiłem się z tobą i twoją liczną rodziną! Wszystko szło jak z płatka! I nagle ci nędznicy, którzy żyją tylko dlatego, że ja im na to po-

zwoliłem, ośmielają się sprzeciwić swemu panu! Nie, trzeba wracać do Menory! Już jutro! A wieś spalimy do szczętu!

Rano Akrus ledwie zdołał obudzić swego pana. Barona Ferndina przez całą noc prześladowały jakieś nieuchwytnie czarne cienie, goniąc go w górę, na dół, w koło, popędzając niewidzialnym knutem, a on szamotał się, usiłując uniknąć palących ciosów, jęczał przez sen, ale w żaden sposób nie mógł wyrwać się z niewoli majaków. Dopiero gdy sługa zdecydowanie potrząsnął Ferndinem, otworzył on oczy i natychmiast przypomniał sobie wszystko, co zdarzyło się poprzedniego dnia.

Akrus bezszelestnie podszedł do niewielkiego stolika i wrócił z kubkiem aromatycznego wina; nozdrza mu falowały, gdy wdychał zapach cudownego napoju. Ferndin schwycił kubek, chciwie wypił jego zawartość i opadł na poduszki. Z zamkniętymi oczyma, nie myśląc o niczym, czekał, aż ciepło kujeby rozejdzie się po całym ciele, dając poczucie młodości i siły. Wreszcie zapytał:

– No, a co tam u gości? Jeszcze nie popręczyli sobie gardeł z powodu dziewcząt? I czy coś zostało do jedzenia?

– Nie, mój panie! Ani chleba, ani sera, ani mięsa, tylko wino. Goście złorzeczą, chcąc jak najszybciej wracać do Menory... Sądzę jednak, że bez oddziały strażników pana barona nie odważą się nawet wyrzeć za bramę! – Akrus uśmiechnął się złośliwie.

– Masz rację, ta hałastrą nadaje się tylko do tego, żeby jeść i pić, a kiedy trzeba coś zrobić, nie ma lepszych ludzi niż ci z mojego oddziału. Szkoda tylko, że dwóch straciłem przez tych drani... No nic, oddział jest duży i każdy z niego starczy za trzech. – Usiadł i podał słudze pusty kubek. – Nalej! Jeśli nie ma nic do jedzenia, trzeba chociaż pić! A potem wracamy do Menory! Będę tam musiał dobrze potrząsnąć trzosem, żeby wspaniałymi ucztami zatkać gęby moim drogim gościom... Zresztą i tak szybko ucichną. Zanim wrócimy, o wszystkim zapomną, a ich języki bez ustanku będą wysławiać moją gościnność!

Kiedy Ferndin się ubrał, postanowił pójść na wieżę obserwacyjną. Stąd, z góry, doskonale widać było całą okolicę z dwiema sąsiednimi wsiami – Odlerem i Chłankiem.

Lasy ciemniały wąskim pasmem na horyzoncie i tylko tutaj, koło Benty, dochodziły blisko do zamku. Przypatrzywszy się dobrze, Ferndin dostrzegł na wzgórzu, tam, gdzie jasne pasmo drogi znikало w zaroślach, garstkę jeźdźców, to pojawiających się, to znikających wśród drzew.

Z takiej odległości nie sposób było ustalić, ilu ich jest i jak są uzbrojeni, dlatego oddział obwiesiów Ferndina znów pomknął w stronę lasu. Tym razem nakazano im unikać walki, mieli tylko pokreć się w bezpiecznej odległości i wypatrzeć wszystko, co się da.

Ten oddział już cały rok wiernie służył Ferdinowi. Akrus niemało wypił taniego wina w najgorszych spelunkach Menory, zanim wybrał takich ludzi, jacy byli potrzebni jego panu. Ferndin krytycznie przyjrzał się wszystkim, sprawdził, jak władają bronią, obiecywał złote góry i bacznie wpatrywał im się w oczy. Po czymś takim najemnik stawał się jego wiernym niewolnikiem, nie myślał już o pieniądzach i pragnął tylko jednego – ślepo wypełniać rozkazy swego pana.

Tak więc i teraz ludzie Ferndina, zapominając o tych, którzy zginęli, z głośnymi okrzykami wypadli za bramę i pomknęli w stronę Benty. Baron początkowo chciał im rozkazać, żeby przy okazji podpálili wieś, ale zrezygnował z tego, ponieważ kłęby dymu zasłoniłyby przyszłe pole walki.

To, że do starcia musi dojść, stawało się dlań oczywiste, chociaż miał jeszcze nikłą nadzieję, że uda się stąd ująć bez walki. Zszedł z wieży i kazał wezwać przerażonego zarządcę zamku.

– Ty brudna świnio, odpowiadaj! – rzekł, podchodząc doń ze złą twarzą. – Jak można wydostać się stąd inną drogą? Jak inaczej dojechać do Menory? No, przestań mrużyć pod nosem, odpowiadaj, jeśli ci życie miłe!

– Do Menory pro...prowadzi tylko ta dro...oga... Innych nie ma, wszędzie lasy i bagna, panie baronie!

– Łżesz, draniu! – Ferndin sięgnął do gardła zarządcy, który zmrużył oczy ze strachu i zaczął szybko mówić:

– Jeśli... jeśli na północ, to są tam ścieżki myśliwych, ale prowadzą one do Królestwa Kresowego, do naszych odwiecznych wrogów... Na wschód też nie można, tam są nieprzebyte lasy i bagna... Tylko jeden człowiek zna tajne ścieżki i on mógłby wszędzie zaprowadzić pana barona... Ja lasu nie znam, boję się go, całe życie spędziłem na zamku!

– Gadaj, co to za człowiek?! Natychmiast masz go tutaj sprowadzić!

– To, panie baronie, Algras, myśliwy z Benty... Jeśli pan baron rozkaże po niego posłać, doprowadzi on do Menory każdą drogą!

– Co ty pleciesz, bałwanie?! – Ferndin aż się zatrząsł ze złości. – Śmiesz żartować ze swego pana?! Przecież w Bencie nikogo nie ma!

Tak mocno odepchnął starego sługę, że uderzył on głową o zakopcony kamień ogromnego paleniska i z okrzykiem bólu osunął się na podłogę z roztrzaskaną czaszką.

– Przekleństwo! To pułapka! Czuję niebezpieczeństwo, śmiertelne niebezpieczeństwo! Czy moi ludzie jeszcze nie wrócili? Trzeba porachować się z tą garstką buntowników i wracać do Menory! O, jeszcze popamiętacie Ferndina, pożałujecie, że śmieliście szczyrzyć zęby na swego pana!

Nie zwracając uwagi na zwłoki starego zarządcy, obszedł kałużę dymiącej krwi i z hukiem zatrzaskał drzwi, udając się spieszenie na zamkowy podwórzec. Słysząc było stamtąd tupot kopyt i wzburzone głosy najemników, którzy właśnie wrócili.

Na widok swego pana ucichli i jeden z nich, o twarzy niemal oczy zarośniętej postrzępioną brodą, z pokłonem wystąpił naprzód.

– No i coście tam zobaczyli? Czy oni rzeczywiście zamierzają odciąć nam drogę do Menory? – z udawanym spokojem zapytał Ferndin, uśmiechając się ironicznie.

– Panie baronie, jest ich tam z pół setki, jedni pieszo, inni wierzchem, a wszyscy z łukami i krótkimi mieczami! Nie mają jednak ani kolczug, ani pancerzy, od razu widać, że to ochotnicy, a nie prawdziwi żołnierze! – Brodacz również pozwolił sobie na uśmiech, od którego zafalował cały zarost na jego twarzy. – Potrafią tylko kryć się w lesie, na polu przegonilibyśmy ich!

Ferndin poklepał brodacza po ramieniu:

– W takim razie trzeba ich wywabić w pole! Najlepiej tu, bliżej zamku, ale ostatecznie można też tam, koło wsi. Masz rację, Orlofie, oni czują się w lesie, jak u siebie w domu, ale tutaj, kiedy nie będzie gdzie się schować... Och, prostacy, odpłacę wam za to, że narobiliście mi kłopotów! A kiedy będzie już po wszystkim, dobrze się zabawimy, klnę się na Seta! – I pewnym krokiem udał się do sali bankietowej, gdzie hałasowli przy pustych stołach niezadowoleni goście.

XVIII

– Popatrz, popatrz, opuszczają most zwodzony! A jednak Ferndin nie wytrzymał!

Biorri, trzymając za uzdę swoją kłacz, radośnie tańczył w krzakach obok Cymmerianina. Z gęstej kępy olszyn, gdzie stali, dosko-

nale widać było drogę prowadzącą do zamku. Conan, zaciskając pięści, obserwował, jak z bramy zamku w ślad za najemnikami Ferdina wyjeżdża pstrokaty tłum jego gości.

– A oto i on! Popatrz, Conanie, jak złoci się jego zbroja! Czyżby baron aż tak zgłodniał? Pewnie myślą, że raz dwa rozprawią się z wiejskimi buntownikami! Żeby tylko Mergit nie zawiodła, prawda, Conanie?

– Cicho bądź, Rudy, nie trzęś krzakiem i nie trącaj mnie w plecy! Przecież nie jestem ślepy! No, Ferdinie – do bólu zacisnęła szczęki i zmrużyła oczy – chodź tutaj, chodź! Popatrz, Biorri, jak dali się nabrać! Jego służy jada z pochodniami, a to znaczy, że chcą myśliwych wykurzyć z lasu! Wszystko tak, jak mówiłem! Czas już, żeby Algras ruszył w stronę wsi... Czy nie widzisz, co się tam dzieje?

– Zamieszanie, bieganina, siadają na konie... Algras jedzie pierwszy... Za chwilę będą tutaj... No, Conanie, zaraz się zacznie! Żeby tylko Mergit...

– Daj spokój! Mergit, Mergit! Ostatecznie i bez niej się obejdzie! To prawda, że ma straszne psy, ale co psy zrobią rycerzom w pełnej zbroi? Mogą najwyżej wywołać zamieszanie wśród tej sfory, co też się przyda, ale nie licz zbyt na ich pomoc. Trzymaj się obok mnie, osłaniaj mi tyły, tak jak ustaliliśmy, jasne?

Oddział uzbrojonych jeźdźców zbliżał się do mostu na wąskiej rzeczce, za którą zaczynało się szerokie pole, upatrzone przez Ferdina na pole walki. Jego najemnicy jechali na czele z zapalonymi pochodniami, jakby zamierzali podpalić wieś. Ferdin śmiał się pod wąsem: oczywiście, tak jak sądził, ci głupcy wylegli z lasu i bojąc się, że mogą zostać bez dachu nad głową, popędzili na spotkanie własnej śmierci. Za jego plecami głośno rozmawiali goście, rozszłoszczeni tym, że wieczorem i rano nic nie podano na stół prócz wina:

– Oho, ile tam tych wiejskich wieprzy! Zaraz zaczną uciekać przez pole jak zające!

– Dobra szykuje się zabawa! Trzeba pomóc naszemu szczodrobliwemu gospodarzowi rozprawić się z tą zgrają, a on już nam to wynagrodzi!

– Aż ręce swędzą! Już drugi dzień nic nie dostaliśmy prócz wina! Zaraz ja tych baranów...

Ferdin z satysfakcją przysłuchiwał się głosom rycerzy, podnieconych winem i zbliżającą się walką. Doskonale! Mówili i robili to, co chciał, zachowując się nie gorzej od wiernych najemników, ślepo spełniających jego wolę.

Spoglądając spoza szerokich pleców sług jadących na przdzie w stronę lasu, nie wątpił już, że ma w ręku wszystkie atuty. Całkiem uspokojony dziwił się, że rano okazał taką słabość, tak się bał. Czegoś takiego nigdy dotąd nie było.

„I nie będzie!” – pomyślał z przekonaniem, widząc pod lasem krzątające się postacie.

Kopyta głucho zadudniły na deskach mostu i groźny oddział wolno wyjechał na szeroką polanę. Ferndin kazał jeźdźcom zatrzymać się i wskazał ręką wieś, jakby dawał rozkaz ludziom z pochodniami, którzy wysunęli się do przodu i pogalopowali drogą. Inni, przygotowując się do walki, ruszyli za nimi.

Ich przeciwnicy, usiłując osłonić wieś, zbliżyli się do rycerzy. Teraz widać było, że na mocnych wiejskich koniach siedziało po dwóch jeźdźców: z przodu człowiek z krótkim mieczem i niewielką tarczą, a z tyłu łucznik.

Łucznicy zręcznie zeskoczyli z końskich zadów i zasypali rycerzy gradem strzał. Ludzie Ferndina, posłuszni rozkazowi, natychmiast utworzyli zwarty szereg i z pochylonymi groźnymi kopiami rzucili się na przeciwnika.

Jeszcze chwila i doszłoby do starcia. Jednak właśnie wtedy z krzaków z trzaskiem i krzykiem, popędzając swego rumaka, wypadł rozjuszony Cymmerianin i zastąpił drogę oddziałowi Ferndina. Niczym czarna błyskawica przemknął przed szykującymi się już do ucieczki wiejskimi wojownikami, wysoko uniosł nad głową szeroki miecz i jednym ciosem przerąbał kilka kopii. Mur jeźdźców drgnął, a Conan, korzystając z zamieszania, natychmiast uczynił wyłom w szeregach wroga. Za nim na cienkonogiej klaczy z trudem nadążał Biorri. Od pierwszej chwili widać było, że rudy przechera włada ciężkim mieczem nie gorzej niż delikatną ertą.

Wokół potężnego rycerza na czarnym koniu zawrzała zacięta walka. Pewnym siebie najemnikom nie zdarzyło się jeszcze spotkać tak niebezpiecznego przeciwnika – zanim zdążyli unieść miecz, już mieli odrąbane ręce. Nie patrząc na rannych wrogów, Cymmerianin rzucał się na następną ofiarę, i już wkrótce oddział strażników Ferndina stracił połowę ludzi. Czarny ogier, zezując przekrwionymi oczami, tocząc pianę z pyska, ciężkimi kopytami deptał pokonanych, kończąc dzieło swego pana.

Tymczasem łucznicy, chcąc pomóc Cymmerianinowi, zasypywali wrogów strzałami, nie czyniąc im jednak żadnej szkody: groty odbijały się od tarcz i mocnych pancerzy.

Ferndin, początkowo jak wszyscy zaskoczony takim obrotem sprawy, zorientował się, że to załedwie jeden rycerz walczy z jego oddziałem. Groźnie błysnął oczyma i wstając w strzemionach zawołał:

– Naprzód! On jest tu tylko jeden! Ten drugi się nie liczy! Okrzyć go, nie dajcie mu uciec! To dlatego ci głupcy odważyli się zbuntować! Dalej, zająć od tyłu!

Rycerze wreszcie się opamiętali, zrozumieli, że to prawdziwa walka, a nie zabawa. Dodając sobie otuchy wojowniczymi okrzykami, natarli na Conana i Cymmerianin wkrótce przekonał się, że ci paniczycowicie umieją się całkiem nieźle bić. Nie zwracając uwagi na syjące się strzały, tak go naciskali, że ledwie nadążał odparowywać ciosy.

Ostatecznie Conan i Biorri zostali otoczeni przez coraz śmielej sobie poczynających przeciwników i Ferndin, wysunawszy się nieco do przodu, stanął oko w oko z Cymmerianinem. Nagle lepki strach znów napłynął zimną falą, włosy zjeżyły mu się pod złoconym hełmem – w groźnym wojowniku, który unosił już miecz do zadania ciosu, rozpoznał swego przeciwnika, zabitego na turnieju... Lodowate oczy Cymmerianina napotkały pełne przerażenia oczy barona... Ferndin, jakimś cudem unikając miecza barbarzyńcy, skrył się za plecami rycerzy.

Tymczasem ci, którzy otoczyli Conana ciasnym pierścieniem, bawili się z nim jak z zaszczutym zwierzem; rozpaczliwie osłaniając się od ciosów, Conan ze wszystkich sił starał się przedostać do Ferndina, który to tu, to tam pojawiał się za plecami swych gości.

A więc to koniec... Znikąd pomocy... Z wieśniaków uzbrojonych w krótkie miecze i myśliwskie łuki właściwie nie ma żadnego pożytku... Jednak mimo wszystko dobierze się jakoś do tego przeklętego zabójcy i jego wierny miecz napije się czarnej krwi Ferndina! A Mergit... co z nią?! Miał rację, że nie ma co liczyć na obietnice zwariowanej staruszki... I nie widząc już nic prócz błyszczącej zbroi Ferndina i jego wykrzywionej strachem, pożółkłej twarzy, Conan z nową siłą rzucił się na napastników.

Nagle za jego plecami rozległy się okrzyki przerażenia. Mocnym ciosem rozplątawszy czaszkę jednemu rycerzowi i zrzuciwszy z konia drugiego, Conan wyrwał się z okrążenia i spojrzął do tyłu: od strony lasu mknęło galopem siedmiu jeźdźców na czarnych koniach, w czarnych zbrojach. Za ich plecami powiewały krótkie czarne opończe, a na hełmach trzepotały kity z czarnych piór.

Wieśniacy rzucili się do ucieczki, przekonani, że rycerzy tych przysłano z Menory na odsiecz baronowi.

Conan i Biorri też pomyśleli, że to oddział księżęcy; Cymmerianin, postanawiając drogo sprzedać swe życie, zawołał:

– No, Rudy, zaraz zrobi się gorąco! Trzymaj się!

Runął na wrogów jak niepowstrzymana górską lawina, sięjąc śmierć i przerażenie na swej drodze. Ale Ferndin, przeklęty Ferndin, ciągle mu umykał, z nadzieją spoglądając na zbliżających się jeźdźców; jak wszyscy był przekonany, że to wysłańcy księcia. Starając się trzymać jak najdalej od straszego miecza Cymmerianina, kręcił się po polanie, dodając otuchy walczącym i mrużąc radośnie:

– O, Secie! Usłyszałeś moje wołanie! Wiedziałem, że księżę nie wytrzyma i pośle po mnie swych ludzi! Zaraz skończymy z tym przeklętym barbarzyńcą! Och, Czarny Secie, a co to takiego? Cofać się! Cofać się do zamku! Szybko!

Jednak było już za późno: trzech czarnych rycerzy, pędząc na ukos przez pole, znalazło się tuż koło mostu, odcinając drogę odwrotu. Pozostali jak wicher uderzyli na ludzi otaczających Conana i wściekły szereg mieczy złał się z krzykami i jękami umierających.

Oddział Ferndina, jeszcze niedawno taki groźny, przemienił się w kupkę oszalałych ze strachu jeźdźców, miotających się po polu i bezskutecznie usiłujących uniknąć śmierci. Teraz oni znaleźli się w okrążeniu: siedmiu rycerzy stało dokoła, nie dając się nikomu wyrwać, a w środku srożył się Conan, w czarnej zbroi niemal niczym nie różniący się od czarnych jeźdźców.

Coraz mniej było pleców, za którymi mógł się skryć Ferndin. Pałające niebieskie oczy ciągle go prześladowały, a ci czarni jeźdźcy, w milczeniu stojący dokoła, wprawiali go w jeszcze większe przerażenie – nawet nie usiłował się wymknąć i tylko spinał ostrogami konia, unikając ciosów.

Jakże brakowało mu czarodziejskiej siły starego Barcha, o której na próżno marzył całe życie! Rozwinąłby teraz czarne skrzydła i wleciał pod niebo, wystrychnąszy na dudka tego giganta Cymmerianina i czarnych jeźdźców, na których bał się nawet spojrzeć.

„Nie, trzeba jednak spróbować! O, Secie, władco, pomóż mi!” – i z ochryplym krzykiem, podobnym do krakania wrony, Ferndin gwałtownie zawrócił konia, zamierzając rzucić się na czarnego jeźdźca z determinacją człowieka pozbawionego resztek nadziei na ocalenie, ale ręka uniesiona do zadania ciosu nagle opadła, gardło ścisnęła spazm strachu, a po plecach pociekły krople zimnego potu.

Jeździec na czarnym koniu harcował parę kroków od niego, nie atakując ani się nie broniąc. Nałożona na zbroję krótka opończa trzepotała za jego plecami jak na silnym wietrze, chociaż Ferndin nie wyczuwał na rozpalonej twarzy najmniejszego powiewu. Pod dziwnym czarnym hełmem z kitą kołyszącymi się czarnymi piór widniała blada twarz; zapiekłe poczerwiałe usta skrzywione były w złowieszczym uśmiechu. Nieruchome oczy pod ściągniętymi brwiami przesywały na wylot jak kopie: jeździec patrzył mimo Ferndina, a zarazem wprost na niego. Prerażony baron odwrócił oczy i napotkał wzrok drugiego jeźdźcy w czarnej zbroi. Wydało mu się, że jest to ta sama twarz... Chciał się znów ukryć za swymi rycerzami, ale Conan rozproszył już wrogów po całym polu, a Biorri dobijał tych, którzy unikali rozwścieczonego Cymmerianina, mając nadzieję na ucieczkę.

Conan rąbał mieczem, szukając spotkania z tym jednym jedynym przeciwnikiem, traktując strąconych z siodeł rycerzy jako przeszkodę na swej drodze. I oto wreszcie nastąpił moment, kiedy między nim a Ferndinem nikt już nie pozostał. Tylko kilka spłoszonych koni biegało po polu, a na zdeptanej trawie leżały stopy porąbanych ciał...

Wieśniacy, bojąc się w to mieszać, spoglądali z daleka na niezwykłą walkę. Wykonali już swoje zadanie, wywabiając wroga z zamku, a teraz, zgodnie z uprzednim poleceniem Conana, przezornie trzymali się na uboczu, widząc, że Cymmerianin i tak zostanie zwyciężony. Ferndin, nie tracąc jeszcze nadziei, że uda mu się wymknąć, puścił konia wściekłym galopem wkoło, ale wszędzie napotykał błyszczące ostrza mieczy i mrozące krew w żyłach spojrzenia jednakowych czarnych oczu. Okrąg coraz bardziej się zacieśniał, czarni rycerze podchodzili coraz bliżej, ale żaden z nich nie próbował go atakować. Widząc, że na razie go nie ruszają, Ferndin gwałtownie zwrócił się w stronę Cymmerianina. Mimo wszystko łatwiej było znieść jego pełne nienawiści spojrzenie niż tamte oczy...

– O, Czarny Secie, dopomóż słudze twemu! – w rozpaczy zawołał Ferndin. – Pomóż, a ja... Tak, barbarzyńco, zbyt wcześnie triumfujesz, jeszcze zobaczymy, kto swoim ciałem będzie karmił kruki!

Spiął konia ostrogami i rzucił się na Conana. Ich miecze skrzyżowały się ze zgrzytem, tak jak całkiem niedawno na Świętym Turnieju, ale teraz Ferndin czuł, że do powstrzymania naporu potężnego Cymmerianina nie starczy mu nawet tych sił, które zawdzięczał cu-

downemu napojowi. Ledwie nadązał zasłaniać się przed ciosami, które spadały nań ze wszystkich stron. Broniąc się, czarownik starał się tak ustawić swego konia, żeby własną nogą dosięgnąć nogi Cymmerianina. Wiązał z tym ostatnią nadzieję: cienkie stalowe szpikulce, umocowane do nosków butów, z łatwością mogły przebić najgrubszą skórę, jedno uklucie i przeciwnik jest już martwy – przed trucizną, którą używają słudzy Seta, nie ma ratunku.

Cofając się i robiąc uniki, Ferndin wbił wreszcie szpikulec w coś miękkiego. Kary koń zachrapał, stanął dęba i jak skoszony runął na ziemię. Conan z kocią zręcznością wyskoczył ze strzemion i stanął obok z uniesionym groźnie mieczem.

Zapominając o czarnych jeźdźcach, Ferndin zaśmiał się zło-wróźnie:

– Co, Cymmerianinie, jeszcze raz zachciało ci się zakosztować mego miecza?! Tym razem twoja głowa upadnie daleko od ciała!

Zamachnął się, stając w strzemionach, ale nagle jego koń żałośnie zarżał i zaczął się walić na bok: to Biorri podkradł się od tyłu i przeciął ścięgna rumakowi barona. Ferndin ledwie zdążył wyrwać jedną nogę ze strzemięcia, gdy koń padając całym ciężarem przyniósł mu drugą. Leżał na ziemi, ze wszystkich sił starając się uwolnić, a ostry ból czerwoną mgłą zasnuwał mu oczy. Szeroki miecz Cymmerianina, wysoko uniesiony nad przeciwnikiem, opadł ze świstem, zasłaniając światło słońca, i głowa barona Ferndina, z wyszczerzonymi zębami i wytrzeszczonymi oczyma, odleciała daleko na bok, prosto pod nogi jednego z czarnych jeźdźców.

Ciężko dysząc, Conan stał pośrodku pola:

– Koniec... Wróg zabity, ale muszę coś jeszcze zrobić... coś jeszcze...

Jeden z czarnych rycerzy nasadził na pikę okrwawioną głowę Ferndina i wolno skierował się w stronę zamku. Inni ruszyli jego śladem. Po kilku krokach ten, który jechał ostatni, odwrócił się i władczym gestem wezwał Cymmerianina. Przechodząc przez zabitych, Conan, chwiejąc się na nogach, podszedł do swego nieoczekiwanego sprzymierzeńca. Spojrzał mu prosto w twarz ukrytą pod dziwnym hełmem i natychmiast odwrócił wzrok: takim chłodem powiało z bezdennych czarnych oczu. Ledwie poruszając ciemnymi ustami, jeździec rzekł głuchym głosem:

– Ogień wszystko stawi, wszystko zabierze... Dusze odzyskają spokój...

I wolno ruszył w stronę zamku.

XIX

– Nie podoba mi się to wszystko... – Głos Rudego Biorriego wyrwał Conana z odrętwienia. – Nie podoba się, ale i tak trzeba tam jechać. Masz tu konia, trzymaj wodze. Co prawda, nie może się on równać z twoim rumakiem, ale to już trudno. Ech, szkoda karego!

– Tak, Rudy, trzeba jechać i odszukać piwnice, o których mówiła stara Mergit. – Conan poklepał po zadzie dereszowatą kobyłę, schwytaną przez Biorriego. – Czym oni karmili swoje konie?! Taki zdechłak do zamku jakoś mnie dowiezie, ale nie mam pojęcia, jak będę wracał. Chyba trzeba będzie kupić konia we wsi. No, jedziemy, bo widzisz, zatrzymali się, czekają na nas!

Conan wskoczył na konia i pojechali truchtem w stronę mostu, gdzie czekali na nich tajemniczy czarni jeźdźcy. Widząc, że Cymmerianin pospiesza za nimi, znów wolno ruszyli ku zamkowi. Conan obejrzał się, słysząc za plecami tętent kopyt – to Algras i kilku ludzi ze wsi doganiali ich, najwyraźniej nie dowierzając tamtym rycerzom, którzy nie wiadomo skąd się pojawili. Tak więc jechali dalej dwiema niewielkimi grupkami: na czele czarni rycerze w rozwiewających się opończach, triumfalnie, jak najcenniejszą zdobycz, niosący na ostrzu kopii głowę Ferndina, a następnie Conan, Rudy Biorri i dziesięciu myśliwych z Benty.

Zamek był coraz bliżej. Wydawało się, że jego potężne, ciemne mury nie zostały wzniesione ludzkimi rękoma, lecz same przez się wyrosły spod ziemi, tak jak dąb wyrasta z żołądzi. Conan spoglądał na wilgotne, stare kamienie i jak przedtem ciężko mu było na duszy.

Kiedy jechał tutaj, sądził, że skoro tylko jego miecz przeszyje wroga – od razu poczuje błogi spokój. Okazuje się jednak, że choć zabił wroga, nie jest to jeszcze koniec drogi, i nie zasnął spokoju.

Kopyta koni zadudniły na grubych balach zwodzonego mostu i czarni jeźdźcy skryli się za skrzydłem uchylonej bramy. Conan, Biorri i inni również wjechali na podwórze i rozejrzeli się zdziwieni – czarni rycerze zniknęli, jakby w ogóle nigdy ich nie było. Biorri pierwszy zobaczył w kącie podwórza stos ciał służby z posiniałymi, wykrzywionymi grymasem śmierci twarzami. Algras zeskoczył z konia, podbiegł i delikatnie uniósł głowę rudowłosej dziewczyny:

– Lejema! To Lejema, córka mojego sąsiada! O, Mitro, co on z nimi uczynił?! Jakie mają straszne, napuchnięte twarze! Tylko po włosach można poznać...

Conan podszedł bliżej i przyjrzał się uważnie:

– To trucizna, Algrasie! Przeklęty Ferdin był jednym ze sług Czar-
nego Seta, a oni najchętniej używają trucizny... Wiele razy widziałem,
jak ludzie umierają od tego. Lepszy jest cios miecza prosto w serce!
Popatrz, tu są jeszcze dwie dziewczyny i ... Biorri, chodź szybko!

Rudy podbiegł do Cymmerianina, spojrzął we wskazanym kie-
runku i gwizdnął cicho:

– A więc to tak... Prawdę mówiąc, tak też sądziłem! Znaczy, że
Mergit...

– Tak, to jej psy, i gdyby nie one, z pewnością już byśmy nie
żyli. On chyba czeka na nas!

Ogromny czarny pies, ledwie widoczny w cieniu okapu, stał przy
niewielkich otwartych drzwiach, nie spuszczać z Cymmerianina
pałających oczu.

– Na Kroma, już wolę ich w tej postaci, czy też tak sądzisz,
Rudy? No to chodźmy. – Conan odwrócił się do Algrasa: – Pójdiesz
z nami, a reszta niech czeka na podwórzu. Znajdź też gdzieś mocny
sznur i pochodnię – chyba nam się przydadzą.

Cymmerianin zdecydowanym krokiem ruszył za psem, który
skrył się za drzwiami. Poczekawszy na Biorriego i Algrasa, Conan
pochylił głowę i wszedł do wąskiego korytarza. Ku jego zdumieniu
nieco dalej, tam, gdzie łączyły się dwa przejścia, płonęła pochodnia,
wetknięta w szczelinę między kamieniami. Cymmerianin wyciągnął
ją i rozejrzał się, niepewny, w którą stronę się udać. Lewy korytarz
niknął w ciemności i nawet światła dwóch pochodni było za mało,
żeby się zorientować, dokąd prowadzi. Prawy korytarz wcale nie był
lepszy.

– Mergit mówiła, że piwnice znajdują się w zachodnim skrzy-
dle. Ej, Algrasie, czy bywałeś w zamku? – Głos Cymmerianina głu-
cho zabrzmiał w pustych korytarzach.

– Bywać, bywałem, jednak nie tutaj, lecz w komnatach barona
Dissa, kiedy wydawał mi polecenia w związku z polowaniem. A do-
kąd idziemy? Powiedz, czego szukasz, może potrafię ci pomóc.

– Gdzie są stare piwnice na wino? Wiem, że nad nimi znajdują
się apartamenty dla najdostojniejszych gości...

– To w tym końcu, gdzie jest królewska sypialnia. Musimy iść
w lewo.

Z obnażonymi mieczami ostrożnie ruszyli naprzód. Ciemności
rozstępowały się przed światłem pochodni, wąski korytarz długo wił
się niczym górską ścieżką, aż wreszcie doprowadził do zamkniętych
dębowych drzwi.

– No i proszę – mruknął rozczarowany Biorri – zamknięte! Ech, piesku, piesku, czemuś nie pokazał, któredy mamy iść! Trzeba będzie wracać.

– Rudy, popatrz lepiej pod nogi i powiedz, co to takiego. – Conan, oparty plecami o drzwi, z uwagą przypatrywał się ciemnym plamom na podłodze. Algras, podejdź bliżej i poświeć.

– Tak jakby krew, i w dodatku całkiem świeża – jęknął Biorri. – Chyba nieśli zarżniętego barana... – Nagle urwał i zbladł. – Ale jak przeszli przez zamknięte drzwi?

– Po tej bitwie coś ci w głowie szwankuje. Sam się przecież domyśliłeś, co to byli za rycerze, a teraz dziwisz się, że tędy przeszli. Trzymaj pochodnie, a my z Algrasem popchniemy drzwi. Przez tyle lat zawiasy musiały już przerdzewieć...

Schowali miecze do pochew i z całych sił naporli na dębowe deski. Zatrzeszczały, ale nie poddały się.

– No, jeszcze raz! Nie, nic z tego, trzeba inaczej.

Cofnęli się i z rozbiegu mocno uderzyli ramionami w pociemniałe drzwi, które z trzaskiem wyrwały się z zawiasów.

– Rudy, dawaj pochodnię, zobaczymy, co jest tam dalej!

Przestąpili próg i znaleźli się w niewielkiej komnacie bez okien. Na środku stał stół pokryty grubą warstwą kurzu, a na nim paliła się maleńka lampka. Płomyk ognia zatrzepotał, gdy z korytarza wdarł się strumień powietrza.

– Niech nas Mitra ma w swej opiece! – mruknął Algras. – Wiesz, Cymmerianinie, nigdy w życiu niczego się nie bałem, ale tym razem czuję się jakoś dziwnie... Po cośmy tu leźli? Do czego potrzebne ci są te stare piwnice? Sam widzisz, że kryje się w nich jakaś siła nieczysta! Tfu, tfu, mało nam jeszcze było barona Ferdina...

– Nie bój się i idź za mną! Wiem, co robię, a i ty zaraz zrozumiesz. Biorri, nie szczękaj zębami, bo sobie język odgryziesz. Nie ulega wątpliwości, że idziemy dobrą drogą... No tak, ale gdzie teraz? Chyba trzeba wejść po tych schodach, ale są takie zmurszałe, że tylko patrzeć, jak się zawalą...

Conan ostrożnie stanął na pierwszym stopniu schodów, prowadzących do ciemnego wjazdu w suficie. Stopnie groźnie trzeszczały, a poręcz chwiała się, w każdej chwili mogąc się złamać pod ciężarem Cymmerianina. Dwa schodki rozsypały się, ledwie dotknął ich nogą, ale mimo wszystko szczęśliwie dotarł do ciemnego otworu. Wtedy pochylił się i zawołał w dół:

– Właźcie tutaj, tylko ostrożnie! Jeśli schody wytrzymały mój ciężar, nie załamają się pod wami. Ty, Biorri, pierwszy, Algras za tobą!

Lekko, jak wiewiórka, Rudy wbiegł po zgniłych schodkach i zniknął w ciemnym otworze. Algras wchodził wolno, wymacując każdą deskę i czepiając się palcami pokruszonych kamieni zimnej ściany. Kiedy, stękając, z ostatniego chwiejnego stopnia przeszedł na twarą podłogę, za jego plecami rozległ się huk i stare schody runęły, odcinając im odwrót. Lampka na stole zamrugała i zgasła. Cofnąwszy się od otworu w podłodze, Algras rzekł schrypniętym głosem:

– Aleś nas zaprowadził, Cymmerianinie! Czyżbyś szukał skarbów barona? On przechowywał swe pieniądze nie tutaj, lecz u księcia w Menorze. Gdybym wiedział, za nic nie poszedłbym z tobą!

Conan rozglądał się, nie zwracając żadnej uwagi na rozłożonego Algrasa. Znajdowali się w ogromnej sali, niegdyś bogato umeblowanej i ozdobionej połączoną boazerią. Teraz cała poślota złuszczyła się, zamiast drogich tkanin ze ścian zwisały zakurzone szmaty, a światło dzienne z trudem przebijało się przez szczeliny w grubych okiennicach. W kącie leżały zwalone na kupę stare koślawe stoły i połamane fotele. Oprócz paradnych drzwi Cymmerianin dostrzegł w półmroku mniejsze drzwi po obu końcach sali. Od razu uznał, że na główne wejście nie warto zwracać uwagi, wskazał swym towarzyszom jedno małe drzwi, a sam skierował się do drugich. Biorri wziął pochodnię z rąk Algrasa, kucnął w ciemnym kącie i zaczął badać kurz i pajęczyny na podłodze. Gdy nagle usłyszał obok ciche skrzypnięcie, zerwał się na równe nogi i schwycił miecz. Ale to tylko poruszały się drzwi, ledwie trzymające się na jednym zardzewiałym zawiasie. Biorri ostrożnie pchnął je ręką i z lękiem zajrzał do ciemnego lochu. I w tym momencie pod sklepieniem sali zahuczał jego krzyk, od którego spłoszyły się nietoperze:

– Tutaj! Conanie, spójrz, oni byli tutaj!

Cymmerianin podbiegł do Biorriego. Algras choć niechętnie też ruszył się z miejsca i poszedł zobaczyć, co takiego znalazł Rudy.

Conan i Biorri znów spojrzeli po sobie porozumiewawczo, a Algras cofnął się przerażony:

– O, Mitro, chroń nas przed siłą nieczystą! To wilcze tropy! Idźmy stąd, z wilkołakami nie będę więcej walczył, nie jestem czarownikiem ani magiem, a i wy chyba też... Cymmerianinie, czyś ty oszalał, ocaliłeś głowę w polu po to, by tu ją złożyć? No to trzeba było iść samemu, po coś wziął nas?!

– Czy wreszcie zamilkiesz?! – warknął rozsierdzony Conan. – Myślałem, że jesteś solidnym człowiekiem, że nie jesteś tchórzem, bo przecież w pojedynkę chodziłeś na niedźwiedzia, a ty ledwie zo-

baczyłeś na podłodze ślady wilków, od razu ze strachu włązisz na ściany! Przypatrz się lepiej, co to za wilki, czy te ślady nie należą do psów?

Algras kucnął obok i przyjrzał się dobrze:

– Tak... rzeczywiście jakby psy... Ale skąd mogły się tu wziąć? Nie, Cymmerianinie, mów, co chcesz, ale to jednak są wilkołaki! Zastanów się: tu, w sali, nie ma ani jednego śladu, a zaczynają się dopiero za drzwiami. No i co na to powiesz, czy nie mam racji?

– To powiem, że masz milczeć i iść za mną, tak czy owak nie możemy wracać. Chyba że chcesz skrócić kark, skacząc w dół. Chodźmy! Popatrz, nawet Biorri już się nie trzęsie. Dobrze świećcie, gdzieś tu powinno być zejście – zaszliśmy już zbyt wysoko, a mnie są potrzebne piwnice. Stare piwnice, w których przechowywano wino!

Conan pochylił się i śmiało przeszedł przez niskie drzwi. Za nim, ciągle jeszcze niespokojny, ale starając się nie zostawać w tyle, dreptał Biorri, a na końcu, mocno ściskając miecz w rękę i oglądając się co jakiś czas, pospieszył Algras. W lesie znał każdy szmer, krzyk ptaka zapowiadał mu obecność zwierzyny, zmięta trawa wskazywała drogę, a tutaj, w tych ciemnych, zatechłych korytarzach, czuł się jak pogrzebany żywcem. „Brr! Nie chciałbym być baronem, ani nawet księciem, żeby całe życie spędzać w takim kamiennym więzieniu!” – wzdrygnął się, słuchając kroków swych towarzyszy. Nagle Conan i Biorri stanęli i Algras z rozpędu wpadł na nich, nieomal przebijając Rudego mieczem.

– Zabierz to, przyjacielu, bo przelejesz mą niewinną krew. – Biorri dał Algrasowi kuksańca w bok, doprowadzając go do przytomności. – Conan wie, co robi, i sądzę, że nie trzeba będzie walczyć. Tylko dłaczęgo te schody znów prowadzą do góry, a nie na dół? Może skęciliśmy w złą stronę?

– Nie, ślady tu prowadzą, a także krople krwi... Przynajmniej dobrze, że te schody są z kamienia. Przeklęte lochy, dlaczego tyle ich porobiono? Tu i w Menorze...

– W Menorze to co innego... Każdą noc zgodziłbym się wędrować nimi, żeby tylko czekało tam to, co ciebie!

– Nic prostszego! Najpierw nadstaw własną głowę, a potem zażywaj rozkoszy. No, starczy mielenia językiem, idziemy! A ty, Algrasie, schowaj miecz, bo faktycznie przedziurawisz nim Rudego, a kto wtedy zaśpiewa nam wieczorem?

Algras, słysząc ich pewne głosy, nabrał nieco odwagi i zaczął się wspinać na strome kamienne schody. A potem znów skęcali to

w jedną stronę, to w drugą, aż wreszcie dotarli do prowadzących w dół schodów. Ciemne plamy na podłodze wskazywały im drogę.

Chyba to właśnie były te stare piwnice na wino. Paliła się zaknięta w ścianę pochodnia, słabo oświetlając sklepiony sufit, wytartą kamienną podłogę i wielką płytę z żelaznym pierścieniem. Wokół płyty, niczym czarne zjawy, siedziało siedem czarnych psów, nie spuszczać z ludzi gorejących, czerwonych oczu.

Na uboczu, wpatrzona w ścianę niewidzącymi oczami, ponieważ rała się głowa Ferdina; nieźle jej się dostało od psich zębów – fircykowata bródka i wojownicze wąsy zamieniły się w żałosne kłaki, długie czarne włosy, za które psy ciągnęły głowę, zbiły się w okropny kołtun. Conan podszedł bliżej i pochylił się nad szczątkami wroga.

– Popatrz, Biorri: niby on, a jednocześnie jakby ktoś inny! Ferdin był niewiele starszy ode mnie, a to czaszka starca, aż dziw, że ma czarne włosy...

– Czary, przyjacielu, czary! Ci przekłęci magowie nawet stuletnią staruchę mogą zamienić w niewinną dziewczynę, ale ty wiesz o tym lepiej ode mnie! Pamiętasz, jak mi opowiadałeś o tej ślicznotce, która tak ci się wieszała na szyi?

Psy patrzyły, jakby na coś czekając. Conan podszedł do Algrasa, który z lękiem zerkał na psy, i wziął od niego grubą linę.

– Powinna wytrzymać... Zaraz przywiążę ją do pierścienia i spróbujemy ściągnąć płytę. Raz, dwa – Biorri, podłóż coś z boku! Tak, dobrze! Jeszcze trochę! Poszła!

Płyta ze zgrzytem ruszyła z miejsca i rysując podłogę odjechała na bok. Algras i Conan chcieli zajrzeć w ziejącą otchłań, ale ostrzegawczy pomruk psów kazał im się cofnąć o krok. Jeden za drugim psy skakały, znikając w piekielnych ciemnościach. Ostatni schwycił oszpeconą głowę Ferdina, potrząsnął nią wściekle, uderzając o kamienie, i skoczył w ślad za innymi.

Przez jakiś czas panowała kompletna cisza, a potem Conan wziął pochodnię, zajrzał do piwnicy i powiedział:

– Nic nie widać, głęboko tam i ciemno. Trzeba zejść. Nawet są tutaj schody.

Chwila – i zniknął w podziemiach, pozostawiając na górze Algrasa i Biorriego. Przysłuchując się jego cichnym krokom, również oni zaczęli czym prędzej schodzić na dół.

Conan stał w milczeniu, oświetlając kupę kości, niemal do czysta obgryzionych przez szczury. Resztki bogatej niegdyś odzieży mówiły same za siebie: to byli oni, nieszczęśni synowie barona Dissa...

Algras z jękiem osunął się na kolana:

– O, Mitro! Teraz wszystko rozumiem! To ich dusze błąkały się po zamku pod postacią czarnych psów, to oni pomogli rozprawić się z Ferdinem!

– Tak, Algrasie, to oni! Ferdin zabił i starego barona, i baronową, i ich synów, a teraz również jego głowa znalazła się w tej piwnicy! Ale gdzie ona jest? Biorri, gdzie podziała się głowa tego łotra?

Biorri nie odpowiadał. Stał do nich tyłem, ostrzem sztyletu wydłubując ze ściany jakiś kamień. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli, że usiłuje usunąć warstwę jasnych kamieni, którymi założone było wejście do jednej z nisz na beczki. Algras i Conan bez słowa chwycili za sztylety i zaczęli nimi poszerzać szczeliny między kamieniami. Hartowana stała dzwoniła, na wszystkie strony leciały kamienne okrucy i wkrótce powstał otwór, przez który można było przecisnąć rękę. Conan zbliżył twarz do dziury i natychmiast się cofnął – smród rozkładających się zwłok uderzył w nos, mdłości podeszły do gardła. Zakasłał i ze zdwojoną siłą zaczął kruszyć miękki kamień. Otwór stawał się coraz większy, odsłaniając płytką niszę. Starając się tam nie patrzeć, Biorri pracował stępieniem już sztyletem, walcząc z kamieniami jak z żywym wrogiem. Spod rąk Cymmerianina i Algrasa, który wreszcie zrozumiał, o co chodzi, wylatywały wielkie kamienne bryły.

Wkrótce mur został całkiem rozebrany. Wzięli pochodnie i zajrzeli. Tak, to była ona, Mergit! Kiedy tylko Conan ujrzał psy siedzące wokół płyty, natychmiast domyślił się, kogo spotkali w lesie. I teraz poznał jej suknię, nakrycie głowy i włosy, gęstą falą opadające na ramiona... Tylko że zamiast twarzy pustymi oczodołami spoglądała na niego naga czaszka z wyszczerzonymi w triumfalnym uśmiechu śnieżnobiałymi zębami... Conan opuścił oczy i dojrzał u jej nóg głowę Ferdina. Przykute do ściany ręce ciążyły ku ziemi, i Conan, nie mogąc znieść tego widoku, zamachnął się mieczem i przerwał łańcuch. W podziemiach rozległo się ni to westchnienie ulgi, ni to jęk – i szczątki kobiety runęły na głowę jej wroga.

– Teraz należy spełnić ich ostatnią wolę. Gdy się jakoś stąd wydostaniemy, znieśmy do piwnic i komnat zamkowych całe drzewo i chrust... Jeśli będzie za mało, przywieziecie ze wsi. Chodźmy, bo trzeba to zrobić jeszcze dziś!

Nie oglądając się, Conan poszedł na górę, a za nim pospieszył Biorri. Algras ciągle jeszcze klęczał wśród rozrzuconych kamieni, odmawiając modlitwy za zmarłych.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy ułożono ostatnią garść drew i ostatnią wiązkę chrustu. Na podwórzu zamku zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy Benty, którym Algras opowiedział to, co widział sam i o czym dowiedział się od Cymmerianina. Conan stał na szerokich schodach, rozglądając się i kogoś szukając wzrokiem.

– Gdzie się podział ten nasz zuch? Zaraz trzeba będzie podpalić chrust, a jego jak nie ma, tak nie ma... Czyżby gdzieś znalazł dzban wina i nie może się od niego oderwać? Ej, Rudy, Rudy! Chyba znów trzeba będzie przeszukiwać cały zamek...

Jednak w tej właśnie chwili ze stajni wyjrzała znajoma twarz. Rudy potrząsnął rozczochranymi włosami i spojrzął na Conana. Cymmerianin otworzył już usta, żeby go solidnie zwymyślać, ale Biorri przyłożył palec do ust i machnął ręką, wzywając go do siebie.

Conan polecił Algrasowi jeszcze trochę poczekać i pobiegł do stajni.

– Już myślałem, że trzeba cię będzie spalić razem z tymi wszystkimi zmarłymi! Gdzie się szwendasz? Odpowiadaj, co tak mrużysz oczy jak syty kot? Zaraz ci...

Biorri przerwał mu:

– Zdaje się mówiłeś, że nie masz już co robić w Redbornie? Ferdin zabity, zamek zaraz się spali i można będzie się stąd wynosić...

– No tak, bo po co tracić czas? I tak już zbyt długo polowałem na tego kundla... Czekaj, czekaj, Rudy! A miecz? Tfu, przeklęty Ferdin! Przez tych nieboszczyków nieomal zapomniałem o najważniejszym! Przed chwilą, kiedy cię szukałem, zajrzałem do stajni – nie było tam jego ogiera. A więc gdzie jest? Zbroja i miecz pewnie są w pokojach barona. Trzeba tam pójść, póki jeszcze czas...

– Nie gorączkuj się i chodź tutaj, chcę ci coś pokazać. – Biorri pociągnął go za rękaw do ciemnego kąta, gdzie leżała kupa słomy. – Spójrz, ile w tym zamku tajnych drzwi! Na szczęście w niektórych pozostawiono klucze, tak jak tutaj. Widzisz?

Cymmerianin, który równie dobrze widział w dzień, jak i w nocy, już wypatrzył niepozorne, ale mocne drzwi, obite poprzecznymi żelaznymi sztabami. Biorri triumfalnie dwa razy przekreślił ogromny klucz tkwiący w zamku. Na widok tego, co ukazało się ich oczom, Conan aż zaklął z zachwytem. Klepnął Rudego po ramieniu i wszedł za nim do wielkiego pomieszczenia z zakratowanym oknem pod samym sufitem. Przywiązany do stalowego, umocowanego do ściany pierścienia, stał tuż przed nim złocisty ogier. Spoglądał palającymi oczami i niecierpliwie potrząsał jasną grzywą.

Pod przeciwległą ścianą, jak w zbrojowni, stała szeroka ława, pokryta drogim dywanem. Rozłożone były na niej części książęcej zbroi – nagrody zwycięzcy w Świętym Turnieju – a na ścianie wisiał miecz w bogato zdobionej pochwie. Conan wziął go i przyjrzał się błyszczącej kłindze: tak, to był ten sam miecz, o który walczył na turnieju: oto święty znak Mitry i herb książęcy...

Odetchnął pełną piersią i rozejrzał się dokoła: znów zobaczył konia, Rudego Biorriego, spoglądającego nań z przebiegłym uśmiechem, i nagle jak gdyby pękła stalowa obręcz, ściskająca do tej pory jego pierś – zrobiło mu się lekko na duszy, znów chciało się śmiać, pędzić galopem w nieznanne, podzwaniając zbroją i poganiając gorącego konia... Złocistorudego konia!

Ogień, jak nienasycony zwierz, wdarł się natychmiast do komnat i podziemi starego zamku, pożerając najpierw drwa i chrust, a potem chciwie rzucając się na boazerie i obicia ścian, na belki sufitowe. Odjechawszy nieco, Conan, Biorri i mieszkańcy Benty patrzyli, jak z wąskich okien wylatuje dym i wyrwywają się języki płomieni. Pożar srożył się już z całą mocą, zajęły się dachy wież obserwacyjnych, kłęby dymu wzbily się pod same niebo, zlewając z ciemnymi wieczornymi obłokami...

– Patrzcie, patrzcie, co to?! – rozległy się przestraszone głosy.

Biorri, poklepując po cienkiej szyi pochrapującą Zoldę, wyszeptał:

– To oni, Conanie, otrzymali wreszcie to, czego chcieli...

Czarniejsi od najczarniejszego dymu ogromni jeźdźcy jeden za drugim wynurzali się z buzującego ognia i bezgłośnie popędzając konie ulatywali w górę, w pomarańczowe niebo. Jeden, drugi, trzeci...

Oto i siódmy wychynął z ognia. W tym samym momencie z trzaskiem i hukiem zawalił się dach; słup płomieni wystrzelił ponad rozpalone kamienie, rycząc jak rozjuszony potwór. Jeźdźcy zatoczyli krąg na wysokościach, jakby żegnając się z rodową siedzibą, i pomknęły dalej, ku obłokom, zlewając się z kłębami dymu.

– Widziałeś ją, Conanie?

– Tak... Siedziała na koniu ostatniej zjawy, a wiatr rozwiewał jej włosy...

– Mogę przysiąc, że nam pomachała. – Biorri otarł nieproszoną łzę i pociągnął nosem.

– No dobrze, to wszystko, teraz niech się dopala... Jedźmy do wsi, odpoczniemy tam, zjemy coś, a rano wyruszymy w drogę.

– Do Menory, do księżnej? – Biorri, ciągle jeszcze pociągając nosem, zerknął filuternie na Conana.

– Wiesz, Rudy, chyba poproszę cię, żebyś przekazał Lawinii... to znaczy księżnej, ten miecz i przy okazji opowiedział jej o wszystkim, co się tu wydarzyło... Przecież jesteś mistrzem od takich opowieści. Ona cię za to szczerze wynagrodzi i zobaczysz, że aż do następnego święta będziesz bez przerwy wesół i pijany!

– A dlaczego, Conanie, sam nie chcesz zawieźć jej miecza? Przecież tak prosiła, żebyś wrócił, tak patrzyła ci w oczy!

– Nie, Biorri, nie wrócę do miasta, gdzie widziano, jak zostałem pokonany. Nie mam tam co robić. Przeprowadzę cię przez las, a potem się rozstaniemy: ty pojedziesz do Menory, a ja...

Umilkł i zadumał się. Biorri ze śmiechem dał mu kuksańca w bok:

– Chcesz, żebym zgadł, dokąd się wybierzesz?

Conan pogłaskał miękką grzywę złocistego rumaka i uśmiechnął się szeroko, błyskając zębami:

– Przecież, filucie, odgadłeś to już wówczas, kiedy jechaliśmy do Redbornu!